

Nie chowaj tej książki przed żoną! I tak kupi sobie nową!

# Myszka



DC  
WORD

CATHY MAXWELL

Cathy Maxwell

MYSZKA

## 1

*Wioska Sproule, Northumberland,  
Anglia, 1806 r.*

Uporczywy łomot zbudził Samantę Northrup z głębokiego snu.

Leżąc w łóżku pocieszała się, że to tylko obluzowana okiennica, kołysana północnym wiatrem, uderza o ścianę wikarówki. Gość w środku nocy oznaczał złe wieści.

- Hej tam, obudźcie się! - zawołał męski głos. - Potrzebuję pomocy!

Te słowa, a także długoletni nawyk usługiwania parafianom, pobudziły Samantę do działania. Narzuciła gruby wełniany szal na flanelową nocną koszulę, wsunęła stopy w ciężkie stare buty i szurając nogami przeszła z sypialni do kuchni.

Niewielki domek przylegał do kościoła Świętego Gabriela, kamiennej normandzkiej budowli, która wytrzymała niejedną zimę, choć obecna zapowiadała się mroźniej niż poprzednie. Samanta zadrzała, kiedy lodowaty podmuch owiał jej kolana.

Gość znów zaczął się dobijać i siła uderzeń zatrzęsała ciężkimi cedrowymi drzwiami.

- Już idę, idę - powiedziała zniecierpliwiona. Przy każdym słowie z jej ust ulatywały obłoczki pary. Piec był wygaszony; „w nocy starała się oszczędzać opał, toteż sypiała pod górą kocy.

Zapaliła świecę i zerknęła na zegar ścienny. Było tuż po północy.

Samanta zwykle sprawdzała, kto jest na zewnątrz, wyglądając przez boczne okienko przy drzwiach. Tej nocy jednak panowały tak głębokie ciemności, że dostrzegła jedynie wysoką męską sylwetkę. Mógł to być któryś z mieszkańców wioski.

Właśnie znów zaczynał się dobijać, gdy odsunęła zasuwę, otworzyła drzwi. .. i stanęła oko w oko z wysokim, ciemnowłosym nieznanym.

Chciała natychmiast zastrzasnąć drzwi z powrotem, ale przybysz. widocznie przewidział jej ruch, bo wsunął nogę w drzwi uniemożliwiając ich zamknięcie. Był wysoki, barczysty, miał gęste ciemne włosy i błyszczące gniewem oczy. Nie wiedziała, jak mogła go wziąć za jednego ze swych znajomych lub sąsiadów.

Nie próbował się wedrzeć do środka, ale też nie cofnął stopy. - Czego pan chce? - spytała przez szparę w drzwiach.

- Kluczy do grobowca Ayleborough.

Omam nie roześmiała mu się w twarz.

- Oszalał pan? Te klucze dostępne są tylko dla rodziny. Poza tym, jest środek nocy.

- Potrzebuję tych kluczy. - W jego głosie pojawiła się nuta determinacji. W przeciwieństwie do Samanty, mówiącej z wyraźnym północnym akcentem, nieznajomy wysławiał się czystą angielszczyzną, znamionującą dobre pochodzenie.

Samanta najeżyła się wewnątrz, zrażona jego wyniosłością.

- Nie może ich pan dostać bez zgody księcia Ayleborough odpowiedziała stanowczo; w ten sposób przez lata dyrygowała dorosłymi mężczyznami i zmuszała uczniów do połknięcia tranu. Spróbowała zamknąć drzwi, ale nieznajomy napał na nie ramieniem, odpychając ją na bok.

Był tak wysoki, że musiał się pochylić w progu, by nie uderzyć głową o niskie sklepienie. Zdawał się wypełniać sobą całe pomieszczenie.

- Chcę dostać te klucze - powtórzył.

Inna kobieta zapewne zadrżałaby ze strachu, a i Samancie, prawdę powiedziawszy, trochę trzęsły się kolana, ale w końcu miała dwadzieścia sześć lat i ponosiła pełną odpowiedzialność za swoje czyny. Plebania kościoła św. Gabriela odpowiadała za grobowiec rodziny Ayleborough od prawie dwustu lat. Było to uświęcone przymierze między pastorem i ową szlachecką rodziną, płacącą na potrzeby parafii, a Samanta nie zamierzała go łamać.

Wycofała się za stół, pragnąc odgrodzić się jakoś od intruza.

Wątle światło świecy rzucało na ścianę wyolbrzymiony cień jego postaci.

- Nie może ich pan dostać.

Przybysz zmrużył oczy i przyjrzał jej się bacznie.

- Chyba źle panią usłyszałem - powiedział niskim, nienaturalnie miękkim głosem i złowieszczo rozprostował, a potem zacisnął palce.

Samancie zaschło w gardle. W razie potrzeby była gotowa poświęcić życie w obronie kluczy. Jej ojciec zmarł przed rokiem i parafianie coraz bardziej otwarcie dawali do zrozumienia, że najwyższy czas, by opuściła wikarówkę. Teraz miała okazję wykazać swą przydatność.

- Nie może ich pan dostać - powtórzyła z uporem.

W oczach nieznajomego pojawił się błysk gniewu. Najwyraźniej nie przywykł, by mu odmawiano. Cóż, ona także nie była do tego przyzwyczajona, nie mogła się jednak wyzbyć lęku przed jego brutalną siłą.

Nagle cofnął się o krok, co przyjęła z niekłamaną ulgą.

Odgarnął z czoła gęste, ciężkie włosy. Miał wyrazistą twarz z prostym nosem i mocno zarysowaną szczęką. Kiedy spróbował się uśmiechnąć, odniosła wrażenie, że przychodzi mu to z wyjątkowym trudem.

- Przepraszam - powiedział szorstko i rozejrzał się po niewielkiej kuchni - - Domyślam się, że moje zachowanie wydaje się pani nieuprzejme.

Wdarłem się tu zniecacka w środku nocy. - Jego ton bynajmniej nie wyrażał skruchy.

- Kim pan jest? - odważyła się zapytać.

Zignorował to pytanie. Obojętnym wzrokiem obrzucił jej na wpół odzianą postać.

- Gdzie jest wikary? Muszę z nim pomówić.

- Nie ma go - oznajmiła krótko, modląc się w duchu, by intruz nie zorientował się, że mieszka sama. Nie powinna była otwierać drzwi. Ileż to razy ludzie ze wsi ostrzegali ją, by była bardziej ostrożna?

Skrzyżowała ramiona na piersi, uświadamiając sobie nagle swą kobiecą bezbronność.

- Ale ja muszę się z nim zobaczyć - nalegał przybysz.

- Nie może pan.

- A kim pani jest?

Samanta wzięła głęboki oddech.

- Jestem jego córką. Ponoszę odpowiedzialność za grobowiec rodziny Ayleborough.

- Cóż, panno ... - Urwał wyczekująco.

- Northrup - dokończyła, po raz pierwszy odczuwając skrępowanie z powodu swego panińskiego stanu.

- Cóż, panno Northrup, przebyłem długą drogę. I chcę dostać klucze do tego grobowca.

Samanta czuła rosnącą irytację. Ależ ten człowiek był uparty.

- Jakie pan ma do nich prawo?

Widziała, jak zacisnął zęby.

- To wyłącznie moja sprawa.

- No to mamy problem, sir - rzuciła sucho. - Marnuje pan czas i odbiera mi cenny sen. Jestem odpowiedzialna za te klucze i nie dam ich panu bez zezwolenia samego księcia. Ktokolwiek doradził panu przyjazd tutaj w środku nocy, wyprowadził pana w pole. Lepiej by pan zrobił udając się najpierw wprost do księcia Ayleborough.

Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął skórzaną sakiewkę ciężką od monet.

- Ile pani chce za te klucze? - Nie czekając na jej odpowiedź, rzucił sakiewkę na stół. - Proszę, oto pięć sztuk złota. Niech pani je zatrzyma i w zamian da mi te klucze.

Przez sekundę Samanta walczyła z pokusą. Nawet przed śmiercią ojca w domu brakowało pieniędzy i jeszcze nigdy nie widziała sztuki złota.

Nagle przypomniała sobie opowieści ojca o aniołach przebranych za podróżnych, wysyłanych nocą, by poddawali próbie zacnych chrześcijan. Jako dziecko Samanta zawsze miała nadzieję, że Bóg wyznaczy ją do takiej próby i

przyśle anioła pod jej drzwi.

Tylko że ten człowiek w niczym nie przypominał jej wyobrażeń o aniołach. I wyglądało na to, że prędzej ją udusi, niż zechce zbawiać jej duszę.

- Te klucze nie są na sprzedaż - odezwała się dumnie. Nie może ich pan dostać bez zgody księcia Ayleborough.

Mężczyzna patrzył na nią z osłupieniem, jakby nie mógł uwierzyć, że odmawia przyjęcia pieniędzy. W świetle świecy dostrzegła, że ma ciemnobrązowe, prawie czarne oczy. Niebezpieczne oczy.

I nie spodobała mu się jej odpowiedź.

Świadoma, że ma na sobie niewiele więcej ponad nocny strój, Samanta z wahaniem zerknęła w stronę sypialni, która miała co prawda solidne drzwi, ale niestety bez zamka.

Moment wahania drogo ją kosztował. Nieznajomy odwrócił się gwałtownie i sięgnął do haka przy piecu, gdzie wisały klucze - od kościoła i od grobowca Ayleborough.

Nim zdążyła zaprotestować, wymknął się. Bez namysłu wybiegła za nim w ciemność.

Księżyc nie świecił, ale dobrze знаła drogę przez kościelny dziedziniec na cmentarz. Nieznajomy najwyraźniej także ją znał, choć usłyszała, jak warknął coś, potknąwszy się o powalony nagrobek.

- Pomocy! Proszę, niech ktoś mi pomoże! - zawołała.

Wiedziała jednak, że nikt jej nie usłyszy. W zimową noc wszyscy mieszkańcy wsi kulili się pod grubymi kołdrami w swoich chatkach z okiennicami i drzwiami pozamykanymi na głucho.

Biały marmur grobowca Ayleborough dawał w ciemności szarawą poświatę. Kiedy mężczyzna dotarł do bramy, przez moment widziała jego sylwetkę wyraźnie odcinającą się na tle ściany.

Poprzez szmer wiatru Samanta usłyszała skrzypienie zawiasów. Jej ojciec wciąż wspominał, że „trzeba je naoliwić, ale jakoś nigdy nie znalazł na to czasu. Teraz, w nocnej ciszy, skrzypienie brzmiało dziwnie złowieszczo. Nieznajomy już za chwilę miał się znaleźć w środku.

Usłyszała, jak przeklina, próbując otworzyć ciężkie żelazne drzwi pierwszym kluczem. Kiedy dotarła do bramy, właśnie powiodła mu się kolejna próba i drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem.

- Niech pan tam nie wchodzi! Proszę! - zawołała, choć wiedziała, że jej nie słucha.

Grobowiec został wybudowany przed dwustu laty. Stylizowany na miniaturową grecką świątynię, składał się z dwóch pomieszczeń: maleńkiego przedsionka i krypty grobowej.

Samanta z trudem uchyliła ciężkie drzwi i ze zdumieniem dostrzegła w przedsionku płomień świecy. Nieznajomy mimo ciemności odnalazł ukrytą

wnękę, gdzie schowane było krzesiwo i świece. Zawahała się.

Kim był ten człowiek?

Zdjęta nagłym niepokojem, wycofała się na zewnątrz. Drżący płomyk nagle zniknął jej z oczu; stwierdziła ze zgrozą, że nieznajomy wszedł do krypty. Zawadziła obcasem o wystający patyk, omal się nie przewracając. Podniosła go i zważyła w dłoni, po czym, tak uzbrojona, wróciła do środka, gotowa stoczyć walkę.

Yale Carderock stał w otoczeniu swoich przodków. Uniósł wysoko świecę i w migotliwym świetle natychmiast znalazł to, czego szukał. Podeszedł do inskrypcji wyrytej w marmurze.

LELAND CARDEROCK CZWARTY KSIĄŻĘ A YLEBOROUGH

1743 - 1805 Jego ojciec. Obok spoczywała matka.

Z niedowierzaniem dotknął wklęsłych liter.

Wkrótce po przybyciu do Londynu udał się do krawca, żeby obstalować garderobę odpowiednią na spotkanie z księciem. To krawiec poinformował go, że czwarty książę Ayleborough nie żyje... od prawie dwóch lat. Yale natychmiast opuścił pracownię i wynajął konia. Gnał jak szalony przez całą drogę do Sproule, na cmentarz St. Gabriel, ponieważ nie wierzył, że to możliwe. Jego ojciec nie mógł umrzeć.

Nadal nie mógł w to uwierzyć, mimo iż dotykał grobu ojca.

Kamienna płyta zdawała się promieniować obecnością tego człowieka.

Yale zacisnął dłonie w pięści. Pełne złości słowa, jakie padły między nim a ojcem podczas ostatniego spotkania, dzwięczały mu w głowie, jakby rozmowa odbyła się tego popołudnia. Złość, pogarda i wreszcie wyrok.

Przez jedenaście długich lat Yale pracował w krwawym pocie, planując dzień, kiedy wróci do Anglii i udowodni ojcu, że się mylił.

I oto teraz był tu ... a ojciec, jeszcze raz, miał ostatnie słowo, lecz nie w taki sposób, jak Yale się spodziewał. Był tak oszołomiony, że nie mógł się poruszyć.

Wszystkie te lata okazały się stracone.

Yale Carderock, wydziedziczony drugi syn czwartego księcia Ayleborough, zrobił jedyną rzecz, jaką mógł zrobić. Odchylił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem. Śmiech brzmiał gorzko i gniewnie, ale Yale nie potrafił się powstrzymać. Mógł albo się śmiać, albo wyć do księżycy jak szaleniec.

Odgłos jego śmiechu odbił się upiornym echem o ściany krypty. Yale poczuł ukłucia łez pod powiekami ... i przeraził się, że popada w obłęd.

W poczuciu zagubienia, chwiejnym krokiem wyszedł z grobowca.

- Proszę niczego nie ruszać, bo będę zmuszona dzielić pana po głowie.

Ostrzeżenie wypowiedziane surowym tonem, zmiękczone nieco północnym akcentem, przypomniało Yale'owi, że nie jest sam. Panna Northrup stała przy wyjściu, zaledwie parę stóp od niego, uzbrojona w

potężny kij.

Jej obecność pozwoliła mu odzyskać równowagę. Niedbale otarł łzę w kącie oka, jakby była jedynie irytującym swędzeniem. Nie wypuszczając świecy, uniósł ręce w geście poddania i rzekł:

- Widzi pani? Nie zrobiłem nic złego.

Przyjrzała mu się podejrzliwie. Płomień świecy wydobył złociste błyski z jej kasztanowych włosów. Była młodsza, niż mu się w pierwszej chwili zdawało ... i ładniejsza.

Ma się rozumieć, w zapiętej pod szyję nocnej koszuli i nie zasnurowanych butach, z rozplecionym do snu warkoczem nie wyglądała zbyt groźnie. W czasie pościgu przez cmentarz zgubiła szal. Nie było jednak mowy o jakimkolwiek kompromitującym obnażeniu; obszerna koszula osłaniała ją szczelnie jak zakonny habit.

Jej bursztynowe oczy błyszczały wojowniczo, a oburzenie zabarwiło rumieńcem policzki. Nie wątpił, że gdyby zaszła taka potrzeba, tłukłaby go po głowie, ile sił, dopóki kij nie połamałby się jej w rękach.

Nie pamiętał tej dziewczyny, lecz od czasów, gdy mieszkał w Sproule, minęło jakieś dwadzieścia lat. Matka wołała życie w Londynie, ojciec zaś przebywał w starej rodowej posiadłości Braehall, odległej o dobre trzy mile od tej wioski, lecz Yale niechętnie go tam odwiedzał ze względu na ciągle nieporozumienia, do których dochodziło.

Jednak nawet kiedy tu bywał, nie przestępował progu kościoła.

- Nie miałem zamiaru pani przestraszyć - zaczął, ale zaraz przerwał, gdy światło padło na następną inskrypcję, której nie było w tym miejscu przed laty, gdy Yale ostatni raz wszedł do grobowca podczas pogrzebu matki. Te litery nie były tak świeże jak poprzednie, dotyczące ojca.

- Chcę, żeby pan natychmiast stąd wyszedł, sir - zażądała ostro, ale Yale uciszył ją niecierpliwym machnięciem ręki.

Przykucnął, żeby móc lepiej odczytać napis

YALE AETHELRED CARDEROCK

1776 - 1799?

Rodzina uważała go za zmarłego? W krypcie zrobiło się nagle jeszcze zimniej. A może to jego ogarnął wewnętrzny chłód?

- Chcę, żeby pan wyszedł - powtórzyła panna Northrup tonem bliskim rozpacz. - Natychmiast! .

Yale spojrział na nią półprzyciemnie. Dopiero po chwili zdołał wydobyć z siebie głos.

- Jak umarł? - Dlaczego uznali go za zmarłego, zastanawiał się. - Jak umarli obaj, książę i jego syn?

Nie odpowiedziała mu na pytanie.

- Proszę wyjść. - Głos zaczął jej się lekko trząść.



Podniósł się i stanął przed nią, wyprostowany.

- W tym spróchniałym patyku z pewnością roi się od mrówek. Na pani miejscu bym go wyrzucił.

Obejrzała swoje dłonie szeroko otwartymi oczyma, ale nie wypuściła broni. Panna Northrup najwyraźniej była twardsza niż większość znanych mu Angielek.

- Chcę, żeby pan sobie poszedł, a przedtem oddał mi klucze - upierała się.

Wyjął klucze zza pasa i wyciągnął w jej stronę.

- Może je pani wziąć, a ja odejdę, ale chcę, by pani najpierw odpowiedziała na moje pytanie.

Zmarszczyła czoło, równocześnie zaciskając usta w wąską linię.

- Nie ufa mi pani - stwierdził - i nie mam pani tego za złe, bo wyrwałem panią ze snu w środku nocy.

- I wdarł się pan na prywatny teren - uzupełniła.

- I wdarłem się - przyznał zgodnie, skrywając uśmiech.

- Kim pan jest? - spytała.

Yale się zawahał. Spojrzał na grób podpisany jego imieniem.

Czy rodzina cieszyłaby się, odkrywszy, że żyje ... czy może wszyscy odetchnęli z ulgą, że czarna owca już nie będzie zakłócać ich uporządkowanego życia?

- Jestem Marvin - powiedział spokojnie. - Marvin Browne. - Było to nazwisko jego nauczyciela z lat dziecińczych, pierwsze, jakie mu przyszło do głowy. - Browne, z „e” na końcu - dodał, naśladowując ton nauczyciela.

Panna Northrup nieco się odprężyła, opuściła ramiona, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że człowiek noszący imię Marvin nie może stanowić żadnego zagrożenia.

- Panie Browne, musi pan sobie zdawać sprawę, że znajduje się pan na prywatnej, uświęconej ziemi. Dlaczego wdarł się pan do tego grobowca?

- Byłem kiedyś blisko związany z tą rodziną - oznajmił zgodnie z prawdą. - Dowiedziałem się ze zdumieniem, że stary książę nie żyje. Nie wierzyłem w to, dopóki nie zobaczyłem tego na własne oczy.

- A teraz, kiedy pan już zobaczył, proszę, żeby pan okazał . zmarłym szacunek i odszedł. Jestem pewna, że na wszystkie pytania usłyszy pan odpowiedź jutro rano.

Yale stłumił uśmiech. Jeszcze nigdy nie spotkał tak upartej kobiety.

- Odejdę, jeśli odpowie pani na moje pytania, panno Northrup.

- Jakie to pytania?

- Chcę się dowiedzieć, jak umarli ci ludzie. - Przyszła mu do głowy myśl, budząca wyrzuty sumienia. - Czy książę cierpiał... umierając? - Powinien być przy łóżku umierającego ojca. Powinien błagać go o

przebaczenie.

Zacisnęła usta; pomyślał, że znów każe mu odejść, ale zamiast tego powiedziała:

- Zniszczyła go choroba. Chorował przez kilka lat. Lekarz twierdził, że to suchoty, ale ja się z nim nie zgadzałam.

- Pani się nie zgadzała?

Uniosła dumnie podbródek.

- Tu, na północy, jest niewielu lekarzy. Tylko doktor Rees z Morpeth. Dzieci księcia go nie lubiły, a że księżę upierał się przy pozostaniu w Braehall, sprowadziły lekarzy z Londynu. Często proszono mnie, bym opiekowała się jego łaskawością po wyjeździe lekarzy.

- Zna się pani na medycynie?

- Mam pewne pojęcie - powiedziała swym miękkim, niemal śpiewnym tonem, lżejszym od szkockiego akcentu i przyjemnym dla ucha. - Moja matka chorowała przez długie lata. Byłam dla niej pielęgniarką aż do jej śmierci w zeszłym roku.

- Przykro mi, że straciła pani matkę - powiedział Yale, zasmucony bardziej z powodu swego ojca niż z rzeczywistego współczucia, ale powiedział to, co należało powiedzieć.

Rysy Samanty złagodniały.

- Właściwie śmierć była dla niej wybawieniem. Podobnie jak dla starego księcia. Zarówno matka, jak i jego łaskawość mieli dość czasu na pożegnanie się z bliskimi i podsumowanie własnego życia. Mój ojciec zmarł nagle zaledwie dwa tygodnie po jej śmierci. Moich rodziców zabrała grypa, ale ojciec odszedł tak szybko, że nie było czasu, by cokolwiek powiedzieć.

Jej słowa trafiły mu prosto do serca, a myślał, że stracił je dawno temu.

- Ale za to pani ojciec nie cierpiał - powiedział Yale. Można przynajmniej tym się pocieszać.

- Nie wydaje mi się też, żeby stary księżę cierpiał. Carderockowie są dużą i zżyłą rodziną i robili wszystko, by godnie dożył swoich dni. Niemal codziennie otaczały go dzieci i wnuki. - Wnuki? - Wnuki! Cóż, w końcu minęło jedenaście lat...

- Owszem, obecny księżę ma trzech synów - mówiła panna Northrup. - Jego siostra także jest zameżna i ma dzieci, choć nie jestem pewna, ile. Oczywiście, Carderockowie rzadko przyjeżdżają do Sproule. Nowego księcia życie na wsi nie bawi już tak, jak jego ojca.

Yale do tego stopnia skupiony był na osobie ojca, że niewiele myślał o bracie i siostrze. Oboje byli od niego starsi o kilka lat. Nim Yale opuścił Anglię, jego brat Wayland wydawał się mocno wrośnięty w wiejskie życie i wszystko wskazywało na to, że tu pozostanie. Yale rzadko widywał swą siostrę Twylę, mimo iż mieszkała w Londynie wraz z mężem. Brat z siostrą

nigdy się zbyt dobrze nie rozumieli, a stosunki między' nimi jeszcze się pogorszyły, odkąd Yale zjawił się u niej pijany na proszonym śniadaniu. Poprzednią noc spędził odwiedzając jaskinie gier i zabawiając się z kompanami. Twyla nie była zbyt zachwycona.

Potań skronie, czując narastający ból głowy. Zajęty dążeniem do celu, którym miało być wywarcie wrażenia na ojcu, nawet nie pomyślał o bracie i siostrze.

- Proszę, panie Browne, jest bardzo późno, a tu w krypcie panuje straszny ziąb. Jeszcze raz pana proszę, żeby pan sobie poszedł.

Yale zignorował jej prośbę.

- A co z nim? - wskazał na własne imię wyryte w kamieniu. Panna Northrup westchnęła ze znużeniem.

- Wygląda na to, że nie da mi pan wrócić do łóżka, co? Yale uśmiechnął się; spodobała mu się jej niewymuszona bezpośredniość.

Odrzuciła wreszcie kij, otrzepała dłonie i skrzyżowała ramiona na piersi, żeby się ogrzać.

- Yale Carderock nie jest tu pochowany. To chyba było za słabo powiedziane!

- Uważa się, że zginął na morzu - mówiła dalej. - Niewiele wiem o całej tej historii, poza tym, że źle się kończy. - Zatem proszę mi powiedzieć tyle, ile pani wie. Potrząsnęła głową.

- Znam jedynie pogłoski i plotki, sir. Nigdy nie poznałam tego człowieka, ponieważ większą część życia spędził w Londynie ze swoją matką.

- Co się mówi na jego temat? - dopytywał się Yale, mocno zaciekawiony.

- Och, był łobuzem najgorszego gatunku - zapewniła. Jego szaleństwa i występki. ...

- Występki? - powtórzył Yale, zastanawiając się, co może oznaczać to określenie. Na ile pamiętał swoje młode lata, mogło oznaczać niemal wszystko. Nie był świętym.

- Został wydziedziczony przez ojca - powiedziała, marszcząc brwi z irytacji, że jej przerywa. - Wieśniacy zatrudnieni w Braehall mówią, że jego ojciec długo rwał sobie włosy z głowy nad kłopotami, w jakie wpakował się młodszy Carderock. Ale chłopak mógł winić tylko siebie. Roztrwonił majątek odziedziczony po matce. Mówią, że wszystko stracił przez hazard.

I nie myślą się, pomyślał Yale z goryczą. Ileż to razy przez ostatnie jedenaście lat żałował, że nie był mądrzejszy i nie zadbał lepiej o swój majątek.

- Kiedy wydał wszystkie pieniądze - ciągnęła panna Northrup - poprosił ojca o swoją część spadku, której stary książę mu odmówił. Chłopak zachował się wówczas tak okropnie, że zawstydził całą rodzinę. Och, Yale Carderock

był prawdziwym niegodziwcem. Z tych wszystkich opowieści, jakie słyszałam, wynika, że był przeciwieństwem swego brata Waylanda. Ze świecą szukać równie zanego człowieka jak nowy książę.

Yale poczuł ukłucie zazdrości, jak zawsze, gdy słyszał pochwały pod adresem Waylanda. Wydało mu się zabawne, że porównania nadal sprawiają mu przykrość ... po tak wielu latach. Niestety, wizerunek Yale'a z młodości, odmalowany przez pannę Northrup, był całkowicie zgodny z prawdą.

- Więc Yale został wydziedziczony i co nastąpiło potem? - dociekał.

Panna Northrup wzruszyła ramionami.

- Nic. Prawie natychmiast potem zniknął. Jego ojciec bardzo się martwił. Mój ojciec stale go pocieszał. Yale obracał się w niewłaściwym towarzystwie. Jego rodzina obawiała się nawet, że został zamordowany i wrzucony do Tamizy.

Yale'owi nigdy nie przyszło do głowy, że ojciec mógł się martwić jego losem. Był przekonany, że stary książę z radością umył ręce, wyzwolony od problemów młodszego syna.

Panna Northrup mówiła dalej:

- Stary książę powiedział mojemu ojcu, że kiedy nadeszła wiadomość o śmierci Yale' a na morzu podczas sztormu, dwa lata po wydziedziczeniu, rodzina przyjęła ją niemal jak błogosławieństwo. Wynikało z niej, że Yale zaciągnął się na statek handlowy. Sądzę, że stary książę czerpał pociechę z myśli, iż jego syn zginął wykonując pożyteczną pracę, a nie w wyniku jakiegoś lotrostwa.

Yale wiedział, o jakim sztormie wspomniała. Złapał ich, kiedy okrążali Przylądek Dobrej Nadziei. Statek uległ zniszczeniu i większość członków załogi utonęła, choć akurat jego nie było pośród zaginionych.

- Naprawdę był aż takim łajdakiem? - spytał marszcząc czoło.

- Jego historia może być przestrogą dla grzeszników - zapewniła bez wahania. - Mój ojciec nieraz powtarzał, że los młodego Carderocka przypomina historię syna marnotrawnego, tylko brakuje mu szczęśliwego zakończenia, którym byłby powrót na łono rodziny. Często wykorzystywał jego przykład w swych kazaniach ... oczywiście nie wymieniając nazwiska. Niemniej jednak wszyscy w Sproule wiedzieli, kogo ojciec ma na myśli. - Rzuciła posępne spojrzenie na nagrobek Yale'a. Smutne, zmarnowane życie. Mówią, że był przystojnym chłopcem, ale zginął jako ofiara swej urody i szaleństwa.

Yale nie bardzo wiedział, jak powinna się czuć postać z moralizujących przypowieści, ale nie prostował wiadomości o swojej śmierci.

- Czy ktoś go żałował?

- Młodszego Carderocka? - upewniła się. - Stary książę nosił żałobę, chociaż był zbyt chory, żeby wziąć udział w pogrzebie. Starszego syna

obowiązki zatrzymały w Londynie, nie pozwalając mu przybyć, a córka spodziewała się właśnie czwartego dziecka. Mój ojciec odprawiał nabożeństwo żałobne w pustym kościele, nie licząc mojej obecności. Ponieważ nie było ciała i nie pojawił się ksiądz, wieśniacy nie byli zainteresowani udziałem w ceremonii pogrzebowej. - Westchnęła. Trudno nam było wymyślić coś dobrego, co można by powiedzieć o tym człowieku. Niewielu przyzwoitych, cieszących się szacunkiem ludzi go znało. - Pokiwała głową w zadumie, a potem nagle zmieniła temat. Czy teraz, kiedy zaspokoiliam już pańską ciekawość, zechce pan wreszcie odejść?

Yale skinął głową, zbyt oszołomiony tym, co usłyszał, żeby się sprzeciwić. Nikt nie przyszedł na jego pogrzeb? To było jeszcze gorsze, niż być uznanym za zmarłego.

Odczuwając dziwny ciężar w nogach, minął córkę pastora, strażniczkę szczątków jego przodków. Przyglądała mu się w milczeniu, nieświadoma zamętu, gniewu i bólu, jakie nim targały.

. Okazał się przeklętym głupcem. Ojciec na niego czekał.

Ojciec był jedyną osobą na całym świecie, którą obchodził jego los.

Dlaczego zwlekał tak długo z powrotem do domu? Przez ostatnie pięć lat mógł wrócić w każdej chwili. Miał pieniądze. Ale nie dość pieniędzy. Pragnął posiadać całą flotyllę statków, kompanię handlową, magazyny pełne towarów i wielki dom, tak wspaniały jak Braehall. I miał to wszystko, na Cejlonie.

Tylko że teraz nie miało to żadnego znaczenia. Teraz było za późno.

Wyszedł na zewnątrz i przystanął. Zimne nocne powietrze przyjemnie chłodziło rozpaloną skórę.

Wręczył córce pastora klucze. Zamknęła drzwi i poczekała, by ruszył przed nią.

Podniósł z ziemi i podał jej zgubiony szal. Zarzuciła go sobie na ramiona, oblewając się przy tym rumieńcem. Uśmiechnął się na widok jej zakłopotania. Tylko w Anglii kobieta mogła się przejmować takim drobiazgiem. Widział w życiu tak wiele nagich kobiet, że nawet nie wszystkie z nich chciało mu się pamiętać. Nocna koszula panny Northrup nie mogła go wprowadzić w podniecenie.

- Dziękuję pani - powiedział.

- Mam nadzieję, że znalazł pan to, czego szukał.

Zaskoczyły go jej słowa.

- Nie wiem - przyznał ze smutkiem.

Zdawało mu się, że chciała jeszcze coś powiedzieć, ale się rozmyśliła.

- Dobranoc, panie Browne'.

- Dobranoc, panno Northrup.

Zatrzymała się w miejscu. Wiedział, że czeka, by się oddalił.

Ruszył przez cmentarz w stronę drogi prowadzącej do małej wioski Sproule. Wcześniej pozostawił swojego konia u miejscowego kowala.

Zamiast udać się do jedynej w Sproule gospody, Pod Niedźwiedziem i Bykiem, ukrył się w cieniu wielkiego drzewa.

Panna Northrup odczekała jeszcze chwilę, aż w końcu, przekonana, że odszedł, wróciła do swego domu przy kamiennym kościele. Obserwował, jak zdmuchnęła świecę w kuchni i okna zrobiły się ciemne.

Yale przykucnął, opierając plecy o pień i patrzył w stronę kutej żelaznej bramy, strzegącej rodzinnego grobowca. Buty nasiąkały mu wilgocią, ale nie zwracał uwagi na niewygodę.

Nie wiedział, co ma robić i dokąd pójść. Odczuwał wewnętrzną potrzebę, by pozostać w tym miejscu i czuć w milczeniu. Wyrażał w ten sposób hołd człowiekowi, który był jego ojcem.

Tylko tyle mógł dla niego zrobić.

Panna Northrup nie poszła od razu spać, tylko podglądała go z ciemnego okna. Zatem wiedziała, że nie odszedł. Czuł jej obecność; była nieprzychylna, lecz równocześnie zaciekawiona.

Co by powiedziała, gdyby poznała jego prawdziwe nazwisko?

Jaką zmianę wniosłby ten fakt w jej biblijną lekcję? Marnotrawny syn wraca, ale zamiast otwartych ramion ojca, znajduje pustkę.

W końcu uznała, że przybysz niczym jej nie zagraża i wróciła do łóżka. Yale nie odrywał oczu od grobowca. Nie był człowiekiem pobożnym ... ale tamtej nocy nauczył się modlić.

Wraz z nadejściem szarego świtu Yale wstał. Kości mu zeszywniały; był obolały z zimna. Po latach spędzonych w tropikach nie miał wytrzymałości na chłód. Przeszedł przez całą wieś do gospody Pod Niedźwiedziem i Bykiem.

Jako chłopiec raz czy dwa razy odwiedził to miejsce z ojcem, ale teraz nikt go nie rozpoznał. Wszyscy uważali, że on nie żyje.

W gospodzie przedstawił się nazwiskiem Marvin Browne, zamówił butelkę brandy na rozgrzewkę, zażądał, by nikt go nie niepokoił, a potem zrobił coś, co nie zdarzyło mu się od czasu, gdy przed jedenastu laty obudził się na pokładzie tamtego statku. Porządnie się upił.

Opróżniwszy jedną butelkę, zamówił następną, w przerwie rozmyślając nad marnością własnego życia. Gdy nadszedł zmierzch pierwszego dnia pobytu w rodzinnych stronach, zdawało mu się, że chłód poprzedniej nocy na dobre zadomowił się w jego kościach, czyniąc je nieznośnie ciężkimi. Zamknął oczy i zapadł w zbawienną nieświadomość.

Wtedy zaczęła się gorączka.

John Sadler, właściciel gospody, nie wiedział, co począć.

Pan Browne zachorował. Z początku Sadler podejrzewał, że jego gość

jest po prostu ciężko pijany. Jednakże nad ranem odgłos torsji zbudził zarówno Johna, jak i jego żonę.

- Ma to, na co zasłużył - mruknęła kobieta. - Człowiek nie powinien się tak upijać.

John nie był pewien, czy to tylko skutki nadużycia trunku. Kiedy pan Browne nie pojawił się na śniadaniu, John postanowił go obudzić.

- Należy mu się za to, że nie dał nam spać przez pół nocy stwierdził, a ona się z nim zgodziła.

Załomotał do drzwi Marvina Browne'a, ale nie było odpowiedzi. Uderzył pięścią w drzwi jeszcze raz, mocniej. Nic.

Poruszył klamką. Drzwi Pod Niedźwiedziem i Bykiem nie miały zamków i kluczy. Gospoda była za mała i zanadto prowincjonalna na takie zbytki.

Sadler wszedł do środka i natychmiast się wycofał.

- Ten człowiek jest poważnie chory - zwrócił się do żony.

- Na co?

- Nie wiem, ale wygląda, jakby zaraz miał wyzionąć ducha.

- Poślijmy więc po pannę Northrup - poradziła żona. - Ona już będzie wiedziała, co robić.

- Tak, ona będzie wiedziała - przytaknął.

Wysłał najstarszego ze swych synów, żeby sprowadził córkę pastora.

## 2

Samanta wyskrobała z dna szufladki na herbatę żalosalną kupkę listków, które ledwie zakryły dno filiżanki. Woda w czajniku już się gotowała. Rozpaczliwie potrzebowała napić się dobrej, mocnej herbaty.

Tego dnia panował straszny ziąb, więc musiała zużyć trochę cennego opału, rozpalając w piecu. Miała na sobie obie sukienki; nauczyła ją tego oszczędności, praktykowana z konieczności przez ostatnie lata. Jedna to była czarna sukienka, odłożona po niedawno zakończonej żałobie, drugą, brązową, zwykle nosiła na co dzień. Tę drugą nałożyła na wierzch, ponieważ miała serdecznie dość czerni.

Czuła się niewyspana i słaba. Po przygodzie, jaką przeżyła poprzedniej nocy za sprawą Marvina Browne'a, spędziła pracowity dzień, zajmując się zwykłymi obowiązkami i doglądaniem najmłodszej córki Chandlerów, która dostała gorączki. Zmęczona, powinna była przespać ostatnią noc kamiennym snem, a miotała się po łóżku z głową pełną zmartwień.

Wszystko zaczęło się, gdy kobiety ze wsi, pod przewodnictwem żony miejscowego dziedzica Biggersa, złożyły jej poranną wizytę. Jak się okazało, w poniedziałek wieczorem Pod Niedźwiedziem i Bykiem zwołano spotkanie mieszkańców wsi. Samanta nie była na nie zaproszona, ponieważ dotyczyło jej osoby.

Po wypiciu niemal całego jej skromnego zapasu herbaty kobiety oświadczyły, że odbyło się głosowanie, w którym zdecydowano, iż nadszedł czas, by Samanta opuściła wikarówkę. Jej żałoba dobiegła końca, a nowy pastor, który niedawno się ożenił, chciał się tu wprowadzić.

Na wspomnienie ich żądania Samancie zaczęły się trząść ręce, kiedy ostrożnie napełniała filiżankę do połowy wodą i czekała, by herbata się zaparzyła.

Oczywiście, spodziewała się takiej decyzji. Przepisy nakazywały, by po śmierci ojca wyprowadziła się z wikarówki ... ale nie miała dokąd pójść. Jej matka był sierotą, a cała rodzina ojca zmarła jeszcze przed nim.

Miała nadzieję, że może wieś ofiaruje jej jakąś chatę. Ostatecznie byłoby to właściwe, skoro jej ojciec, który zawsze martwił się ich niedostatkiem, spędził większą część życia, pomagając nakarmić i odziać biedaków. Jednakże po jego śmierci mieszkańcy wsi najwidoczniej zapomnieli, ile pastor Northrup dla nich zrobił... albo też uznali, że pozwalając Samancie zostać w dotychczasowym domu na czas żałoby, wystarczająco odpłacają się za jego posługę, której poświęcił całe życie. Jej osobistych zasług przy pielęgnacji chorych w ogóle nie brali pod uwagę.



Na moment wróciła myślami do Marvina Browne'a i ich dziwnego spotkania na cmentarzu. Trochę przesądnie uznała, iż jego pojawienie się było pierwszym ostrzeżeniem, że w jej życiu nastąpią poważne zmiany.

Krzętała się niespokojnie po małej kuchence. Przecież w życiu musiało chodzić o coś więcej. Nie wiedziała wprawdzie, co to „więcej” miałyby oznaczać ... ale była pewna, że tego nie znajdzie, jeśli pozwoli, by wiejska społeczność skazała ją na zamieszkanie z dwiema starymi pannami, siostrami Doyle.

W głębi duszy marzyła o tym, co było udziałem innych kobiet: o mężu, dzieciach, własnym domu. Wiedziała jednak, że w jej wieku powinna się pożegnać z tymi marzeniami.

Wzięła do ręki filiżankę, wzniosła milcząco toast za nieuchronną przyszłość i właśnie miała pociągnąć rozgrzewający łyk herbaty, gdy rozległo się pukanie do kuchennych drzwi.

Miała ochotę udać, że nie słyszy.

- Panno Northrup! Proszę, panno Northrup, jest pani potrzebna! - zawołał jakiś młody głos.

Rozpoznała wołającego. Był nim Tommy Sadler, najstarszy syn właściciela gospody. Na pewno ktoś nagle zachorował.

Odstawiła nietkniętą herbatę, podniosła się i pośpieszyła do drzwi. Kiedy je otworzyła, uderzył w nią podmuch zimnego powietrza.

- O co chodzi, Tommy? - spytała, ponagłując chłopca, by wszedł do środka.

Rudowłosy wyrostek ściągnął z głowy kapelusz.

- Jeden z gości zachorował, panno Northrup. Tata chce, żeby pani przyszła go obejrzeć. Jest bardzo chory. Boimy się, że umrze.

Samanta nie wahała się ani chwili.

- Poczekaj, wezmę tylko koszyk i pelerynę. - W koszyku znajdowały się różne medykamenty, zioła, maści i przede wszystkim książka od doktora Reesa, lekarza z Morpeth, z którym się często konsultowała. Miała tam także własny notes z opisem środków leczniczych, które okazały się skuteczne.

Zawiązując pod brodą wstążki czarnego czepek, rzuciła tęskne spojrzenie na filiżankę ze stygnącą herbatą. Cóż, nie miała wyboru. Przychodzenie chorym z pomocą stało się jej drugą naturą. Nie umiała odwrócić się plecami nawet do kogoś nieznanego.

Na zewnątrz ciężkie szare chmury zapowiadały dalszą niepogodę. Samanta ciaśniej otuliła się peleryną. Od ziemi ciągnął chłód, bez trudu dosięgając jej stóp przez cienkie podeszwy butów.

Nikt rozsądny nie wychodził z domu w taki dzień. Jednakże gdy byli z Tommym w połowie drogi przez wieś, dobiegło ich głośnie wołanie:

- Hej tam!

Odwróciwszy się, Samanta dostrzegła Hattie i Mabel Doyle biegnące ku niej od strony swej chaty. Obie siostry musiały mieć dobrze po pięćdziesiątce i były do siebie podobne jak bliźniaczki, choć większość ludzi domyślała się, że panna Mabel jest o rok lub dwa starsza od siostry. Przygarbione wiekiem, powiewając wielkimi czarnymi pelerynami, pędziły w stronę Samanty; wyglądały jak dwa tłuste, zadowolone z życia żuki.

Samanta zwolniła kroku i starała się ukryć zniecierpliwienie, żeby nie dać im powodu do obrazy. Obie kobiety były niezwykle wrażliwe ... a mogło się okazać, że wkrótce przyjdzie jej z nimi zamieszkać, jeśli nie znajdzie się lepsze wyjście z sytuacji.

- Witam, panno Hattie i panno Mabel - odezwała się z szacunkiem.

- Dzień dobry! Dzień dobry! - zawołały równocześnie.

- Dokąd to? - spytała panna Mabel.

- Dokąd zmierzacie? - uzupełniła pytanie panna Hattie.

- Jeden z gości w gospodzie zachorował. Jeśli mi panie wybaczą ....

- Jeden z gości? - zainteresowała się panna Mabel.

- Pewnie ten ciemnowłosy mężczyzna - domyśliła się panna Hattie.

- Ciemnowłosy? - powtórzyła Samanta. Przed oczyma stanęła jej gęsta czarna czupryna Marvina Browne'a.

- Tak, ten, który przyjechał do wsi wczoraj rano - pośpieszyła z wyjaśnieniem panna Mabel. - Pan Sadler mówił, że czekał na progu, jeszcze nim wstali.

- Powiedział, że on pije - dodała panna Hattie, jak zwykle przeciągając sylaby. - Strasznie pije.

Samanta poczuła niemiłe mrowienie na karku.

- Czy ten człowiek w gospodzie jakoś się nazywa, Tommy?

- Tak, proszę pani. Nazywa się Marvin Browne. Browne z „e” na końcu - rzekł chłopiec poważnie.

A więc Marvin Browne nie opuścił tych stron. Przez chwilę Samanta zastanawiała się, co go zatrzymało. W Sproule rzadko zdarzały się tajemnice.

- Zna go pani? - spytała panna Hattie, unosząc wysoko brwi.

- Nie - zaprzeczyła szybko Samanta i nagle poczuła się nieswojo. W Sproule plotki szybko się rozchodziły, co było zwykle zasługą jednej z sióstr Doyle.

Z wahaniem zrobiła krok z powrotem w stronę domu.

- O co chodzi, panno Northrup? - spytała panna Mabel. Całkiem pani zbladła. Czyżby i pani była chora?

Samanta potrząsnęła głową, chowając twarz przed ich wścibskimi spojrzeniami.

- Czuję się doskonale. - Zachowywała się jak niemądra gąska. Cóż to miało z nią wspólnego, jeśli nawet Marvin Browne nie wyjechał ze Sproule,

jak sądziła? Albo jeśli potrzebował jej pomocy?

Ruszyła zdecydowanie w stronę gospody. Tommy i siostry Doyle pośpieszyli za nią.

- Dziwne imię, Marvin, prawda? - odezwała się panna Mabel, chwilowo tracąc zainteresowanie osobą Samanty.

- Znałam pewnego Marvina Browne'a, Browne'a z „e” na końcu - przypomniała sobie panna Hattie:

- Doprawdy? - zdziwiła się panna Mabel.

- Owszem. Ty też go znałaś. Był nauczycielem u księcia Ayleborough.

Nie pamiętasz? Dawno temu, kiedy chłopcy byli mali.

- Och, przed laty - zawołała panna Mabel. - Tak, chyba sobie przypominam. Arogancki człowiek. Pochodził z Londynu i ciągle się złościł, że mówimy jak Szkoci, a powinniśmy się posługiwać królewską angielszczyzną. Głupiec.

Opis pasował do Marvina Browne'a, ale Samanta nie mogła sobie wyobrazić człowieka poznanego tamtej pamiętnej nocy w roli prywatnego nauczyciela. Poza tym, poznany wczoraj mężczyzna wydawał się nawet młodszy od obecnego księcia.

Samanta pokręciła głową, próbując nie słuchać niemądrej paplaniny siostr Doyle. Potrafiły tak pleść całymi dniami. Uświadomiła sobie, że jeśli pogodzi się z losem i zamieszka w ich domu, niechybnie szybko oszaleje.

Jakby czytając w jej myślach, panna Mabel zagadnęła: - Czy myślała pani o wprowadzeniu się do nas?

- Właśnie - przerwała jej panna Hattie. - Nie możemy się doczekać. Mam nieznośne bóle w lewym kolanie ...

- Kręgosłup okropnie daje mi się we znaki - nie dała jej dokończyć panna Mabel.

- O tak, twój kręgosłup rzeczywiście jest w złym stanie przyznała panna Hattie. - Ale to kolano utrudnia mi chodzenie. Nagle zaczęła utykać dla lepszego efektu. - Miło będzie, kiedy pani z nami zamieszka. Już nigdy nie będziemy musiały się martwić naszymi dolegliwościami. Prawda, siostrzo?

- Cóż, jeszcze nie podjęłam ostatecznej decyzji - powiedziała ostrożnie Samanta.

- Wieś podjęła ją za panią - stwierdziła panna Mabel.

- Owszem - potwierdziła panna Hattie. - Czekamy niecierpliwie, kiedy się pani wreszcie wprowadzi. Trzy stare panny pogodzone ze światem - rozmarzyła się na głos.

Ów świat wydał się Samancie nagle bardzo mały. Uświadomiła sobie, czego najbardziej się boi - że będzie żyła i umrze samotnie ... bo z siostrami Doyle czekała ją wielka samotność. Wszyscy unikali ich, jak tylko mogli.

Ostatni rok nie był łatwy, ale przyszłość rysowała się jeszcze gorzej.

Na szczęście nie musiała udzielać odpowiedzi, jako że dotarli właśnie do gospody. Samanta szybko weszła do środka przez wąskie drzwi.

Wziąwszy pod uwagę wszystkie okoliczności, gospoda Pod Niedźwiedziem i Bykiem prosperowała całkiem nieźle. Poza kościołem był to jedyny ośrodek życia towarzyskiego w Sproule i najbliższej okolicy. John Sadler i jego rodzina znani byli z gościnności i umiłowania plotek, które to cechy wystarczały, by skutecznie przyciągać gości.

Ma się rozumieć, pomiędzy gospodą i siostrami Doyle nie mogła się uchować żadna tajemnica w Sproule.

Samanta skinęła Johnowi Sadlerowi, który powitał ją stojąc w progu z miną wyrażającą niepokój.

- Rozumiem, że macie tu chorego.

- Tak, tak - potwierdził, prowadząc ją przez główne pomieszczenie z wielkim paleniskiem i bielonymi ścianami. Jedyne umeblowanie stanowiły masywne stoły na kozłach i długie ławy. – Panno Mabel i panno Hattie, może siądziecie tu sobie, a Tommy przyniesie wam po kubku gorącego cydru?

- Och, to miłe - ucieszyła się panna Mabel. - Ale wołałybyśmy zobaczyć tego Marvinina Browne'a.

- Właśnie, chcemy go zobaczyć - zawtórowała jej siostra i obie ruszyły za Samantą i gospodarzem w stronę schodów prowadzących na piętro, gdzie znajdowały się pokoje gościnne.

John Sadler wzruszył ramionami. Sióstr Doyle nie można było do niczego zniechęcić, kiedy już' podjęły decyzję.

- Przyszła panna Northrup? - dobiegł ich głos pani Sadler.

- Tak, jest tutaj - odpowiedział jej mąż.

Birdie Sadler wyłoniła się z kuchni.

- Dobrze, że pani się zjawiała, panno Northrup. Boimy się, że choroba tego człowieka może być zaraźliwa.

- Od kiedy choruje? - spytała Samanta, kiedy szli wąskim korytarzem; siostry Doyle deptały im po piętach. Tommy trzymał się blisko matki.

- Słyszeliśmy, jak ... - Pani Sadler uczyniła wymowny ruch ręką. - Na długo przed świtem. Zwrócił każdą kroplę brandy, którą miał w sobie, i nie tylko, sądząc po odgłosach. Kiedy wczoraj zszedł po drugą butelkę, wyglądał jak normalny pijak. Chwiał się na nogach i miał przekrwione oczy.

- Pije, widzi pani? - odezwała się panna Mabel, szturchając Samantę od tyłu.

- No, no - mruknęła jej siostra.

- Jadł coś? - spytała Samanta, starając się ignorować komentarze swoich cieni.

Dotarli na piętro i Sadler zatrzymał się przed drzwiami jednego z trzech pokoi.

- Zupełnie nic - odpowiedziała jego żona. Samanta zmarszczyła czoło.

- Czemu sądzicie, że jego choroba nie wzięła się z nadużycia mocnego trunku?

- Mój mąż i ja widzieliśmy w życiu dość pijaków, panno Northrup - odpada pani Sadler. - Ten człowiek jest naprawdę chory. Kiedy mąż wszedł dzisiaj do jego pokoju i próbował go zbudzić, on nawet się nie poruszył.

- Ma rozpaloną skórę, czego nie widziałem u żadnego pijaka - dodał John Sadler, kładąc dłoń na kłance. - Muszę ostrzec, że to nie będzie przyjemny widok, panno Northrup. - Nie spodziewam się przyjemności - zapewniła go Samanta.

- Jesteśmy przygotowane na najgorsze! - oznajmiła panna Mabel niemal radośnie.

Gospodarz otworzył drzwi, nie wysilając się na pukanie.

Pani Sadler odsunęła się na bok, ale siostry Dole zajrzały do środka wyciągając szyje. Prawie natychmiast cofnęły się, zatykając nosy.

Przyzwyczajona do doglądania chorych Samanta była przygotowana na niemiły zapach. Biedny pan Browne. Wszystkie wiadra i miednice wypełnione były po brzegi. Odór wymiocin mieszał się z zapachem alkoholu i nie mytego męskiego ciała.

Tak, to był on. Rozpoznała go mimo dwudniowego zarostu na brodzie.

Leżał na plecach; swą rosłą postacią wypełniał małe łóżko.

W rozproszonym świetle, padającym przez zasłonięte okna, wyglądał fatalnie. Wciąż był całkiem ubrany, nie ściągnął nawet zabłoconych butów, choć poplamiony płaszcz był wymięty, jakby bez powodzenia próbował go z siebie zdjąć. Można by pomyśleć, że spokojnie śpi, gdyby nie ostry rumieniec na twarzy, płytki oddech i skóra błyszcząca od potu.

Samanta, mocno zaniepokojona, podeszła bliżej i dotknęła wierzchem dłoni policzka chorego. Czuła bijącą od niego gorączkę.

- Panie Sadler, proszę usunąć stąd te wiadra - zarządziła. ostro. - I nie wylewać ich zawartości przez okno, tylko kazać Tommy'emu zakopać.

Sadler pstryknął palcami na syna, żeby natychmiast wykonał polecenie. Chłopiec usłuchał niechętnie, zatykając sobie nos.

- Co to jest, panno Northrup? - spytał Sadler z niepokojem. Wie pani, co mu jest?

Samanta odstawiła swój koszyk. Nie musiała sprawdzać w notatkach, żeby rozpoznać chorobę.

- To grypa.

Miała wrażenie, że w pokoju nagle zabrakło powietrza.

Grypa już raz nękała wieś tej zimy, podobnie jak poprzedniej. Nawet zdrowi i młodzi mieszkańcy Sproule lękali się grypy, gdy zobaczyli, jak szybko odszedł pastor Northrup. A w zeszłym miesiącu straciło przez nią

życie małeńkie dziecko Rymansów.

Pani Sadler chwyciła syna za ramię i przyciągnęła go do siebie.

- Zejdź na dół i zajmij się rodzeństwem. Nie wpuszczaj ich na górę.

- Pójdę z nim - zgłosiła się panna Mabel. Panna Hattie była już w połowie schodów.

- Musimy pozbyć się tego człowieka z mojej gospody - oświadczył stanowczo John Sadler. Nikt się tu nie zjawi, jeśli będą wiedzieli, że trzymam pod swoim dachem chorego na gripę.

- Naszym obowiązkiem jest zapewnienie mu pomocy i opieki - napomniała go Samanta. - Ten człowiek jest bardzo chory. Nie jestem pewna, czy rozsądnie będzie go przenosić. - Przytknęła palce do puls na szyi Browne'a. Poczowała słabe, lecz regularne bicie jego serca. Chory poruszył się niespokojnie i odepchnął jej rękę, jakby dotyk sprawił mu przykrość.

- Panie Browne? - Samanta pochyliła się nad nim. - Panie Browne, słyszy mnie pan? - powtórzyła głośnie.

Odwrócił głowę, marszcząc czoło.

- Odejdź - mruknął. Jego głos był zduszony i słaby. Zupełnie nie przypominał tego onieśmielającego mężczyzny, którego spotkała zaledwie poprzedniego dnia.

- Panie Browne, proszę otworzyć oczy. Proszę coś powiedzieć. Samanta nie spodziewała się, że jej odpowie ... ale nagle otworzył oczy. Ze zdumieniem odkryła, że wcale nie są czarne niczym węgiel, jak zapamiętała, lecz mają ciepły odcień brązu. A w czarnym zaroście przeświecały rude pasemka.

Patrzył na nią półprzytomnie.

- Panie Browne, pamięta mnie pan? Jestem panna Northrup. Nie odpowiedział. A potem, kiedy już zaczynała sądzić, że nie doczeka się odzewu, powiedział niskim głosem:

- Strażniczka grobu.

Gospodarz przyjął j ego słowa z cichym okrzykiem zdumienia. Samancie także przebiegł dreszcz po plecach, kiedy dodał chrapliwie:

- Przyszła pani, żeby mnie w końcu zabrać?

- Nie wiem, co pan ma na myśli - odparła z wahaniem.

- Umieram, panno Northrup - szepnął. Wykrzywił wąskie usta w ironicznym uśmiechu. - Umieram ..

Wzięła go za rękę. Była sucha, szorstka i zimna, pomimo gorączki. Roztarła mu palce, żeby pobudzić krążenie krwi. Miał długie, wąskie dłonie o spiczasto zakończonych palcach. Była w nich jakaś delikatność, ale także siła.

- Nie umrze pan, panie Browne. Nie pozwolę na to. Potrząsnął nieznacznie głową, zamykając oczy.

- Cholernie gorąco. - Próbował rozluźnić krawat, zaciągnięty ciasno

przy wcześniejszej szamotaninie.

Rozumiejąc, jakie to ważne dla pacjenta, by czuł się wygodnie, Samanta zahaczyła palcem o węzeł i rozwiązała krawat. Zamierzała zdjąć mu go z szyi, kiedy złapał ją za rękę. Uścisk był zadziwiająco mocny.

Miał oczy szeroko otwarte i tym razem widział ją wyraźnie. - Odejdź. Odejdź ode mnie.

Teraz był tym samym człowiekiem, jakiego pamiętała z tamtej nocy. Niebezpiecznym człowiekiem.

Wytrzymała jego ciężkie spojrzenie. - Nie zostawię pana w takim stanie.

- Może pani iść do diabła ze swoją szlachetnością. - Mówił tak cicho, że ledwie go słyszała. - Nie potrzebuję pani ani nikogo innego.

Szarpnęła się do tyłu, a chory nagle puścił jej rękę. Jednakże zamiast zniechęcić się jego słowami, tym bardziej zapragnęła otoczyć go opieką. Każdy kogoś potrzebował. Wierzyła w to całym sercem.

- Nie zostawię pana, panie Browne, ponieważ nie chcę, żeby grypa zabrała kolejną ofiarę. Nikogo więcej. Słyszysz mnie pan? Czy pan sobie tego życzy, czy nie, będzie pan żył.

Patrzył na nią coraz mniej przytomnie, wyczerpany. Wreszcie wolno zamknął oczy.

- Niech pani robi, co chce - powiedział i stracił przytomność. Samanta nie wiedziała, czy miało to być przekleństwo, czy błogosławieństwo.

- Zna pani tego człowieka? - spytała pani Sadler. To bezceremonialne pytanie przypomniało Samancie, że nie jest sama.

Podniosła koszyk z medykamentami, stojący na podłodze u jej stóp, i zaczęła w nim szperać, przysiadając na skraju łóżka. Jeśli miała dotrzymać danej obietnicy, musiała zacząć leczenie od razu.

- Spotkaliśmy się poprzedniej nocy. Chciał wejść do grobowca rodziny Ayleborough.

- Co takiego? - zdumiała się pani Sadler.

Odnalazłszy w koszyku małą muślinową torebkę, Samanta podniosła wzrok.

- Chciał wejść do grobowca rodziny Ayleborough - powtórzyła cierpliwie. - Proszę, pani Sadler, to są zioła na spędzenie gorączki. Proszę zaparzyć z tego herbatę, im więcej, tym lepiej.

Jednak pani Sadler nie wzięła woreczka z jej dłoni, tylko przestraszona odwróciła się do męża.

- Spotkała go, jak się szwendał po cmentarzu. Kto się tak zachowuje? A słyszałaś, jak wysyłał ją do diabła? A przecież sam leży na łożu śmierci!

- Pani Sadler, on nie jest sobą - wtrąciła się Samanta. - Nie można mu brać za złe tego, co mówi.

Właściciel gospody podszedł bliżej; jego twarz miała zacięty wyraz.

- Ten człowiek nie zostanie w mojej gospodzie. Chcę, żeby się stąd wyniósł. - Wziął żonę za ramię, obrócił się na pięcie i ruszył do drzwi.

Samanta poszła za nim.

- Ten człowiek potrzebuje naszej opieki. Nie może go pan zostawić na pastwę losu.

- A co zrobisz, jeśli umrze w tym łóżku? - spytał Sadler. Jego ciężkie buty stuknęły głucho o drewniane schody. - Ludzie są bardzo przesądni, panno Northrup. Nikt nie będzie chciał nocować w tym pokoju, nie mówiąc już o samym łóżku, jeśli on spotka się tu ze Stwórcą. Czasy są ciężkie. Nowy 'książę nie bywa tu tak często jak jego ojciec, a cała tutejsza szlachta woli grzać sobie nogi w Londynie niż marznąć w Northumberland. Ten człowiek może mnie zrujnować - dodał wchodząc do pustej jadalni.

Samanta podążała za nim; spódnica owijała jej się wokół kostek, kiedy próbowała dotrzymać mu kroku. Gdy pani Sadler oddaliła się do kuchni, Samanta powiedziała:

- Panie Sadler, zostanę tu i będę się nim opiekować. Pan nie będzie musiał kiwnąć palcem. Słyszysz mnie pan? - spytała z irytacją, kiedy gospodarz podszedł do beczki z piwem i nalał sobie wielki kufel.

- Tak, słyszę panią, i moja odpowiedź brzmi: nie! - Podniósł kufel do ust i wypił duszkiem całą zawartość.

Ten brak współczucia rozgniewał Samantę nie na żarty.

- Gdyby żył mój ojciec ...

- Ale nie żyje, bo zachorował na grypę - przerwał jej Sadler ze złością.

- A ja nie chcę skończyć tak jak zacny pastor, Panie świeć nad jego duszą.

Pani Sadler wyszła z kuchni; miała łzy w oczach.

- Siostry Doyle sobie poszły. Tommy mówi, że bały się o swe życie. W niespełną godzinę rozniosą wiadomość po całej wsi.

Sadler pokręcił głową.

- Nie martw się, Birdie. Każę go zawieźć na Post Road i wsadzić do pierwszej karetki pocztowej jadącej na południe.

- Nie może pan tego zrobić! - Samanta przestraszyła się. Jazda karetką pocztową w taką pogodę go zabije. Mamy chrześcijański obowiązek. ..

- Nie chcę słyszeć o chrześcijańskich obowiązkach! - uciał Sadler. - Pilnuję własnych.

W tym momencie przerwała im Alys Porter, żona kowala, która pojawiła się w drzwiach.

- Birdie, słyszałam od sióstr Doyle niepokojące wieści. Czy to prawda, że macie tu przypadek grypy?

Pani Sadler jęknęła, opadając na ławkę przy jednym ze stołów i zakrywając usta dłonią.



Odpowiedział za nią mąż.

- Tak, to prawda, ale nie zabawi tu długo. Mam zamiar wezwać kilku chłopaków i wyślemy go w drogę. - Ruszył do drzwi.

Samanta podbiegła i zastąpiła mu drogę.

- Ten człowiek umrze bez - odpowiedniej opieki, a Jego śmierć spadnie na pańskie sumienie.

- Lepiej, żeby umarł on niż któreś z moich dzieci. - Ominął ją i wyszedł. Samanta słyszała, jak na zewnątrz woła do Roddy'ego, najemnego parobka, żeby sprowadził wóz.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Nie możecie tak po prostu wyrzucić tego człowieka! Bóg każe nam troszczyć się o siebie nawzajem, nawet jeśli jesteśmy sobie obcy - zwróciła się do żony gospodarza.

Pani Sadler wstała; miała minę równie zaciętą jak jej mąż. - To może powinna pani zabrać go pod swój dach, panno Northrup. Wtedy będzie pani mogła troszczyć się o niego do woli.

- Poczekaj, Birdie - wtrąciła się żona kowala. - To całkiem dobry pomysł!

- Jaki pomysł? - zdumiała się Samanta.

- Żeby przewieźć pana Browne'a do wikarówki. Będzie pani mogła tam się nim opiekować, panno Northrup.

- Właśnie - przytaknęła pani Sadler, odzyskując humor. To najlepsze rozwiązanie.

- Chwileczkę. - Samanta próbowała je powstrzymać. - Wiecie, że nie mogę na to pozwolić.

- Dlaczego? - zdziwiła się pani Sadler.

- Bo jestem niezamężna. To byłoby nie na miejscu.

- Nonsens - obruszyła się pani Sadler. - Nie jest pani jakąś młódką, panno Northrup, dawno ma pani za sobą najlepsze lata. I nie pasuje do pani ta dziewczęca skromność. W końcu zajmowała się pani niejednym pacjentem płci męskiej. A niektórzy z nich byli odziani nader skąpo albo i wcale.

Samanta poczuła gorący rumieniec na policzkach.

- Pani Sadler, to było co innego. Zawsze towarzyszył mi któryś z członków rodziny. A z tym mężczyzną byłabym sam na sam.

Pani Sadler prychnęła wzgardliwie.

- Wydaje mi się, panno Northrup, że próbuje pani narzucać nam chrześcijańskie powinności, a sama się od nich uchyla.

Wrócił John Sadler w towarzystwie Roddy'ego i kowala Dana Portera. Stali czekając, kiedy będą mogli wynieść chorego.

Samanta tupnęła ze złością. - Nie możecie tego zrobić!

Minęli ją bez słowa. Słyszała, jak schody skrzypią pod ich ciężkimi

butami, a potem dobiegł odgłos otwieranych drzwi do pokoju Marvina Browne'a. Szuranie butów świadczyło o tym, że sposobią się do przeniesienia chorego.

Niedługo potem znów pojawili się w jadalni, niosąc za ręce i nogi nieprzytomnego Browne'a. Bynajmniej nie silili się przy tym na delikatność.

Samanta patrzyła bezradnie, jak wychodzą na zewnątrz. Nie mogła im na to pozwolić. Bez zastanowienia ruszyła do drzwi.

Sprowadzony przez Roddy'ego wóz czekał już przed gospodą. Zaczął padać śnieg wielkimi wilgotnymi płatkami. Osiadały i topniały na ubraniu Browne'a, którego rzucono niedbale na tył wozu.

Samanta nie mogła uwierzyć własnym oczom. To było okrucieństwo! Niegodziwość!

Roddy przeszedł na przód wozu, gotowy usiąść na koźle. Samanta jeszcze raz zwróciła się błagalnie do właściciela gospody:

- Tak nie można. Proszę, niech pan tego nie robi.

- Już to zrobiłem, panno Northrup - odparł zimno.

Roddy wskoczył na kozioł i wziął lejce w ręce. Samanta czuła, że nie może pozwolić, by zostawili chorego na pewną śmierć. Obiegła wóz i stanęła przed końmi, zastawiając im drogę; włosy wymknęły jej się ze schludnego koka.

- Stójcie! - zawołała.

Roddy zdążył jakoś powstrzymać konie, by jej nie stratowały.

- Zabieram go - zdecydowała. - Zawieźcie go do wikarówki.

## 3

Oświadczenie Samanty spotkało się z głuchym milczeniem.

W końcu kowal, niski mężczyzna o beczkowatej piersi, wystąpił nieco przed pozostałych.

- Nie jestem pewien, czy pani powinna to zrobić, panno Northrup. Sadler ma rację. Najlepiej będzie, jeśli go odeślemy.

Samanta wolno odwróciła się do niego, niepewna, czy dobrze usłyszała. Kowal Porter znany był z ojcowskiej dobroci i pogodnego usposobienia, a jednak nawet on odmawiał pomocy choremu.

- Nie zgadzam się, panie Porter. I obawiam się straszliwej zemsty, jeśli nie spełnimy naszego chrześcijańskiego obowiązku. Nie rozumie pan? Bóg nas doświadcza, właśnie w tej chwili sprawdza nasze miłosierdzie.

Kowal poruszył się niespokojnie. Spojrzał na żonę, która spuściła wzrok, nagle zawstydzona.

- Niech będzie tak, jak pani chce. Nie mam nic przeciwko temu, byle ten człowiek nie zagrażał reszcie z nas.

- Nie będzie zagrażał - obiecała Samanta, po czym zwróciła się do pani Sadler i pani Porter: - Cenię sobie moje dobre imię. Byłoby dobrze, gdyby któraś z mieszkanek wsi zechciała zamieszkać ze mną na ten czas.

Obie kobiety równocześnie zbliżyły się do swoich mężów. - Jestem przekonana, że pani reputacja nie poniesie szwanku - zapewniła gorąco pani Sadler.

- Ale spyta pani o to panią Biggers? - nalegała Samanta. Żona dziedzica była parafialną wyrocznią w sprawach dobrych obyczajów. - Wyjaśni jej to pani?

- Tak, pójdę i zrobię to od razu - obiecała pani Sadler. Kolejna prośba Samanty była trudniejsza do przedstawienia.

Zadrżała, nie tylko od zimna. Co innego udzielać wsparcia, co innego domagać się go od bliźnich.

- Jeśli mam się nim opiekować, potrzebuję jedzenia, drewna, a także węgla, gdyby ktoś z was mógł mi go dostarczyć - powiedziała, nie mając dość odwagi, by spojrzeć im w oczy.

Kowal sprawiał wrażenie przestraszonego, ale pani Sadler zgodziła się ochoczo.

- Oczywiście. Za godzinę będzie pani miała wszystko, czego potrzebuje.

Samanta westchnęła z ulgą.

- Zabiorę tylko moją pelerynę i koszyk z lekami i zaraz będę gotowa do

drogi.

Pani Sadler sama pobiegła do gospody po rzeczy Samanty.

Kiedy wróciła, jej mąż zarzucił Samancie na ramiona ciężką wełnianą pelerynę i pomógł jej zająć miejsce na koźle.

Roddy szarpnął lejcami; ruszyli.

Samanta czuła się trochę nieswojo, jadąc ćwierć mili przez wieś. Siostry Doyle nie próżnowały; prawie wszyscy słyszeli już o chorym mężczyźnie i teraz wylegli przed domy, by obserwować przejazd wozu.

Mabel Doyle, zaczajona przy żywopłocie, szeptała coś do pani Chandler. Pani Ryman stała z posepną miną, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Z pewnością myślała o swoim biednym utraconym dziecku. Nikt się nie odzywał... Samanta poczuła się jak jeden z trędowatych, o których mówiła Biblia.

Kiedy dotarli do wikarówki, krzepki Roddy zarzucił sobie chorego na plecy jak worek ziarna i wniósł go do środka. Samanta z początku zamierzała polecić mu, by wniósł Browne' a do pokoju rodziców, lecz po chwili zmieniła zamiar. Nowy pastor mógłby tego nie pochwalać.

- Roddy, proszę go położyć w mojej sypialni.

Parobek zrobił, co mu kazała, bezceremonialnie ciskając nieszczęsnego Browne'a na łóżko Samanty, a potem skłonił się i pośpiesznie wyszedł. On także obawiał się zaraźliwej choroby.

Samanta powiesiła pelerynę na haku i stanęła na środku kuchni. Z sypialni nie dochodził żaden dźwięk, lecz mimo to wyczuwała obecność Browne'a niemal w każdym kącie. Podobne wrażenie odniosła owej nocy, gdy się poznali.

Przyglądając rozwiane włosy i utykając je na powrót w kok, otwarła drzwi do swojego pokoju.

Marvin Browne wydawał się dziwnie nie na miejscu, leżąc na jej narzucie w błękitno - żółte wzory. Wciąż miał na sobie ubłocone buty. I nadal cuchnął.

Przyszła jej do głowy straszna myśl: jeśli nie weźmie się zaraz do roboty, chory może umrzeć na jej własnym łóżku.

Przystąpiła do działania. Chwyciwszy wiadro, wyszła napompować wody. Drewniano - metalowy uchwyt pompy ziębił jej dłonie. Wielkie, piękne płatki śniegu wirowały w powietrzu wokół niej, lecz nie miała czasu zachwycać się ich urodą.

Woda popłynęła z chlupotem. Samanta napełniła wiadro po sam wrębek i przeniosła je kilka kroków dzielących studnię od kuchennych drzwi, prostując napięte pod ciężarem mięśnie.

Podkładając kilka szczap do gasnącego ognia, roznieciła go na nowo i nastawiła wodę do zagotowania w czarnym żelaznym czajniku.

Rozległo się pukanie do drzwi. Była to pani Sadler z Tommym i Roddym. Wszyscy troje nieśli płócienne worki z żywnością.

- Proszę, połóżcie je na stole w kuchni - powiedziała Samanta.

- Roddy przyniesie jeszcze drewno i, jeśli się pani przyda, worek węgla - rzekła pani Sadler.

- Przyda się - zapewniła Samanta z wdzięcznością. - Mam piecyk, którego używaliśmy przy mojej matce. Dobrze ogrzeje pokój węglem.

- Świetnie - powiedziała pani Sadler z zadowoleniem. Cóż, będziemy się zbierać.

Była już prawie za drzwiami, kiedy Samanta przypomniała sobie, że chciała ją o coś zapytać:

- A co z panią Biggers? Wyjaśniła jej pani, co należało?

- Nie miałam okazji, ale porozmawiam z nią, gdy tylko się spotkamy.

Proszę się o nic nie martwić.

Zamierzała wyjść, kiedy Samanta zatrzymała ją kolejnym pytaniem.

- A co z jego płaszczem?

- Z płaszczem?

- Właśnie. Miał porządny wełniany płaszcz, ale nie przywieziono go tu razem z nim.

Pani Sadler ściągnęła usta.

- Jest nam coś winien za kłopot, jaki sprawił.

Samanta przypomniała sobie pełną sakiewkę, którą jej oferował.

Włożył ją z powrotem do kieszeni płaszcza.

- Zapłacił za pokój?

- Za jedną noc.

- I mieszkał tylko jedną noc. A co do kłopotów, może się pani rozliczyć z panem Browne'em, kiedy będzie zdrow.

- A jeśli nie wyzdrowieje?

Samanta miała ochotę zetrzeć jej z twarzy. wyraz lisiej przebiegłości.

- Wyzdrowieje - niemalże warknęła. - Nie pozwolę mu umrzeć.

Pani Sadler zamrugnęła, zbита z tropu jej wrogością, i wycofała się za próg.

- Przyślę jego płaszcz później, kiedy Roddy przyjedzie z węglem.

- Dziękuję.

Żona właściciela gospody oddaliła się, ciągnąc za sobą syna, lecz Roddy nie śpieszył się z odejściem.

- Proszę mi wybaczyć, panno Northrup, ale miałem bliski kontakt z tym człowiekiem. Myśli pani, że zaraziłem się od niego i też zachoruję? - W zwykłe pogodnych oczach chłopca czaił się strach.

- Nie wiem, Roddy. On jest bardzo chory - odpowiedziała szczerze i wzięła chłopca za rękę. - Nie powinieneś się obawiać. Bóg nagradza nas,

kiedy czynimy coś dobrego.

Wyrwał dłoń z jej uścisku.

- To biedne małe dziecko umarło, choć nie zrobiło nikomu nic złego. A pani ojciec? Muszę się sam o siebie troszczyć. Nie mogę zachorować na grypę. - Wyszedł, niemal zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Została sama na placu boju.

W torbie zjedzeniem znalazła kawałek szynki z kością, więc wstawiła ją do garnka, żeby się ugotowała. Następnie nalała zimnej wody do miednicy, wzięła kilka miękkich szmatek ze swojego koszyka i udała się do sypialni. Słyszała, że woda w czajniku zaczyna wrzeć. Dobrze. Wreszcie coś zaczynało iść po jej myśli.

Przez zasłonięte okna sączyło się słabe światło. Mimo trawiącej go gorączki, Browne był blady; jego twarz pokryta była lśniącem potem.

Samanta zmoczyła gruby ręcznik, położyła choremu na czole i wyszła zaparzyć zioła zbijające temperaturę. Parę minut później wróciła do sypialni z filiżanką naparu i gąbką w dłoni. Chory zrzucił kompres. Postawiła filiżankę na stoliku przy łóżku i podniosła z podłogi ręcznik. Ponownie zanurzyła go w wodzie, wycisnęła i cierpliwie ułożyła na czole pacjenta. Miała świadomość, że będzie to robić dziesiątki razy, nim noc dobiegnie końca.

Usiadła na brzegu łóżka.

- Proszę mnie posłuchać, panie Browne. Musi pan wypić ten napar. Pomoże panu.

Żadnej odpowiedzi. Uznała brak sprzeciwu za zgodę. Uniósłszy jego głowę, zaczęła za pomocą łyżeczki wlewać mu płyn do ust. Czynność była uciążliwa i zajęła wiele czasu.

- Cóż, nie mam powodu oczekiwać, że będzie pan miły, prawda?

Nie odpowiedział.

Zwykle, podając w ten sposób lekarstwo, zakładała fartuch, żeby ochronić suknię przed zabrudzeniem, lecz tym razem nie przejmowała się plamami. Wydała bezwzględny wojnę grypie.

Kiedy filiżanka była pusta, Samanta postanowiła rozebrać chorego i obmyć go zimną wodą; był to najszybszy sposób obniżenia gorączki.

Na zewnątrz padał coraz gęstszy śnieg. Słyszała cichy szmer maleńkich kryształków uderzających o okiennice. Zawsze lubiła śnieg, lecz tym razem tylko wzmógł jej poczucie samotności.

Stała w nogach łóżka. Błoto z butów zabrudziło narzutę. - W porządku, najpierw pozbędziemy się butów.

Jednak powiedzieć to nie to samo, co zrobić. Buty pana Browne'a były robione na miarę. Miały nieco zdarte obcasy, lecz opinały mu stopę jak rękawiczka. Nim się z nimi wreszcie uporała, była zasapana z wysiłku.

Odgarnęła z czoła niesforny kosmyk.

- Teraz bierzemy się za resztę.

Nie przerażała jej perspektywa oglądania nagiego Browne' a.

Pani Sadler miała rację: zajmowała się wieloma chorymi mężczyznami, nie tylko swoim ojcem, i szczegóły męskiej anatomii nie były dla niej tajemnicą. Zgadzała się z opinią doktora Reesa, że pozbawienie ludzi ubrania czyni z nich nader żałośnie wyglądające istoty ... a Samanta w głębi duszy uważała, że z obu płci mężczyźni wyglądają głupiej.

Zdjęcie surduta z dobrze zbudowanego mężczyzny, leżącego bezwładnie jak nieboszczyk, nie było wcale łatwe, lecz Samanta, mimo drobnej postury, była silną kobietą. Poza tym nie miała wyboru, więc po krótkiej walce jakoś zgięła jego długie ręce i zdołała osiągnąć cel.

Z koszulą poszło łatwiej. Wspięła się na łóżko, położyła sobie głowę chorego na kolanach i jednym szarpnięciem zdjęła z niego koszulę, po czym rzuciła ją na podłogę obok surduta.

Przypadkowo dotknęła wierzchem dłoni szorstkiego od zarostu podbródka. W surowych, męskich rysach była jakaś siła. Charakter.

- Kim jesteś, panie Browne, przez „e” na końcu? - spytała cicho. - Czy ktoś na ciebie czeka? Ktoś się zastanawia, gdzie jesteś? - Zamilkła na chwilę. - Jeśli tak, to masz szczęście.

Wysunęła się spod niego i zeszła z łóżka.

- Przyszła pora na spodnie, sir.

Zacząła rozpinać guziki. Całe ubranie uszyte było z dobrego gatunkowo materiału, choć nosiło ślady zużycia.

Kiedy dotarła do ostatniego guzika i tym samym do bardziej wrażliwych obszarów jego anatomii, chory poruszył się niespokojnie i uderzył ją po ręce. Ucieszyła się. Każdy przejaw życia był korzystny.

Wsuwając ręce pod pasek, zaczęła ściągać z niego spodnie ... i zdębiała.

- No, no. - Pan Browne nie był zbudowany tak jak inni mężczyźni. „Imponujący” było pierwszym określeniem, jakie przyszło Samancie na myśl.

Pokój wydał jej się nagle ciasny i duszny. Zaczepnęła głęboko powietrza. Nie powinna się gapić.

- Och, dobry Boże - szepnęła, przenosząc wzrok na sufit.

Szybko dokończyła rozbieranie chorego. Starła się nie patrzeć, ale przychodziło jej to z trudem, ponieważ cechowała ją wrodzona ciekawość wszystkiego.

Nie mogła też nie zauważyć, że nogi pana Browne'a były wyjątkowo kształtne. Podobały jej się nawet jego długie, mocne stopy.

Zanurzając w miednicy z zimną wodą kolejne ręczniki, obłożyła nimi Browne'a, zaczynając od najbardziej wrażliwych miejsc. Drgnął, kiedy zimne płótno dotknęło rozpalonej skóry, ale nie zrzucił okładu. Szybko okryła go

całego. Gdy skończyła, wyszła na zewnątrz do pompy, żeby przynieść więcej wody. Zimne powietrze przyjemnie chłodziło jej rozgrzane policzki.

Na skraju cmentarza pojawiła się pani Porter.

- Jak pani idzie, panno Northrup? - zawołała.

Samanta czuła w piersi walenie serca. Czy twarz ją zdradziła? Czy nadal była zaczerwieniona ze wstydu?

- Świetnie. Wszystko jest w porządku - zdołała wydusić.

- To dobrze. - Żona kowala pomachała jej i poszła dalej.

Samanta zaczęła pompować wodę. Powinna napełnić drugie wiadro i wylać je sobie na głowę za to, że była taką fujarą. Nigdy wcześniej nagie męskie ciało nie przyprawiało jej o rumieniec.

W kuchni szynka zaczynała bulgotać. Samanta dosypała do niej suszonego grochu, zamieszała, a potem zaniosiła wiadro z wodą do sypialni.

Metodycznie zdejmowała kompresy i moczyła je w świeżej wodzie, powtarzając tę czynność wiele razy. Gorączka nie ustępowała. Wreszcie, kiedy Samanta zaczęła już mieć wątpliwości, czy uda jej się ją spędzić, pojawiły się dreszcze. .

Chory trząsł się tak gwałtownie, że całe łóżko drżało razem z nim. Samanta szybko usunęła okłady i chciała go nakryć kołdrą ... tylko że on leżał na kołdrze, a ona była zbyt zmęczona, żeby ją spod niego wyciągnąć. Pobiegła więc do sypialni rodziców, znajdującej się po drugiej stronie kuchni, po koce i piecyk na węgiel. Przechodząc przez kuchnię, słyszała, jak chory coś mamrocze, lecz nie była w stanie rozróżnić słów.

Narzuciła na niego wszystkie koce, po czym naładowała węgla do piecyka i podpaliła. Nim skończyła, mamrotanie chorego przeszło w krzyki:

- Zabić cholernego bękarta! Uderz mocniej! - Machał rękami i kopał, zrzucając okrycie na podłogę.

Samanta podniosła je i przykryła go ponownie.

- Billy! - krzyczał Browne, szczękając równocześnie zębami. - Uważaj na tyły, Billy! - Podniósł się na łóżku, patrząc przed siebie otwartymi, lecz nie widzącymi oczyma.

Samanta pchnęła go z powrotem na łóżko, nie przejmując się już jego nagością. Położyła się na chorym, żeby przytrzymać na nim koce.

- Panie Browne, musi pan zostać w łóżku. Słyszysz mnie pan? Nie słyszał jej. Nadal ostrzegał Billy'ego, żeby pilnował tyłów.

- Ci przekłęci piraci oblażą statek niczym robactwo!

Piraci?

Wyglądał raczej na człowieka, który sam mógłby być piratem, niż na takiego, który z nimi walczy.

Dzika szamotanina wkrótce ustała. Mimo iż w pokoju zrobiło się ciepłej za sprawą piecyka, chory nadal szczekał zębami. Krzyki ucichły; znów



mamrotał coś niezrozumiale. Dopiero po chwili zorientowała się, że mówi w obcym, nie znanym jej języku.

Z dnia zrobiła się noc. Po ataku gorączki następowały dreszcze, a po nich kolejny atak gorączki, stopniowo coraz wyższej. Chory na przemian pogrążał się w trupim bezruchu i walczył z niewidzialnymi demonami. W pewnej chwili w pokoju zrobiło się tak gorąco, że Samanta zdjęła z siebie brązową sukienkę.

Śnieżyca ustała dopiero dobrze po północy. Samanta była wyczerpana. Oczy piekły ją z niewyspania. Nie udawało jej się przerwać męczącego cyklu, który mógł doprowadzić do śmierci Browne'a. Przyniosła sobie krzesło do sypialni i usiadła przy łóżku, obserwując niespokojny sen swego pacjenta.

Nagle chory zeszywniał. Uniósł się na łóżku nie otwierając oczu. Wyrzucił z siebie jedno słowo: „Ojczy!” a w jego krzyku był niezmierny ból i rozpacz.

Samancie śmierć nie była obca. Zbyt często miała z nią do czynienia, żeby nie rozpoznać pewnych znaków. Marvin Browne był umierający.

Łzy spływały jej po policzkach. Zsunęła się z krzesła, klękając przy łóżku i składając dłonie do modlitwy.

- Nie możesz go zabrać, Panie - prosiła. - Mam już dosyć śmierci wokół siebie. Jestem zmęczona i nie wiem, czy to zniosę. Proszę, nie zabieraj go.

Jej modlitwa rozplynęła się w ciszy. Ukrywając twarz w dłoniach, Samanta oparła się o łóżko wstrząsana żalonym łkaniem.

Pląkała nie tylko nad nim, ale także nad sobą. Jej życie wkrótce miało ulec zmianie, a nie miała do kogo się zwrócić, nikogo, komu mogłaby zaufać. Jej dziewczęce marzenia o mężu i dzieciach nigdy nie miały się spełnić. Czuli się tak, jakby umierała w niej dusza.

Nagle czyjaś dłoń spoczęła na jej głowie. Samanta podniosła załzawione oczy. Marvin Browne wpatrywał się w nią z troską ciemnymi, błyszczącymi od gorączki oczyma.

- Nie płacz - powiedział schrypniętym głosem.

Samanta patrzyła na niego bez słowa. Brzemie rozpacz, przygniatające ją jeszcze przed chwilą, gdzieś się ulotniło.

Ręka chorego zsunęła się z jej głowy i opadła bezwładnie na łóżko. Zamknął oczy.

Samanta dotknęła jego czoła. Nadal miał gorączkę, ale w nią wstąpiła nowa nadzieja.

Podniosła się, zajrzała do swoich medycznych notatek, po czym zaparzyła kolejną filiżankę herbaty z ziół. Podjęła od nowa walkę o życie Marvina Browne'a.

Do południa następnego dnia gorączka nieco opadła. Chory nadal miał dreszcze, ale już nie wstrząsały nim tak gwałtownie. Samanta z uporem

kontynuowała lecznicze zabiegi.

Wiedziała już, że jej pacjent mówi wieloma różnymi językami. Udawało jej się wychwycić francuskie lub włoskie słowo, ale tylko te była w stanie rozpoznać. Walczył z piratami i sztormami. Mówił o statkach i ładunkach. Często wzywał Billy'ego ... Billy'ego, który nigdy nie przychodził.

O ojcu więcej nie wspomniał ..

Samanta nie opuszczała go na dłużej niż parę minut. Miała wrażenie, że jej obecność sprawia mu pociechę, a dobrze było czuć się potrzebną.

Późnym wieczorem już wiedziała, że udało jej się wygrać.

Siedząc na krześle, nie mogła powstrzymać uśmiechu radości. Zwalczyła gorączkę. Jej pacjent przeżył. Oddychał równo i swobodnie; nadal był blady, lecz nie pocił się i nie trzęsły nim dreszcze.

- Dzięki ci, Panie. - Westchnęła, znów czując ukłucie łez, tym razem jednak wywołanych ulgą i wdzięcznością.

Nie zmrużyła oka od chwili, gdy pacjent znalazł się pod jej dachem, i była zmęczona, bardzo zmęczona. Resztką zupy grochowej wystygła w garnku, bo ogień na kuchennym palenisku całkiem wygasł. W sypialni jednak było bardzo ciepło dzięki kilku kawałkom węgla, dopalającym się w piecyku.

Musiała się położyć. Chociaż na chwilę. Wyciągnęła się na kraju łóżka obok Browne'a. Cudownie było móc wreszcie zamknąć oczy. Pościel była wilgotna, ale od ciała chorego było przyjemne ciepło.

Świeca na stoliku przy łóżku zamigotała i zgasła. Lekki szum wiatru podkreślał panującą na świecie ciszę; - Samanta słyszała mocne, równe bicie serca swego pacjenta.

Obudziło ją stukanie do drzwi. Poderwała się gwałtownie, ze zdumieniem stwierdzając, że leży ubrana na łóżku. Czarna sukienka była okropnie wymięta.

Co się stało? Czyżby matka miała w nocy atak? Uświadomiła sobie, że matka przecież nie żyje.

Odwróciwszy się, Samanta zobaczyła tył głowy drugiej osoby. Mężczyzny ... I natychmiast wszystko sobie przypomniała.

Wstała z łóżka. Marvin Browne spał. Był przykryty po samą szyję ... ale wiedziała, że pod kołdrą jest całkiem nagi.

Jak mogła ...

Pukanie do drzwi powtórzyło się.

- Panno Northrup! Panno Northrup, nic pani nie jest? Birdie Sadler! Skąd się tu wzięła?

Samanta szybko przeszła do kuchni, przecierając zaspane oczy. Ogień zupełnie wygasł i w domu panował przeraźliwy chłód.

Ale Marvin Browne żył! I nagle dzień wydał jej się wspaniały. Zerknęła na swe odbicie w lustrze. Przeczesała włosy palcami, szybko

wplatając w warkocz luźne kosmyki.

- Tak, pani Sadler, wszystko w porządku. Czym mogę pani służyć?
- Przyszliśmy w odwiedziny, ale chcemy wiedzieć, czy to bezpieczne. My?

Samanta wyjrzała przez okno i zaparło jej dech w piersiach.

Dostrzegła na skraju cmentarza wyniosłą sylwetkę żony dziedzica, pani Biggers, siedzącą w saniach zaprzężonych w konia. Wraz z nią w saniach siedziała pani Porter oraz siostry Doyle. Pani Biggers podniosła w górę koszyk, żeby pokazać, iż przybyły z dobroczynną misją. W Sproule był taki zwyczaj, że w razie śmierci lub choroby wspomagało się sąsiadów, przynosząc im żywność.

Ale pan Browne nie umarł.

Pośpiesznie związawszy warkocz wstążką, Samanta otworzyła drzwi.

- Tak, pani Sadler, jest bezpieczne. Zwalczyłam gorączkę. Pan Browne będzie żył.

Oczy pani Sadler zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

- Spodziewałam się najgorszego.
- Ale nie nastąpiło - weszła jej w słowo Samanta. - Dzięki Bogu.
- Tak, dzięki Bogu - powtórzyła jak echo pani Sadler. Po czym odwróciła się do pani Biggers, mówiąc: - Można wejść. Ten człowiek żyje.
- I już nie jest chory - dodała triumfalnie Samanta.
- O, to dobrze - powiedziała pani Biggers, ostrożnie wysiadając z sań. Niepewnie wstąpiła na zasypaną ścieżkę.

Samanta cofnęła się od progu, wpuszczając panią Sadler do środka i rzuciła się do kuchni, by rozpałać ogień.

- Panno Northrup - zawołała radośnie pani Biggers. Bazancie pióra zdobiące jej aksamitny czepek zafalowały. Weszła do kuchni i podała pani Sadler koszyk, a potem zdjęła podróżne okrycie i otrzepała buty ze śniegu. - Tak się o panią martwiłyśmy, moja droga. Kiedy nie odpowiedziała pani od razu na pukanie ... nie wiedziałyśmy, co myśleć.

Samanta miała wątpliwości, czy zdarzyła się kiedyś sytuacja, na temat której pani Biggers nie miałyby osobistej opinii. Zdusiła w sobie nieprzychylnie myśli.

Kobiety czyniły zamieszanie ściągając peleryny i czepki.

W kuchni unosił się zapach wilgotnych ubrań, śniegu i słynnego pasztetu pani Biggers ..

- W koszyku jest też ser i kielbasa - oznajmiła rzeczowo pani Biggers.

Samanta uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością.

- Dziękuję. Zechcą panie usiąść? - Brakowało krzesła, które wyniosła do sypialni. Odczekała, aż drwa na palenisku zajmą się od podpałki i poszła po krzesło. Pan Browne nadal był pogrążony w głębokim śnie. Wychodząc

zamknęła za sobą drzwi. W kuchni kobiety zajmowały miejsca przy stole.

Samanta zmusiła się do uśmiechu, który miał wyrażać gościnność.

- Proszę, panno Hattie. Tu może pani usiąść.

- Mogę w czymś pomóc - zaoferowała się Alys Porter.

- Może pani nastawić wodę w czajniku - powiedziała Samanta. - Tam jest pokaźny zapas herbaty. - Wskazała na jedną z toreb dostarczonych wcześniej przez panią Sadler.

Panna Hattie usadowiła się wygodnie.

- Panna Northrup wygląda trochę mizernie, prawda? - skierowała uwagę do pani Sadler, która zaraz skwapliwie przyznała Jej rację.

- Mówiłam im, że nie powinniśmy przychodzić - powiedziała do Samanty. - Ale pani Biggers nalegała.

- Oczywiście, że nalegałam - potwierdziła żona dziedzica. Biedna panna Northrup była tu odcięta od świata śnieżycą, spełniając miłosierny uczynek. Moja droga, wygląda pani okropnie. Czyżby pielęgnowanie tego nieszczęśnika tak panią wykończyło?

- Nic mi nie jest - zapewniła ją Samanta. W kuchni robiło się coraz cieplej od ognia i obecności ludzi.

Mimo to pani Biggers zadrżała z zimna.

- Sądzę, że parafia powinna unowocześnić wikarówkę, nim mój bratanek się tu wprowadzi - stwierdziła nietaktownie. Wówczas zimą można by siedzieć w saloniku, zamiast w kuchni.

Ojciec Samanty przez lata wielokrotnie, lecz bezskutecznie, prosił o to samo. Nie miała wątpliwości, że teraz, kiedy wymaga tego wygoda nowego pastora, przebudowa pójdzie sprawnie. - Czy herbata już gotowa? - spytała szorstko pani Biggers.

- Musi trochę potrwać, nim woda się zagotuje - wtrąciła panna Mabel, narażając się na nieprzychylne spojrzenie żony dziedzica.

- Zaraz będzie gotowa - uspokoiła pani Porter.

Samanta podeszła do kredensu i wyjęła dzbanek oraz delikatne filiżanki, które były ślubnym prezentem jej ojca dla matki. Z przyjemnością dotykała cienkiej chińskiej porcelany; zawsze przypominała sobie wtedy rodziców.

- Musiałam przyjechać tu dzisiaj - zaczęła pani Biggers. Wiecie, jakie dziedzic ma zdanie na temat obcych. Chce wiedzieć wszystko o każdym, kto pojawia się na terenie hrabstwa. Każę mi zdać relację z wizyty. To zwyczaj z czasów, kiedy był w wojsku - zwróciła się do pani Porter.

- I dowód mądrości - stwierdziła przypoehlebnie żona kowala.

- Owszem - zgodziła się z nią pani Biggers, pociągając łyk herbaty. - Ale gdzie jest pani pacjent, panno Northrup? Zdawało mi się, że mówiła pani, jakoby wyzdrowiał.

- Rzeczywiście, ale teraz śpi. Zwalczenie choroby zabiera mnóstwo siły. - Samanta stała, bo zabrakło dla niej krzesła, i czuła się w tej pozycji nieswojo, jakby była służącą. Marzyła o tym, by sobie poszły jak najszybciej i by mogła jeszcze trochę się przespać.

- Wiem, jakie to wyczerpujące - westchnęła głośno pani Biggers. - Pamiętacie, jak zeszłej zimy byłam przeziębiona? - Teatralnie zadarła podbródek, przewracając przy tym oczyma. Bażancie pióra kreśliły w powietrzu koła nad jej głową. - Nie miałam ochoty nikogo widzieć i z nikim rozmawiać.

- Pamiętam - odezwała się panna Mabel. - Och, wszyscy się za panią modliliśmy. Proszę mi jeszcze nalać herbaty, panno Northrup.

Samantę zaskoczył rozkazujący ton panny Mabel. Rozejrzała się po twarzach swoich gości. Wyglądało na to, że żadna z kobiet poza nią nie zwróciła na to uwagi. Wszystkie wsłuchiwały się w opowieść pani Biggers o jej cierpieniach.

Napełniła filiżankę panny Mabel utwierdzając się w swych najgorszych przeczuciach. Wprowadzając się pod dach sióstr Doyle, miała być darmową pielęgniarzką i służącą. I tylko ona jedna miała przeciw temu opory. Cała reszta wsi uważała, że na tym polega jej rola w życiu.

Samanta wzdrygnęła się, odpychając narzucającą się wizję.

Ale gdzie indziej mogłaby się podziąć?

- ... usiadł przy moim łóżku i powiedział dziadziowi, że mógłby ... - paplała pani Biggers. Nagle urwała i zastygła z otwartymi ustami, wpatrując się w coś za plecami Samanty. Samancie przyszło do głowy, że po raz pierwszy, odkąd pamięta, widzi tę kobietę milczącą.

Nie tylko ona zamilkła. Wszystkie pozostałe kobiety także zamieniły się w słupy soli.

Wtedy wyczuła jego obecność. Był w kuchni. Marvin Browne. Odwróciła się powoli ... i także zamarła z otwartymi ustami. Stał oparty o framugę drzwi, nagusieńki, jak go pan Bóg stworzył.

Trudno było oderwać od niego oczy. Miał zmierzwione od snu ciemne włosy i parodniowy zarost na brodzie. Przyglądał się im ciężkim, nieprzychylnym spojrzeniem. A potem odezwał się mruklawie:

- Gdzie ja, u diabła, jestem?

## 4

Zdezorientowany, chwiejąc się na nogach, Yale przyglądał się pięciu kobietom siedzącym wokół kuchennego stołu, wpatrzonym w niego szeroko otwartymi oczyma.

Cóż za dziwny sen!

Panna Northrup, córka pastora, także tam była. Stała z boku, ubrana na czarno, i trzymała w ręce dzbanek z herbatą. Sprawiała wrażenie najbardziej przerażonej jego obecnością.

Oczywiście nie po raz pierwszy śniło mu się, że nagi znalazł się w tłumie ludzi. Nie mógł tylko zrozumieć, co miał oznaczać ten sen.

Nie przypominał też sobie, by poprzednie sny były tak kolorowe. I tak realistyczne.

Jedna z kobiet wydała z siebie cichy jęk i upuściła filiżankę.

Odgłos tłukącej się porcelany zmienił tę galerię milczących postaci w istne pandemonium.

Kobieta, która upuściła filiżankę, wyrzuciła ramiona w górę, jakby chciała osłonić się przed jego widokiem. Inna pisnęła przeraźliwie i powiewając wstążkami czepka, próbowała wsadzić głowę pod stół. Od ich gwałtownych ruchów wywróciły się inne filiżanki. Żona właściciela gospody usiłowała je ratować, ale robiła to tak niezgrabnie, że zepchnęła dwie na podłogę. To dziwne, że i ona mu się przyśniła ... Panna Northrup chwyciła go za ramię i z nieoczekiwaną siłą pchnęła w stronę sypialni.

Jej dotyk uświadomił Yale'owi, że wcale nie śni!

Oblał go żar wstydu. Do licha, był nagi. I oglądała go w tym stanie żona właściciela gospody ... i córka pastora!

Kiedy znaleźli się w sypialni, panna Northrup zatrzasnęła drzwi i zwróciła się do niego ze zdumiewającą cierpliwością.

- Panie Browne, co pan sobie wyobraża, wychodząc z tego pokoju w stanie ... - Urwała. - W stanie naturalnym?

Yale sięgnął po prześcieradło z łóżka i zawiązał je sobie w pasie.

- Gdzie, u licha, jest moje ubranie? I kim jest pan ... - Ugryzł się w język w ostatniej chwili.

Przypomniała mu się noc na cmentarzu. Udawał wówczas Marviną Browne'a.

- Kim jest kto? - spytała tonem dociekliwej nauczycielki. Zmienił temat, przystępując do kontraktaku.

- Jak się tu znalazłem? Jestem w wikarówce, tak? I gdzie jest moje ubranie? - powtórzył z rezygnacją. - Czuję się jak ostatni głupiec przez to, że

wszedłem nago na ten kwoczy zlot.

Użyte przez niego określenie wydało jej się zabawne. Próbowwała skryć uśmiech, ale widział, jak drgnęły jej usta i sprawiło mu to przyjemność.

Uznał, że byłaby całkiem ponętną istotą, gdyby się czasem uśmiechała.

- Panie Browne, proszę pozwolić, że wszystko panu wyjaśnię. Właściwie byłoby lepiej, żeby pan usiadł. Pewnie czuje się pan jeszcze trochę słabo. Był pan bardzo chory.

Wróciła mu pamięć. Przypomniał sobie, że był w gospodzie.

- Mówi pani o brandy? - Teraz pamiętał, jak wymiotował.

Dziwne, bo nigdy nie miewał torsji po spożyciu trunków. Może tym razem upił się tak mocno, że nie pamiętał, co się z nim działo, ale wcześniej nigdy nie miewał takich problemów.

- Miał pan grypę, sir. To prawda, że dużo pan wypił, ale nie od tego był pan chory. Kiedy właściciel zdał sobie sprawę z pańskiego stanu, posłał po mnie.

Nagła myśl zabłysła mu w mrokach pamięci.

- Pamiętam, że leczyła pani mojego ojca ... - Ugryzł się w język. Niełatwo było udawać kogoś innego.

Co gorsza, panna Northrup była zbyt bystra, by coś umknęło jej uwagi.

- Pańskiego ojca? Nie znam pańskiego ojca.

Yale postanowił nie wyjawiać jeszcze swej prawdziwej tożsamości. Uczucia wobec ojca były zbyt świeże, bolesne i niemęskie.

- Wszystko mi się miesza. Ta gorączka ... - niezdarnie próbował się tłumaczyć.

Był zmęczony. Nadal czuł łamanie w kościach, ale musiał jak najszybciej opuścić Sproule. Co by powiedzieli Wayland i Twyla, gdyby usłyszeli, że kręcił się po okolicy? Albo, co gorsza, że pokazał się miejscowym kobietom en deshabelle?

Nie, Yale nie miał ochoty natknąć się na któregoś z członków swojej rodziny. Wystarczająco im się naraził. W istocie byłoby najlepiej dla wszystkich, gdyby nadal uchodził za zmarłego. Postanowił ubrać się, wsiąść na konia, na którym przyjechał z Londynu, i wrócić na swój statek. W niespełna dwa tygodnie były w drodze powrotnej na Cejlon.

Zauważył swoją sakiewkę na stoliku przy łóżku, wziął ją do ręki i wyciągnął ku Samancie.

- Proszę, to za kłopoty, jakie pani miała przeze mnie. Uratowała mi pani życie, panno Northrup, i jestem pani bardzo wdzięczny. - Nie wezmę pańskich pieniędzy, panie Browne. Nie leczyłam pana dla pieniędzy.

- Nie oferuję pani jałmużny, panno Northrup, tylko przyzwoite wynagrodzenie za dobrze wykonaną pracę. - Poza tym, dodał w duchu, wyglądało na to, że przydałyby jej się pieniądze. Była zbyt szczupła i

potrzebowała nowego odzienia.

Mieszkając Pod Niedźwiedziem i Bykiem, usłyszał, jak gospodarz narzeka do żony na „tę trudną pannę Northrup”. Zaciekawiony, podsłuchał, że wieś próbuje wysiedlić ją z wikarówki do domu dwóch starych kobiet.

Szkoda. Miała za wiele inteligencji w oczach, żeby zostać wioskową starą panną i z tą etykietką wylądować na półce.

- Nie chcę pańskich pieniędzy - powtórzyła stanowczo. Jeśli koniecznie chce pan zapłacić, proszę je rozdać biedakom.

Yale w myślach przyznał rację właścicielowi gospody: była trudna i uparta. Zrozumiał, dlaczego nie wyszła dotąd za męża. Rzucił sakiewkę na łóżko. Tak czy inaczej, miał zamiar ją zostawić.

- A teraz, jeśli będzie pani tak dobra, by przynieść moje rzeczy, ubiorę się i zniknę z pani życia - powiedział.

Otworzyła usta, żeby się jeszcze raz sprzeciwić w sprawie pieniędzy, ale nie wydobyła z siebie ani słowa.

- Panno Northrup, zaniemówiła pani - zauważył z ironią. - Jestem zdumiony.

- O rany - westchnęła z troską.

- O rany?

- Spaliłam je.

- Co pani spaliła?

- Pańskie ubranie.

Yale omal się nie udławił.

- Spaliłam je, bo bałam się, że są w nim zarazki choroby wyjaśniła pośpiesznie. - A teraz muszę wrócić do moich gości. - Otworzyła drzwi i zniknęła w nich, nim zdążył choćby mrugnąć.

- Spaliła je? - powtórzył tępo. Powoli zaczynał rozumieć, ale kiedy już w pełni do niego dotarło ... - Spaliła je! - zawołał w stronę na wpół przymkniętych drzwi. - Panno Northrup, nie mam innego ubrania. Nie przywiozłem ze sobą innych rzeczy! Wszystko, co posiadał, znajdowało się na jego statku w londyńskim porcie albo jeszcze nie zostało odebrane od krawca. Był tak zaskoczony wiadomością o śmierci ojca, że wyruszył w podróż zupełnie bez przygotowania.

A co się stało z płaszczem?

- Chyba nie spaliła pani mojego płaszcza, panno Northrup? Panno Northrup!

Żadnej odpowiedzi.

- Ta kobieta jest nieznośna. - Przytrzymując jedną ręką prześcieradło, skierował się do kuchni, gotowy stoczyć walkę z nią samą i z jej wyniosłością. Ale słowa zamarły mu na ustach.

Stała pośrodku kuchni z wyrazem zdumienia na twarzy.



Drzwi wejściowe były otwarte na oścież; zimny wiatr wdzierał się do środka, owiewając mu gołe nogi pod prześcieradłem.

Ich spojrzenia się spotkały.

- Wyszły - powiedziała bezradnie.

- Kto wyszedł?

- Pani Biggers, pani Sadler. I reszta. - Obróciła się niepewnie. - Pani Biggers zabrała nawet swój pasztet. Dlaczego wyszły bez pożegnania?

Yale podszedł do drzwi i zamknął je.

- Nie sądzi pani, że to ma związek z moim pojawieniem się nago?

Panna Northrup robiła wrażenie oszołomionej.

- Tak, tak... to pewnie dlatego. Pański widok stanowił mocne przeżycie dla każdej wrażliwej kobiety.

- Naprawdę? - spytał, traktując jej słowa jak komplement. Uświadomiwszy sobie dwuznaczność tego, co powiedziała, okryła się rumieńcem.

- Nie to miałam na myśli.

- A co pani miała na myśli? - naciskał, bawiąc się jej zakłopotaniem.

Zmarszczyła brwi, a potem, ignorując go, ostentacyjnie zaczęła zbierać skorupy potłuczonej zastawy.

Yale przysunął sobie krzesło i usiadł. Nie przywykł być ignorowany ... przynajmniej przez kobiety. Było to dla niego nowe i pouczające doświadczenie.

Zauważył, że drżą jej ręce, kiedy zbierała okruchy białe - zielonych filiżanek.

- Coś nie w porządku?

Nie odpowiedziała. Odwróciła się, by wyrzucić potłuczoną porcelanę do kosza na śmieci.

- Szkoda - nie poddawał się. - To musiał być kiedyś całkiem ładny serwis - powiedział cokolwiek, byle coś mówić. Nigdy nie zwracał uwagi na zastawę stołową. Nie odróżniłby porcelany ze Staffordshire od sewrskiej. Natomiast... niepokoiło go, że jest taka zmartwiona.

Panna Northrup wzięła z kredensu ścierkę, złożyła ją i zaczęła ścierać ze stołu rozlaną herbatę. Yale wyciągnął rękę po jedną z dwóch ocalałych filiżanek.

Dla niego była to najzwyczajniejsza filiżanka, z mlecznobiałej porcelany malowanej w zielone listki.

Panna Northrup wyrwała mu ją z ręki i ustawiła na kredensie obok dzbanka o identycznym wzorze. Zaraz potem, jakby żałując swej porywczwości, powiedziała:

- Należały do mojej matki. Tylko tyle mi po niej zostało.

Yale'owi zdarzało się otrzymywać ciosy w brzuch, które bolały

znacznie mniej niż te słowa. Pamiętał, jak się czuł, kiedy stracił matkę ... a poza tym, nadal nie mógł sobie poradzić ze śmiercią ojca.

Wstał.

- Przykro mi. Nie wiedziałem.

- Nie mógł pan wiedzieć. - Wróciła do przerwanej zajęcia.

Pochyliła głowę; długi warkocz kołysał się do rytmu jej ruchów.

Przyglądał jej się z troską. Stół nie potrzebował dalszego wycierania, więc jej zachowanie wydawało mu się dziwne. Nigdy nie poświęcał zbyt wiele czasu na zgłębianie kobiecych kaprysów. Zadawał się z nimi w określonym celu, bardzo przyjemnym, ale nie myślał o nich wiele.

Teraz jednak odczuwał dziwny niepokój, obserwując jej milczące zachowanie. Nagle na stół spadła przezroczysta kropla. Po chwili jeszcze jedna.

Wpadł w popłoch. O Boże, ona płakała!

Żałował, że wyszedł z sypialni. Do diabła, nie powinien był opuszczać Cejlonu. Cała podróż była jednym pasmem nieszczęść. I co chciał osiągnąć? Zaspokoić własną dumę? Jego duma nie była warta kobiecych łez.

- Nie, panno Northrup, niech pani nie płacze. Proszę. Wszystko będzie dobrze. Może pani sobie kupić nowe filiżanki za pieniądze, które pani dałem.

Widocznie wybrał nieodpowiednie słowa na pociechę, bo zaczęła płakać jeszcze żałośniej.

Yale położył jej ręce na ramionach.

- Proszę usiąść. - Musiał powtórzyć prośbę trzykrotnie, nim wreszcie usłuchała.

Uklęknął obok niej.

- Proszę, niech pani nie będzie niemądrą gąską. Stłuczone filiżanki nie są warte łez.

- Ma pan rację - przyznała, starając się opanować.

Łzy i zaczerwienione oczy nie dodawały pannie Northrup urody, ale mimo to wyglądała rozczulająco. Przełożył jej warkocz przez ramię i pogładził; włosy były zaskakująco jedwabiste i miłe w dotyku.

- W takim razie dlaczego pani płacze? - spytał.

- Wychodząc za męża, miałam zamiar zabrać ze sobą ten serwis do herbaty ... ale to już nie ma znaczenia, bo nigdy nie wyjdę za męża ... - Głos jej się załamał i znów załapała się łzami.

Yale nie wiedział, co robić.

- Panno Northrup, proszę. Niech pani przestanie. - Chciał ją objąć, ale cofnął rękę, uświadomiwszy sobie, że nie wyglądałoby to dobrze, gdyby ktoś nagle wszedł i zobaczył, jak pociesza ją w tym stroju.

Otarła oczy wierzchem dłoni.

- Nic mi nie jest. Jestem po prostu zmęczona, a moje życie nie układa

się ostatnio najlepiej.

- Proszę mi o tym opowiedzieć - zaproponował Yale, gotów na wszystko, byle tylko przestała płakać. - No, proszę wytrzeć łzy. - Podsunał jej luźny koniec prześcieradła.

Było to niezbyt mądre, ale poskutkowało. Spojrzała na prześcieradło, roześmiała się i posłusznie otarła twarz.

- A więc, co jest nie takie, jak być powinno? - spokojnie zadał pytanie.

- Sproule. Moje życie. Wszystko.

- Aha - powiedział tonem mędrca. - A co jest nie tak z pani życiem?

Zerkając z obawą na drzwi, powiedziała cicho, jakby bojąc się, że mieszkańcy wsi mogą ją usłyszeć:

- Czasami chciałabym być taka jak inni, lecz nie jestem.

Staram się, ale nie mam męża, jestem trochę uparta i lubię książki ...

Nie mogę sobie wyobrazić spędzenia reszty życia z panną Mabel i panną Hattie. Wydaje mi się, że wolałabym raczej umrzeć.

Patrząc jej w oczy, położył rękę na jej drobnej dłoni.

- Proszę nigdy tak nie mówić. I nawet tak nie myśleć. Choćby życie było nie wiem jak podłe, zawsze jest lepsze od śmierci.

Przez chwilę patrzyła na ich dłonie.

- Łatwo panu tak mówić. Jest pan mężczyzną i może pan pójść, dokąd chce, i robić, co chce. Ja nie mam wyboru. Jestem za stara, żeby wyjść za męża. Były pewne nadzieje, że bratanek dziedzica, pastor Newell, może mi się oświadczyć, ale ostatnio ożenił się z młodszą kobietą, posiadającą znaczny posag. Nie mam mu tego za złe, ale teraz chcą się wprowadzić do wikarówki. Czy mi się to podoba, czy nie, muszę się przenieść do panny Mabel i panny Hattie.

Yale nigdy dotąd nie zaprzętał sobie głowy rozmyślaniami o roli kobiet w społeczeństwie. Zakładał, że wszystkie chcą wyjść za męża ... a przynajmniej te, którym zależy na dobrej reputacji. Na Dalekim Wschodzie poznał kilka niezależnych, przebojowych Angielek, które żyły według własnych zasad. Były albo bajecznie bogate, albo miały mężów, którzy pozwalali im na wszystko.

- Dlaczego ojciec nie znalazł pani męża? - zdziwił się.

- To nie takie proste. Niech pan mi się przyjrzy - odpowiedziała z posępną miną.

- Patrząc na panią. I nie widzę, żeby coś było nie tak. - Mówił szczerze. Panna Northrup może nie olśniewała urodą, ale była przystojną kobietą o miłej powierzchowności. Miała też całkiem ładny biust, ale tego nie mógł jej przecież powiedzieć!

- Dlaczego, mówiąc to, pan się uśmiecha? - spytała, mylnie odczytując powód rozbawienia. - Dajmy temu spokój, panie Browne. Wyglądam

nieciekawie.

- Absolutnie nie!

- Ależ tak. Poza tym, nie miałam czasu wyjść za męża, kiedy byłam młodsza. Ojciec mnie potrzebował. Matka była chora, więc potrzebował kogoś, kto by się nią opiekował i pomógł mu w pełnieniu obowiązków. Rozumiem, że każdy mężczyzna wolałby dziewczynę ładniejszą ode mnie. I do tego nie obciążoną tyloma zobowiązaniami.

- O takiego nie warto zabiegać.

Spojrzała na niego z uwagą. Wziął ją za rękę i lekko ścisnął jej palce.

- Panno Northrup, czasami ma się wszystko, czego się pragnęło, a nadal jest się samotnym. Można nawet mieć rodzinę, a nie czuć się jej częścią.

- Był pan kiedyś samotny, panie Browne? - spytała, patrząc mu w oczy.

Jej bezpośredniość trochę zbiła go z tropu. - Owszem - odparł szczerze.

Pokiwała głową, jakby właśnie takiej odpowiedzi się spodziewała. Właściwie była całkiem ponętą kobietą, z zadartym noskiem i zdecydowaną linią podbródka. Miała usta wręcz stworzone do pocałunków ... Ale, rzecz jasna, dżentelmen nigdy nie uwiódłby córki pastora.

Samanta pierwsza otrząsnęła się ze szczególnego nastroju, jaki między nimi zapanował. Cofnęła rękę.

- Cóż, muszę znaleźć dla pana jakieś ubranie.

Wstał, trochę zawstydzony swymi nieprzyzwoitymi myślami.

Lubił pannę Northrup. Płakała, ale nie rozczulała się nad sobą i nie oczekiwała, że on rozwiąże jej problemy. Była dzielną kobietą i miał nadzieję, że wszystko w jej życiu pomyślnie się ułoży.

- Może pani ojciec miał coś, co mógłbym na siebie założyć? Pokręciła głową, podnosząc się od stołu.

- Jest pan o dobre sześć cali wyższy od mojego ojca. Poza tym wszystko, co jeszcze nadawało się do użytku, rozdałam ubogim. - Zdjęła pelerynę z wieszaka na ścianie i zarzuciła sobie na ramiona. A potem sięgnęła po czepek, który był najbrzydszym nakryciem głowy, jakie Yale w życiu widział. Czarny jedwab pokrycia był spłowiały od słońca i deszczu. Wyglądała w nim tak, jakby jej wrona usiadła na głowie.

- Dokąd się pani wybiera? - spytał Yale.

- Wstąpię do pani Sadler sprawdzić, czy nie ma dla pana jakichś niepotrzebnych rzeczy.

- Niepotrzebnych rzeczy? Chce pani, żebym nosił rzeczy po oberżyscie?

- Obraża się pan jak jakiś książe. Biedacy nie mają wyboru, panie Browne. Sproule jest małą wioską. Jeśli chce pan kupić nowe ubrania, może pan to zrobić w Morpeth. Ale na razie muszę zdobyć dla pana jakieś spodnie i będzie pan się musiał zadowolić tym, co znajdę, zwłaszcza że jest pan

wyjątkowo wysokim i postawnym mężczyzną.

Yale bezwiednie wypiął pierś. Podobał mu się północny akcent, z jakim wymówiła słowa „wysokim i postawnym mężczyzną”.

- Czyżbym właśnie usłyszał od pani komplement, panno Northrup?

Ku jego zaskoczeniu, odpowiedziała uśmiechem.

Miał rację. Kiedy się uśmiechała, była całkiem ponętą dziewczyną. Uśmiech rozjaśniał jej całą twarz.

- Jeśli stwierdzenie, że ktoś jest za duży, by łatwo było znaleźć dla niego spodnie, jest komplementem, sir, to tak. Otworzyła drzwi i wyszła.

Yale podszedł do okna i patrzył, jak brnie przez zaśnieżoną ścieżkę. Podrapał się po szorstkiej brodzie. Nie golił się od czasu wyjazdu z Londynu.

Otworzył drzwi, wystawił głowę i zawołał: - Proszę nie zapomnieć o brzytwie!

Gdy pomachała, dając mu znać, że słyszy, zamknął drzwi. Niebo zasnuwały srebrzystoszare chmury. Były zbyt wysoko, żeby zapowiadać dalsze opady śniegu. Yale nadal czuł się słaby, ale chciał jak najszybciej powrócić do swego życia w Londynie.

Prawda była taka, że nie powinien był tu wracać. Albo powinien wrócić kilka lat wcześniej ... kiedy ojciec jeszcze żył. . Mógł wrócić do Anglii przed trzema laty, ale uważał wówczas, iż nie ma jeszcze dość pieniędzy i wpływów, żeby zrobić odpowiednie wrażenie na wielkim księciu Ayleborough ... albo tak mu się przynajmniej wydawało.

Przyjrzał się sobie chłodno. Był bogatym człowiekiem, właścicielem całej flotyli statków handlowych, a stał w kuchni wikarówki w małej wiosce Sproule, odziany jedynie w prześcieradło.

Cóż za głupiec z niego!

Oczywiście, mógł się zatrzymać w Londynie i tam spotkać się ze swym bratem Waylandem i siostrą Twylą.

Natychmiast odrzucił ten pomysł. Nie miał odwagi spojrzeć im w oczy. Nie teraz, kiedy ojciec już nie żył.

Nieobecność u boku ojca w jego ostatniej godzinie była kolejnym rozczarowaniem, jakie Yale sprawił rodzinie. Poza tym, nigdy nie byli sobie zbyt bliscy jako rodzina, z powodu dużej różnicy wieku i faktu, iż mieli różne matki. Wayland i Twyla zawsze robili to, czego się po nich spodziewano. Tylko Yale się buntował.

Z ilu szkół wydalono go za niewłaściwe zachowanie? Już nawet nie pamiętał. Był niewyobrażalnie samolubny. Prawda była taka, że ojciec nie zwracał na niego uwagi, faworyzując swoje dzieci z pierwszego małżeństwa. A to bolało. W którymś momencie Yale nauczył się, że dopiero kiedy zachowuje się niewłaściwie, ojciec, nie mając wyboru, zaczyna się nim interesować. Skrzywił się na wspomnienie niektórych swoich wybryków.

A potem nastąpił epizod, który doprowadził do wydziedziczenia. Yale został wyrzucony ze szkoły, tym razem już na dobre, lecz zamiast wrócić do domu do Northumberland, wynajął powóz z woźnicą.

Nawet teraz uśmiechnął się, przypomniawszy sobie siebie z tamtych lat, zadufanego w sobie, pełnego tupetu, wywyższającego się po prostu z tego powodu, że był postacią znaną w całym mieście. Miał wówczas zaledwie osiemnaście lat.

Żaden kupiec ani swatka nie podawali w wątpliwość jego reputacji.

Wynajmował pokoje, kupił konia, obstał sobie - nowe ubrania i wiódł przyjemne życie, otoczony tłumem kobiet, zabiegających o jego względy, i grupą nowych kompanów, którzy zabierali go w różne ciekawe miejsca Londynu. W niespełna sześć tygodni przepuścił spory majątek, w tym spadek po matce.

Wyjrzał przez kuchenne okno. Śnieg okrył białym całunem groby i kamienne tablice. Z miejsca, gdzie stał, widać było grobowiec rodziny Ayleborough.

Szyba zaparowała od jego oddechu. Dotknął zimnego szkła palcem, przypominając sobie dzień, kiedy ojciec zjawił się w jego mieszkaniu w Londynie i zastał go pijanego, z nagą tancerką operową u boku.

Stary książę był wściekły. Szkoła zawiadomiła go, że Yale został odesłany do domu. Zamartwiał się o syna, dopóki przez londyńskich przyjaciół nie dotarła do niego wiadomość o jego losie.

Kiedy ojciec stanął przed nim, Yale, sterany pijaństwem, uniósł się dumą i zażądał natychmiastowego wypłacenia należnej mu części majątku, żeby mógł prowadzić życie, na jakie ma ochotę.

Jego żądanie powstrzymało ojcowskie wymówki. Ku zaskoczeniu Yale'a, stary książę wyraził zgodę.

- To uczyni z ciebie mężczyznę - powiedział. Wyciągnął z kieszeni wszystkie kwity dłużne Yale'a. Wykupił je i teraz machał mu nimi przez nosem. - Oto twój majątek - rzekł ostro. - Dwadzieścia siedem tysięcy funtów. Stracone. - I wydziedziczył swego młodszego syna.

Yale odwrócił się od okna. Teraz wiedział, jak trudno zarobić taką sumę własną pracą. Teraz lepiej rozumiał prawa rządzące światem.

Ale wtedy nowi przyjaciele go opuścili. Drzwi, które dotąd zawsze stały przed nim otworem, zatrzasnęły się w tej samej minucie, kiedy wiadomość o wydziedziczeniu ukazała się w Gazette.

Poszedł wówczas do portowej tawerny porządnie się upić.

Udało mu się. I zaciągnął się na statek handlowy jako członek załogi.

Nim wytrzeźwiał, statek odplynał daleko w morze. Nierozsądnie zażądał, żeby go zwolniono z podpisanego zobowiązania, i został dotkliwie pobity jako buntownik. Od tego momentu jego życie zaczęło się zmieniać.

Pozostał na statku, bo nie miał innego wyboru ... i raczej wolałby sobie odciąć ramię, niż błagać ojca o przebaczenie. Kiedy statek zawiął do portu w Neapolu, Yale, bardziej trzeźwy i trochę mądrzejszy, znalazł mały kościółek i złożył w nim przysięgę. Przysiągł, że udowodni ojcu, iż się mylił. I że nie wróci do domu złamany, niczym syn marnotrawny, tylko jako człowiek bogaty.

Przez następne lata zdarzały się chwile, kiedy wątpił, czy uda mu się dotrzymać przysięgi. Życie udzielało mu surowych lekcji.

Uważał się za dobrego szermierza, dopóki nie przyszło mu walczyć o swe życie z piratami na Morzu Śródziemnym. Szybko opanował sztuki, jakich nie uczył żaden z londyńskich mistrzów szpady. A żadna szkoła boksowania nie nauczyła go walczyć tak skutecznie, jak nauczył się na ciemnych uliczkach Algieru i Kalkuty.

Z czasem dowiedział się, jak świat ocenia prawdziwą wartość człowieka. Jego buntowniczość ustąpiła miejsca szczeremu pragnieniu ujęcia z życiem. Nauczył się żyć w świecie, gdzie dane słowo było święte - złamanie go oznaczało wyrok śmierci.

Pierwszą złotą monetę, zarobioną własną pracą, nosił w skórzanym woreczku zawieszonym na szyi, bo inaczej któryś z jego towarzyszy by mu ją ukraść. Zarobienie następnej zabrało mu prawie cały następny rok. Pomyślał wówczas, że musi być jakiś lepszy sposób zbitcia majątku. Nabył kilka udziałów w statku żaglowym. Po kilku latach został jego właścicielem.

Bystry umysł, leżący odłogiem przez całe lata, oraz dawne lekcje łaciny stały się potężną bronią, zwłaszcza dla człowieka, który musiał się wiele nauczyć. Zadawał pytania i uważnie słuchał odpowiedzi.

Równocześnie odkrył w sobie talent do robienia pieniędzy. Teraz jednak wszystko wydało mu się nieważne - pieniądze, przysięga, pragnienie, by pokazać rodzinie, że stał się mężczyzną.

Usiadł na krześle w małej kuchence panny Northrup. Ceglana podłoga ziębiła mu stopy. Podkurczył nogi, chowając je pod prześcieradłem, założył ręce na piersi i czekał.

Musiał się widocznie zdrzemnąć w ciepłe bijącym od pieca, bo ocknął się, kiedy owiał go strumień zimnego powietrza.

Kiedy po chwili całkiem oprzytomniał, otaczała go grupa rozsierzdzonych mężczyzn. Natychmiast rozpoznał wśród nich właściciela gospody i kowala, u którego zostawił konia przyjechawszy do Sproule. Kowal trzymał w ręce wielki młot, używany do podkuwania koni. Właściciel gospody uzbrojony był w gruby drag. Reszta wcale nie była bardziej przyjaźnie nastawiona. Za mężczyznami, w drzwiach, stały kobiety, które spotkał wcześniej w tej kuchni. Wnioskując po ich zaciętych minach, nie była to z pewnością zwykła towarzyska wizyta.

- Marvin Browne? - spytał urzędowym tonem człowiek odziany w zielonkawą myśliwski uniform i wielką wełnianą chustę; tulił do piersi starą rusznicę.

Yale zmierzył go wzrokiem, nie śpiesząc się z udzieleniem odpowiedzi.

- Tak, panie dziedzicu, to jest Marvin, Browne - odpowiedziała za niego pani Sadler. - Widzi pan? Nie ma na sobie nic poza prześcieradłem.

Yale wolno wstał z krzesła; czuł się niezręcznie, kiedy się nad nim pochylali. Tak jak przypuszczał, kiedy stanął wyprostowany, cofnęli się o krok. .. wszyscy z wyjątkiem dziedzica Biggersa.

- Gdzie jest panna Northrup? - spytał Yale.

W tym momencie przedarła się przez zagradzających jej drogę intruzów i odwróciła się do nich.

- Przecież to śmieszne! Żądam, abyście natychmiast przestali!

- Mówiliśmy, żeby pani została w gospodzie, panno Northrup - włączyła się pani Sadler. - Wiemy, co robimy.

- Niech ktoś ją zabierze z powrotem do gospody - zarządził Biggers.

Pan Sadler natychmiast podszedł do Samanty, żeby spełnić jego polecenie.

Dziedzic znów skupił się na osobie Yale'a. Wymownym gestem poklepał rusznicę.

- Panie Browne, pełnię również funkcję miejscowego sędziego.

- Miło mi poznać - rzucił sucho Yale.

- Dla mnie to żadna przyjemność, sir - odparł dziedzic. - Wszyscy troszczymy się o dobre imię panny Northrup.

- Och, nie chce mi się wierzyć! - zaprotestowała panna Northrup. Zapierając się obcasami, nie pozwoliła, by pan Sadler tak łatwo usunął ją z kuchni.

Yale spojrział dziedzicowi Biggersowi prosto w oczy.

- Zapewniam pana, że jej dobre imię jest całkowicie bezpieczne. Nie dopuściłem się niczego niestosownego.

- Paradowanie nago przed naszymi kobietami nazywa pan niczym, sir?

Wszyscy nadstawiali uszu, żeby usłyszeć odpowiedź Yale'a, który miał świadomość, że cokolwiek powie, i tak mu nie uwierzą.

- To była pomyłka. Składam im najszczerze przeprosiny.

- Ach, to była pomyłka, niech będzie - zgodził się dziedzic. - Nie wątpię, że przebywał pan także bez ubrania w towarzystwie panny Northrup.

Yale wyczuwał pułapkę, ale nie potrafił jej rozpoznać.

- Skoro nie ma pan wątpliwości, zatem próżne byłyby moje zaprzeczenia - rzekł wymijająco.

- Nie, o ile zrobi pan to, co należy, sir. - Dziedzic Biggers pogładził tkliwie swoją rusznicę.



- To co należy? - zdziwił się Yale.

- Właśnie - potwierdził dziedzic. - Oczekujemy od pana, że pan się z nią ożeni.

## 5

Zepchnięta na tyły ciżby, zebranej u kuchennych drzwi, Samanta słyszała, co mówi dziedzic. Kolana się pod nią ugięły. Zachwiała się, co skłoniło Sadlera do zwolnienia uścisku. Natychmiast wykorzystała okazję, by mu się wyrwać, zanurkować pod jego ramieniem i wrócić do domu z głośnym okrzykiem:

- Nie!

Rozepchnąwszy na boki sąsiadów, stanęła przed dziedzicem.

- Co pan sobie wyobraża? - spytała ze złością.

Nawet nie zaszczyił jej spojrzeniem.

- To nie twoja sprawa, panienko.

- Nie moja sprawa? - powtórzyła Samanta z niedowierzaniem. Zerknęła na Browne'a, żeby sprawdzić, czy jest równie zdumiony jak ona. Stał z ramionami założonymi na piersi, z twarzą nieprzeniknioną niczym kamienna maska. Przypominał jej egipskiego Sfinksa ... poza tym, że miał dała Apolla.

Dziwne, że dostrzegła to w tak szczególnym momencie, ale przecież każdy inny mężczyzna w samym prześcieradle wyglądałby po prostu śmiesznie.

- Jak pan śmie wchodzić do mojego domu, napastować chorego człowieka i kazać mu się ze mną żenić!

Przez tłum wieśniaków przebiegł szmer niespokojnych głosów. Dziedzic znany był powszechnie z wybuchowego temperamentu. Niewielu ludzi miało odwagę mu się przeciwstawić.

Dziedzic Biggers uniósł brwi aż do miejsca, gdzie kiedyś zaczynały mu się włosy, i wyprężył się jak struna.

- Śmiej - zaczął jeszcze bardziej niż zwykle patriarchalnym tonem - ponieważ nie ma nikogo innego, kto mógłby się za panią ująć, panno Northrup. Ponieważ nasza społeczność rządzi się pewnymi zasadami i nie pozwolimy, by jakiś nie wiadomo kto wykorzystywał córkę naszego zacnego zmarłego pastora, Panie świeć nad jego duszą.

- Pan Browne w żaden sposób mnie nie wykorzystał - zapewniła go stanowczo Samanta. - W niczym nie zawinił. Był ciężko chory. Był nieprzytomny, kiedy zabieraliśmy go z gospody, więc nie wiedział, gdzie się znajduje. Co więcej, spaliłam jego ubrania, żeby zapobiec rozprzestrzenianiu się choroby. Ten człowiek nie miał co na siebie włożyć, obudził się w obcym miejscu i nie mógł wiedzieć, że kuchnia jest pełna kobiet.

- Co takiego? Nie słyszał ich? - zdziwił się kowal Porter. Jeszcze nie widziałem, żebyście się zebrały i głośno nie plotkowały.

- Panie Porter, on nie wiedział, gdzie się znajduje - broniła swego stanowiska Samanta. Ci ludzie doprowadzali ją do szaleństwa. - Był tak ciężko chory, że nawet nie wiedział, że go rozebrałam.

- Pani go rozebrała? - zdumiał się dziedzic, unosząc brew.

- A jak inaczej pan to sobie wyobrażał? - warknęła. Spojrzała na Browne'a. Wyglądał, jakby wcale nie był zainteresowany toczącą się na jego temat rozmową; wpatrywał się gdzieś przed siebie, jakby skupiony na czymś, co tylko on mógł słyszeć lub widzieć.

- Wie pan, że mógłby mi pan pomóc w wyjaśnieniu tego wszystkiego - zarzuciła mu.

- Skoro nie chcą słuchać pani, dlaczego mieliby wysłuchać mnie?

Rozzłościła ją jego logika.

- Nieważne, co oboje macie do powiedzenia - upierał się dziedzic. - Nie rozważamy, czy to, co pani zrobiła, uratowało temu człowiekowi życie. Uratowało, z tym się zgadzamy. Teraz jednak oczekujemy, że zachowa się przyzwoicie i panią poślubi.

Samanta miała ochotę tupać ze złości.

- Ależ on nie musi się ze mną żenić. Nie zrobiliśmy nic niewłaściwego! - Dostrzegła niepozornego farmera, kręcącego się przy kuchennych drzwiach za rosnącym tłumem. - A pan, panie Hatfield? Pomogłam panu, kiedy był pan tak wycieńczony krupem, że bał się pan śmierci. Nikt nie oczekiwał, że pan się ze mną ożeni, prawda?

- Ja jestem już żonaty, panno Northrup - odparł farmer. Zamrugła niepewnie, a potem, znajdując nowe wyjście z niedorzecznej sytuacji, zawołała:

- Zgadza się! A skąd pan wie, że pan Browne nie jest już żonaty, panie Biggers?

- Bo powiedział mi, że nie jest - wtrąciła się pani Sadler. Kiedy wpisywał się do księgi meldunkowej, spytałam go: „Ma pan jakąś rodzinę w tej okolicy, panie Browne?” A on powiedział: „Nie”. No to powiedziałam: „Niełatwo jest podróżować z dala od rodziny”. A on na to: „Nie mam żadnej rodziny”. Tak po prostu. Krótko i węzłowato: „Nie mam żadnej rodziny”. - Rozejrzała się po ludziach zebranych wokół niej. - Zawsze dobrze jest wiedzieć takie rzeczy o gościach.

Większość kobiet poparła ją kiwając głowami. Dziedzic uśmiechnął się pobłażliwie do Samanty.

- Zatem wszystko wskazuje na to, że możecie się pobrać.

- Nieprawda, nic nie wskazuje! - zaprotestowała. Dziedzic mówił dalej, jakby wcale jej nie słyszał:

- Twój ojciec zrozumiałby konieczność pośpiechu. Myślę, że zdołamy uzyskać specjalne pozwolenie. Poślę do biskupa jednego z moich ludzi na

najszybszym koniu. Będziemy je mieli przed świtem.

Samanta patrzyła, jak jej znajomi i sąsiedzi potakują dziedzicowi z powagą.

- To jakieś szaleństwo. Nie wyjdę za tego człowieka. Nie znam go. Poza tym on jest pijakiem - dodała, chwytając się tego argumentu jak ostatniej deski ratunku.

- Dziękuję - odezwał się za jej plecami Browne.

- I do tego jest złośliwy - zakończyła, dotknięta jego ironicznym tonem.

Nagle przed tłum wystąpiła pani Biggers; bażancie pióra na jej kapeluszu zadrżały.

- To doprawdy niesłychane - zwróciła się do męża. - Czemu pobłażasz tej dziewczynie? - Stała naprzeciw Samanty. Jest pani najbardziej niewdzięczną osobą, jaką sobie można wyobrazić. Nie rozumie pani, co dla pani robimy? Panna Mabel i panna Hattie nie chcą, żeby pani z nimi zamieszkała. Starają się być uczynne, ale teraz, wiedząc, że nawet się pani nie rumieni przy nagim mężczyźnie, nie są zainteresowane ... prawda, moje panie?

Panna Mabel i panna Hattie stały ramię w ramię obok pani Porter. Kiedy pani Biggers zwróciła na nie uwagę, wytrzeszczyły oczy.

- Cóż, chyba nie, czy tak, pani Biggers? - wydukała panna Mabel.

- Oczywiście, że nie - powiedziała przytomniej panna Hattie - skoro tak uważa pani Biggers. - I siostry przyłgnęły do siebie.

- Nasza wieś potrzebuje nowego pastora, panno Northrup - ciągnęła pani Biggers. - Mojemu bratankowi i jego żonie należy się ta prebenda. Od czasu śmierci pani ojca wydeptał ścieżkę z Morpeth i z powrotem, żeby odprawiać niedzielne nabożeństwo. Już dawno powinna się pani wyprowadzić z wikarówki. Nikt nie chce pani tego powiedzieć, ale nadszedł czas, by zamieszkał tu ktoś inny. A pani samolubnie stoi im na drodze. Proszę wyjść za tego człowieka. I wynieść się stąd! Jest pani cierniem w naszym boku.

Samanta wpatrywała się w żonę dziedzica, porażona brutalnością jej słów, w których nie mogła jednak nie dostrzec ziarna prawdy.

Pani Biggers także wydawała się zaskoczona tym, co powiedziała. Wybuchnęła głośnym, hałaśliwym szlochem. Natychmiast otoczył ją krąg pocieszycielek.

Samanta została sama.

Czy naprawdę do tej pory wierzyła, że stanowi część tej społeczności? Wszystkie nadzieje, wszystkie marzenia, nawet rzeczywistość jej życia, wszystko rozplynęło się w nicości.

Znienacka na jej ramionach spoczęła para silnych dłoni.

- Ożenię się z panią - rzekł Browne.

Znaczenie jego deklaracji docierało do niej powoli. Samanta najpierw sądziła, że się przesłyszała ... a kiedy zrozumiała, że nie, jej wstyd nie miał

granic.

- Nie - szepnęła. - Nie chcę ...

Zacisnęła palce na jej ramionach, dając jej znak, by się nie odzywała. Jej protesty i tak by niczego nie zmieniły. Kobiety popiskiwały z podniecenia, a mężczyźni uśmiechali się, wydając pomruki aprobaty.

Dziedzic Biggers wyciągnął nawet rękę do pana Browne'a, lecz pan Browne nie wykazał chęci, by ją uścisnąć. Dziedzic cofnął dłoń, udając, że jedynie prostował mankiet na ręce trzymającej rusznicę.

- Dopilnuję, by udzielono zezwolenia.

- Spodziewam się - powiedział chłodno Browne.

- Cóż, myślę, że załatwiliśmy wszystko i nic tu już po nas - zwrócił się dziedzic do żony.

Pani Biggers z twarzą mokrą od łez podeszła do Samanty, żeby ją uścisnąć. Samanta cofnęła się, trafiając w mocne objęcia Browne'a.

- Chodźmy, pani Biggers - ponaglił dziedzic. - Musisz pomóc kobietom w przygotowaniach. Nie chcemy, żeby mówiono, że Sproule nie zadbało o pannę Northrup - powiedział, a żona natychmiast posłusznie dołączyła do niego, nagle cicha i potulna jak owieczka.

Panie Porter i Sadler podeszły do Samanty .

- Cieszymy się z pani szczęścia, panno Northrup - zaczęła pani Porter. - Wszystko się dobrze ułoży.

- Wydaje mi się, że nie powinnyśmy jej tu zostawiać - włączyła się pani Sadler. - Może wróci pani z nami do gospody?

Samanta odmownie potrząsnęła głową. Była zbyt wściekła, zbyt urażona, by się do nich odezwać.

- Później - odpowiedział za nią Browne. - Może panie same zaczną planować ślub, a potem wrócą po pannę Northrup?

- Tak, to chyba dobry pomysł - zgodziła się pani Porter. Chodźmy, Birdie. - Zawiesiła głos, by po chwili dodać: Wracając przyniesiemy dla pana jakieś ubranie.

- Będę wdzięczny - zapewnił Browne. - Nie chciałbym wchodzić do kościoła w samym prześcieradle.

Kilku innych mieszkańców wsi podeszło, żeby złożyć gratulacje, ale większość wymknęła się, nie mówiąc ani słowa. Samanta odczekała, aż ostatnia osoba znajdzie się za drzwiami, po czym zdecydowanym ruchem zasunęła zasuwę.

Została sama z Browne' em. Drzwi były otwarte tak długo, że kuchnia całkiem wyziębla. Samanta podeszła do pieca i nałożyła na palenisko szczapki. Kiedy podpałka zajęła się ogniem, dodała polano i patrzyła, jak płomienie liżą twarde drewno.

- Nie obchodzi mnie, co oni myślą i czego chcą. Nie wyjdę za pana. -

Podniosła się i stanęła naprzeciw niego, niepewna jego reakcji.

- Żadne z nas nie ma wyboru.

Cóż, reakcja nie była zbyt romantyczna. Samanta wzruszyła ramionami.

- Zmuszanie pana, żeby pan się ze mną ożenił, to kpiny z sakramentu małżeństwa.

Przysunął sobie krzesło do ognia i usiadł.

- Panno Northrup, nikt mnie nie zmusza, żebym się z panią ożenił.

Roześmiała się gorzko.

- Chyba nie chce pan powiedzieć, że sobie tego życzy?

- Owszem. Życzę sobie. - Przyciągnął do pieca drugie krzesło i gestem poprosił, żeby usiadła.

Samanta nawet nie drgnęła. Nie miała ochoty siadać. Zdjęła pelerynę, odwiesiła ją na hak wbity w ścianę i zaczęła się przechadzać po niewielkim pomieszczeniu.

- Może pan odejść - odezwała się w końcu. - Kiedy już będziemy mieć dla pana ubranie, może się pan wymknąć z domu i uciec.

- Nigdy się znikąd nie wymykam - powiedział z odrazą, wyciągając bosc stopy bliżej ognia. - Czy w zimie zawsze jest tu tak zimno?

- Był pan już kiedyś w Sproule?

Zeszywniał, jakby spytała o coś, o czym nie chciał mówić. Jednak odpowiedział spokojnie:

- Bywałem tu kiedyś.

- Nie pamiętam, żebym pana widziała.

- Nie ma powodu, żeby pani pamiętała. To było dawno.

- Panna Mabel i panna Hattie mówiły, że stary książę Ayleborough miał kiedyś nauczyciela dla swoich synów, który nazywał się Marvin Browne, przez „e” na końcu.

- Nie znałem go - odrzekł chłodno. Skrzyżowała ramiona.

- Nie chcę za pana wychodzić.

Odwrócił się do niej.

- Bo piję? - Wyraźnie się z nią droczył. - Zapewniam panią, panno Northrup, że moje pijaństwo tamtej nocy było chwilowym ulegnięciem zgubnemu nałogowi, który zarzuciłem przed wielu laty. Nie będzie pani miała męża pijaka.

- To nie dlatego nie chcę za pana wyjść.

- Jak pani ma na imię?

Zmiana tematu zaniepokoiła ją.

- Dlaczego chce pan wiedzieć?

- Bo o to spytałem. - Wbił w nią nieugięte spojrzenie.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi, odpowiedziała:

- Samanta.

- A ja jestem ... Marvin.

- Tak, wiem. - Bezwiednie uśmiechnęła się, słysząc to imię.

Zupełnie do niego nie pasowało.

- Chodź, usiądź tutaj, Samanto. - Poklepał stojące obok krzesło. Jej imię w jego ustach brzmiało jakoś inaczej, niż gdy wymawiali je inni.

- Tutaj mi dobrze.

- Proszę cię.

Po chwili wahania spełniła prośbę.

Siedzieli przez jakiś czas w milczeniu, wpatrując się w ogień, każde pograżone we własnych myślach.

- Wyjechałaś ze Sproule, gdybym się z tobą nie ożenił? odezwał się pierwszy.

- Oczywiście, że nie. Dokąd miałabym się udać? I dlaczego miałabym chcieć je opuścić, nawet gdybyśmy się pobrali?

Zacisnęła szczęki ze złości.

- Nie zostawię cię tu, nie z tymi ludźmi.

Samanta próbowała wygładzić załamanie na sukience.

- Oni nie są źli - powiedziała, nie patrząc na niego.

- Nie, są po prostu praktyczni - odparł z pogardą. - Samanto, do tej pory nie zawsze robiłem w życiu to, co należało. Grzeszyłem, jak ty byś to pewnie ujęła. Co gorsza, popełniałem okropne błędy wyłącznie z powodu źle pojętej dumy. Ale nigdy nie odwróciłem się od osoby potrzebującej pomocy.

- Ja nie potrzebuję pomocy. Tylko ... - Urwała, niepewna, czy powinna powiedzieć to, co zamierzała.

- Tylko? - ponaglił.

Spojrzała mu w oczy.

- Przez większą część życia znajdowałam dla innych wymówki. Masz rację. Czuję się głęboko zraniona, że chcą się mnie pozbyć, ale wiedziałam, że wszystko do tego zmierza. Podstępem udawało mi się przedłużać zamieszkanie w wikałówce. Zdawało mi się, że tutejsi ludzie cenią moje umiejętności leczenia. Zawsze przychodzili do mnie, a ja zawsze im pomagałam, nawet w środku nocy albo gdy musiałam przy nich czuwać przez całe dni. Czulałam się jedną z nich, a teraz dali mi odczuć coś zupełnie przeciwnego. Ja po prostu nie umiem sobie wyobrazić życia poza Sproule.

- Poza Sproule jest mnóstwo życia - rzekł z przekonaniem. - A pan, panie Browne? Skąd pan pochodzi?

Znów odniosła wrażenie, że zadała pytanie, na które wolałby nie odpowiadać.

- Pochodzę stąd i stamtąd.

- A jaki jest pański zawód, sir?

- Zajmuję się wszystkim po trochu, Samanto. Nie musisz się o to martwić. Dobrze się tobą zaopiekuję.

- Nie wyjdę za pana. I nie chcę pańskiej litości.

- Mylisz się. Nie czuję do ciebie litości i wyjdiesz za mnie. Uśmiechnęła się, rozbawiona jego władczym tonem.

- Panie Browne ...

- Marwinie.

- Marwinie - poprawiła się, przewracając oczami. - Słyszac cię, można by pomyśleć, że jesteś jakimś wielkim księciem, ale prawda jest taka, że nie uchodzi, byśmy wstępowali w święty związek małżeński tylko dlatego, by bratanek pani Biggers mógł się wprowadzić do wیکarówki.

- Nie uchodzi też trzymać się przeszłości, która minęła bezpowrotnie.

Mówił cichym, łagodnym tonem, ale jego słowa miały siłę ciosu. Samanta siedziała jak ogłuszona.

- Czy to właśnie robię? - spytała w końcu.

- Nie wiem. Tylko ty sama możesz odpowiedzieć na to pytanie.

Spojrzała na niego z uwagą. Kim był ten człowiek? Nie był zwykłym podróżnym, który przypadkiem zawitał do Sproule. Wiedziała to od chwili, gdy poprosił o klucze do grobowca rodziny Ayleborough.

- Kim jesteś? - spytała raz jeszcze.

- Marwinem Browne'em - padła gładka ... zbyt gładka odpowiedź.

- Nie wydaje mi się, żebyś był dobrym materiałem na męża - zakpiła, chcąc nadać rozmowie nieco lżejszy ton.

Uśmiechnął się, odsłaniając równe białe zęby.

- Masz rację. Nie jestem. I nie zmienię się. Jestem typem samotnika, Samanto. Nie potrzebuję nikogo w moim życiu. - Wziął ją za rękę. - Ale zaopiekuję się tobą.

- Dlaczego?

- Bo uratowałaś mi życie. Mogę w zamian przynajmniej uratować twoją reputację. Zatem czy zechcesz wyświadczyć mi ten zaszczyt i być moją narzeczoną? - Po chwili dodał: - Odpowiedź brzmi: tak.

Samanta patrzyła na swoją dłoń, o wiele mniejszą niż jego.

Czuła zgrubienia i odciski - znak, że nie bał się ciężkiej pracy. Prawie nic o nim nie wiedziała. A to, co wiedziała, było dość niezwykle: pragnął wejść do grobowca, w gorączce krzyczał o piratach, no i pił.

A mimo to mu ufała.

- To nie powinno być tak - powiedziała wolno.

- A czy coś jest takie, jak powinno być?

- Nie mam wyboru, prawda?

- Nie - przyznał.

- Więc rozumiem, że decyzja została za mnie podjęta. Wyjdę za pana,



panie Browne.

- Marvinie.

- Tak, Marvinie. - Próbowwała się uśmiechnąć, lecz dolna warga zaczęła jej drzeć. Miała przed sobą ważny krok i bardzo się go bała.

Uścisnęła jej dłoń pokrzepiająco.

- Nie będziesz żałować. Zaopiekuję się tobą.

W jego obietnicy było coś, co Samancie zapadło głęboko w serce. Chciała wierzyć w jego obietnicę. Miło było pomyśleć, że będzie przy niej jako mąż. Ta myśl na moment zapała jej dech w piersi.

Pukanie do drzwi przywróciło ją do rzeczywistości. Niemal podskoczyła na krześle, próbując wyrwać dłoń z jego uścisku. Ze skruszoną miną odwróciła się do drzwi. Nie puścił jej ręki. - Nie zrobiliśmy nic złego. Poza tym jesteśmy zaręczeni. Patrzyła na niego ze zdumieniem. Powiedział to tak swobodnie, podczas gdy jej serce waliło, jakby przebiegła długą drogę.

Czuła się winna i nie wiedziała dlaczego ... tyle że jej uczucia wobec pana Browne'a ... nie, poprawiła się w myślach, wobec Marvinina, nie były już takie jednoznaczne jak wcześniej. Coś pomiędzy nimi zaszło. Nie wiedziała co, ale czuła się dziwnie oszołomiona.

Nie sądziła, by on też odczuwał coś takiego.

Podeszła do drzwi. Na progu stały pani Sadler i pani Porter.

Zaprosiła je do środka.

- Mamy ubranie - odezwała się pani Sadler. - Nie jest najwytworniejsze, ale musi wystarczyć.

Marvin wziął je i podziękował.

Żona właściciela gospody rzuciła mu spojrzenie, z którego jasno wynikało, że nie wyzbyła się wobec niego uprzedzeń. - To bardzo uprzejmie ze strony pana Sadlera, że zechciał się podzielić ubraniami z Marvinem - powiedziała Samanta. - Po ślubie odbędzie się uroczyste śniadanie - oznajmiła pani Porter. - Dziedzic Biggers obiecał, że zezwolenie zostanie dostarczone przed ceremonią.

Samanta odwróciła się do Marvinina. Gdy ich spojrzenia spotkały się, dojrzała jego skrywany uśmiech i na moment musiała schylić głowę. Znała już Marvinina na tyle, żeby wiedzieć, iż pomyślał coś złośliwie nieprzyzwoitego o nadętym dziedzicu.

- Przygotowaliśmy też - ciągnęła pani Sadler - pokój dla pani, panno Northrup, w gospodzie. Chyba będzie najlepiej, jeśli pozwolimy panu Browne'owi pozostać tutaj na noc poprzedzającą ślub.

- Ale ja wolałabym tu zostać - zaoponowała Samanta .. Pani Porter podeszła i położyła Samancie ręce na ramionach, a potem lekko ją uścisnęła.

- Wiemy o tym, moja droga, ale jutro, po ślubie, pastor Newell wprowadzi się tutaj. Mieszka z żoną u swoich rodziców, a jego matka nie

przepada za synową. Nie mogą dłużej czekać.

- Aha - bąknęła Samanta. Powinna była powiedzieć coś więcej, coś wyrażającego współczucie i zrozumienie... ale potrafiła myśleć tylko o tym, że traci jedyny dom, jaki kiedykolwiek miała.

Marvin pośpieszył jej na ratunek. - Musisz spakować swoje rzeczy.

- Tak, spakuję - powiedziała, wdzięczna za wsparcie. Nagle poczuła się bezwolna i otępiła. - To mi zajmie tylko chwilę.

Przeszła po mieszkaniu, zbierając koronkowe serwetki wydziergane przez matkę, obrazek przedstawiający wrzosowisko, który wisiał na ścianie saloniku, kołdrę z łóżka rodziców, swoją brązową sukienkę, nocną koszulę oraz pończochy i trzewiki, które zakładała chodząc do kościoła.

Marvin wykorzystał okazję, żeby założyć spodnie, koszulę i skarpetki. Była zdumiona, gdy wróciwszy do kuchni, zastała go na pogawędce z kobietami. Sądziła, że będzie je ignorował. Pani Porter okazywała mu ostrożną życzliwość, ale pani Sadler nie wyzbyła się rezerwy.

Samanta spakowała mniejsze rzeczy do drewnianego pudełka, które trzymała w kącie, podkładając sobie pod nogi, gdy potrzebowała sięgnąć po coś umieszczonego wyżej. Na wierzchu postawiła dzbanek do herbaty i dwie ocalałe filiżanki.

- Myślę, że mam już wszystko.

- Pomożemy pani to zanieść - zaproponowała pani Porter, biorąc kołdrę pod pachę.

- Wolalabym jednak tu zostać - upierała się Samanta. Kobiety nie chciały słuchać jej sprzeciwów.

- Chodźmy już. Musi pani przygotować się do ślubu - przypomniała jej pani Sadler.

Pani Porter wzięła Samantę pod ramię.

- Pomożemy pani. To będzie całkiem zabawne.

Nim Samanta się spostrzegła, wyprowadziły ją za drzwi i powiodły w stronę gospody.

Yale obserwował trzy postacie brnące przez śnieg, dopóki nie zniknęły za wielkim krzewem rosnącym na skraju cmentarza. Zamknął drzwi i palcami odgarnął włosy z czoła. Cóż za przewrotny diabeł w nim siedział!

Żeby się czymś zająć, usiadł na kuchennym krześle i zaczął polerować buty szmatą znaną w kuchennej misce. Pasta była w szufladzie kredensu.

Małżeństwo!

Nie sądził, że kiedykolwiek się ożeni. Ale postanowił to zrobić. Zawdzięczał jej życie.

Jednakże miało to być małżeństwo z rozsądku. Samanta była zbyt zdenerwowana, żeby mógł spokojnie porozmawiać z nią o tym związku. Miał zamiar poczekać z tym, aż będzie po ceremonii. Wówczas wyjaśni, że nie ma

zamiaru być dla niej mężem w całym tego słowa znaczeniu. Musiał wracać na Cejlon. Wcześniej jednak zamierzał urządzić ją w kupionym dla niej domu, gdziekolwiek będzie sobie życzyła. Oczywiście, gdyby jej to powiedział od razu, z pewnością by odmówiła, nawet za cenę potępienia ze strony całej wsi. Nie mógł pozwolić, by ją spotkało coś takiego.

Przez chwilę pozwolił sobie na rozmyślanie o małżeństwie jako takim. Nigdy nie tęsknił za urokami małżeńskiego życia, a ograniczenia wynikające z tego stanu wręcz go odstręczały.

Jednakże ... mimo workowatej czarnej sukienki, Samanta Northrup w pewien sposób mu się podobała. Nie była klasyczną pięknoscia, ale miała w sobie ujmującą świeżość. A jej skłonność do wybaczenia wszystkiego wszystkim wokół była czymś niespotykanym. Skąd brało się w człowieku aż tyle dobroci?

Przyciągało ich do siebie jeszcze coś, czego Yale nie potrafił nawet nazwać. I czego nigdy wcześniej nie odczuwał.

Może współczuł jej z powodu niesprawiedliwości, z jaką traktowali ją mieszkańcy wsi? Był ciekaw, czy choć jeden z nich zastanowił się, co będzie, kiedy Samanta jutro wyjedzie. A może sądzili, że to on pozostanie w Sproule?

Uśmiechnął się pod nosem. Jeśli w to wierzyli, to jutrzejszego ranka czekało ich gorzkie rozczarowanie.

Podniósł się z krzesła, przeszedł do sypialni i ustawił wyczyszczone buty na podłodze. Następnie rozebrał się i wszedł do łóżka. Wciąż jeszcze nie czuł się tak silny, jak powinien. A rano miał zrobić pierwszą słuszną i dobrą rzecz w swoim życiu.

Przez moment uwierała go myśl, że poślubia tę dziewczynę pod fałszywym nazwiskiem, ale szybko otrząsnął się z wątpliwości. Nikt nie wiedział, kim jest naprawdę, a wyjaśnienia mogłyby doprowadzić do komplikacji, których wolał uniknąć.

Lepiej było ożenić się z córką pastora, a potem zniknąć.

Zamierzał sprawić jej porządny, zasobny i pięknie urządzony dom, a potem wrócić do swoich interesów.

W końcu człowiek taki jak on nie potrzebował mieć przy sobie drugiej osoby. Uczepiony tej myśli, zapadł w głęboki sen.

Samanta prawie nie spała. Całą noc przewracała się w pościeli; udało jej się zmrużyć oczy dopiero przed świtem. Cztery godziny później została obudzona przez panią Sadler i panią Porter.

- Proszę się obudzić! Proszę wstawać! - podśpiewywała radośnie pani Porter. - Dziś wychodzi pani za mąż!

Samanta ukryła twarz w poduszce.

- Nie chcę wychodzić za mąż - wymruczała.

Pani Sadler pociągnęła ją za rękę, niemal wywlekając ją z łóżka.

- No już, żadnych ponurych min, panno Northrup. Sprawa jest przesądzona i wkrótce będzie po wszystkim. Za niecałe dwie godziny pan młody będzie czekał na panią w kościele.

Samanta oprzytomniała. Pośpiesznie wygrzebała się z pościeli. Dostrzegając kątem oka swe odbicie w lustrze, pomyślała, że jej włosy wyglądają okropnie.

- Proszę zamknąć oczy - poleciła pani Porter.

- Dopiero co je otworzyłam, kiedy pani mnie zbudziła - zaprotestowała Samanta.

- Nie to miałam na myśli - wyjaśniła pani Porter cierpliwie, jakby uważała Samantę za zupełnego głuptasa. - Mamy dla pani niespodziankę.

- Niespodziankę?

Pani Porter zakryła Samancie oczy zimnymi dłońmi. Samanta usłyszała odgłos zbliżających się kroków. Drzwi otworzyły się i zamknęły, po czym dłonie zniknęły jej przed oczu:

Pani Sadler i jej najstarsza córka stały przy oknie, trzymając najpiękniejszą suknię, jaką Samanta w życiu widziała. Była biała i uszyta z materiału tak lekkiego, że zdawał się unosić w powietrzu. Dół spódnicy wykończony był szeroką wstążką z wyhaftowanymi kolorowymi kwiatkami; taka sama wstążka oddzielała wysoko odcięty stanik.

Samanta wyciągnęła rękę i nieśmiało przesunęła końcami palców po delikatnym hafcie.

- Jeszcze nie widziałam czegoś równie pięknego - szepnęła.

- Proszę przymierzyć - zachęciła pani Sadler.

Samanta odwróciła się do niej z niedowierzaniem.

- To dla mnie?

- Przecież nie dla pana młodego - zażartowała pani Sadler i obie kobiety roześmiały się zgodnie.

Samanta cofnęła się, nagle onieśmielona.

- Och, proszę, panno Northrup - powiedziała pani Porter. Przecież należy się pani piękna suknia w dniu ślubu. Pani Biggers miała materiał, panna Mabel i panna Hattie dały wstążkę, a my wszystkie zabrałyśmy się wczoraj do roboty i przez noc uszyłyśmy ją dla pani. Według najświeższej mody, tej z Londynu. Widzi pani? Pani Biggers mówi, że noszą tam teraz takie małe bufiaste rękawki i cienutki materiał nawet w zimie. Panna Mabel i panna Hattie wymyśliły, żeby naszyć te kwiatki. Chciałyśmy, żeby pani wyglądała szczególnie pięknie. Spędziłyśmy przy szyciu całą noc.

Samancie łzy napłynęły do oczu.

- Rzeczywiście. - Tylko tyle zdołała z siebie wydusić.

Objęła najpierw panią Porter, potem panią Sadler, a na końcu jej córkę

Elmirę.

- Ostrożnie - napomniła ją pani Sadler. - Nie możemy zmiąć sukni. Powinna na panią pasować. Przymierzałyśmy na Elmirze, która jest mniej więcej pani postury. - Córka pani Sadler na te słowa oblała się rumieńcem.

- Będzie pasować doskonale - zapewniła Samanta. - Nie potrafię wyrazić, ile ta suknia dla mnie znaczy. - Już zaczynała wierzyć, że tym kobietom jej los jest zupełnie obojętny, a tu proszę, co dla niej zrobiły.

- Czas zaczynać przygotowania - przypomniała pani Porter. Przez następną godzinę Samanta była traktowana jak jeszcze nigdy w życiu. Okazało się, że pani Sadler ma również talent do układania włosów.

- Od dawna chciałam to robić - powiedziała Samancie, upinając jej włosy na czubku głowy. - Elmiro, podaj mi szpilki.

Samanta nie wiedziała, co ma myśleć. Zwykle nosiła włosy splecione w warkocz albo związane w gruby węzeł na karku. Nowe uczesanie podkreślało smukłość jej szyi i dodawało dostojności. Oczywiście, potrzeba było całego mnóstwa szpilek, żeby utrzymać w miejscu jej gęste, ciężkie włosy.

- Byłabym szczęśliwa mając tyle włosów - powiedziała pani Porter.

- Za to pani włosy są jasne, a ja jestem zwykłą szatynką - pochlebiła jej Samanta.

- Ma pani całkiem ładny kolor włosów - odparła pani Porter. - A ja z każdym rokiem coraz bardziej siwieję.

- Czas włożyć suknię - oznajmiła wreszcie pani Sadler. Wszystkie musiały pomagać przy ubieraniu Samanty. Kiedy już miała suknię na sobie, pani Porter zaciągnęła mocno sznurówki stanika. Samanta przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze; suknia pasowała jak ulał.

Samanta jeszcze nigdy nie miała na sobie stroju z tak głębokim dekoltem. O dziwo jednak, łagodne wypukłości widoczne nad linią wycięcia nie szokowały; przeciwnie, dawały Samancie poczucie kobiecości i elegancji.

Suknia okazała się też idealnej długości, a kwiecista lamówka obciążała ją akurat na tyle, by się ładnie układała.

- Jest piękna - powiedziała Samanta z zachwytem.

- Nie, to pani pięknie w niej wygląda - sprostowała pani Porter. - Wszystkie panny młode wyglądają pięknie w dniu ślubu, a pani nie jest wyjątkiem, panno Northrup.

Naprawdę wyglądała niemal pięknie ... i zastanawiała się w duchu, co pomyśli Marvin Browne, kiedy ją zobaczy.

Rozległo się pukanie do drzwi i nie czekając na pozwolenie, do pokoju weszła pani Biggers.

- Czy wszyscy są gotowi do ślubu? - zaszczebotała. Zatrzymała się w progu. - No, no, panno Northrup, wygląda pani całkiem ładnie.

Samanta poczuła na policzkach żar rumieńca.

- Dziękuję pani.

Pani Biggers zamknęła za sobą drzwi.

- A to dla pani, od dziedzica i ode mnie. - Podała Samancie szal z delikatnej błękitnej wełny. - Po tym, jak ustaliłyśmy fason sukni, zaczęłam się obawiać, że może być pani za zimno. Te ślicznotki w Londynie mogą sobie paradować półnago, ale tutaj, na północy, to zupełnie co innego.

- Pani Biggers, nie mogę tego przyjąć ... to zbyt wiele.

- Cóż za nonsens! - Zarzuciła Samancie szal na ramiona i nachyliła się do jej ucha. - Prawdę mówiąc, żałuję tego, co wczoraj powiedziałam w złości. Nie powinnam paplać bez namysłu.

- Była pani zdenerwowana. Rozumiem to.

Pani Biggers rozpromieniła się w uśmiechu.

- Wiedziałam, że pani zrozumie. Więc jak, jesteśmy gotowe na wspaniałą ślubną ceremonię? Dziedzic i ja także weźmiemy w niej udział. Ktoś musi zastąpić pani rodziców, skoro nie ma ich już wśród nas, niech Bóg da im wieczne odpoczywanie. - Dziękuję - wyjąkała Samanta, wzruszona tą niespodziewaną wielkodusznością.

Pani Sadler posłała Elmirę, żeby powiedziała wszystkim zebranim na dole, iż czas ruszać do kościoła.

- Jesteśmy prawie gotowe.

- Widzieliście pana młodego? - spytała pani Porter.

- Ja nie widziałam - odparła pani Biggers. - Ale muszę wam powiedzieć, że wolałabym, żeby miał na imię jakoś inaczej, nie Marvin.

- Ja mam to samo odczucie - przyznała pani Sadler. - W imieniu Marvin nie ma nic romantycznego. - Splunęła na buty Samanty i wypolerowała je brzegiem fartucha.

- To imię dla silnego mężczyzny - stwierdziła pani Porter.

- Alys, pomyśl tylko - zwróciła się do niej pani Sadler. W porządku, jeśli mówisz: „Marvin, chodź na kolację. Marvin, wytrzymaj buty z błota”. Ale spróbuj sobie wyobrazić ... - Podniosła głos do głupawego falsetu. - „Marvin, weź mnie!” To już nie brzmi tak dobrze.

Wybuchnęły dziewczęcym chichotem. Samanta czuła się zakłopotana, lecz nie chciała dać tego po sobie poznać. Bywała akuszerką; wiedziała, co się działo pomiędzy mężem i żoną. Pomyślała, że pani Sadler to właśnie ma na myśli.

- Cóż, gdyby każdy mężczyzna o imieniu Marvin wyglądał tak jak on - powiedziała pani Biggers przeciągle - to nie miałabym nic przeciwko igraszkom w pościeli. Poza tym, to nie imię jest ważne, tylko człowiek, który je nosi, a on wydaje mi się bardzo ... zdolny.

Samanta przyglądała się ze zdumieniem zwykle powściągliwej i układnej pani Biggers. Jeszcze bardziej zdziwiło ją to, że pani Sadler i pani

Porter ochoczo jej przytaknęły.

Pani Biggers wymierzyła Samancie żartobliwego klapsa.

- Powinna się pani potem dobrze bawić, bo inaczej uwierzę, że straciłam wycucie co do mężczyzn.

We wszystkich swych przemyśleniach i rozterkach Samanta w ogóle nie brała pod uwagę nocy poślubnej. Jak mogła być tak naiwna?

- Chodźmy, już pora - ocknęła się pani Sadler, więc Samanta nie miała już czasu na roztrząsanie nowych wątpliwości. Wychodząc spierały się między sobą, czy Samanta powinna założyć swoją ciężką pelerynę, czy tylko szal. Pani Biggers obawiała się, że peleryna zniweczy efekt sukni. Wszyscy pozostali, z Samantą włącznie, obawiali się, że może się śmiertelnie przeziębic.

Samanta założyła pelerynę. Sięgnęła do kieszeni po rękawiczki, ale pani Biggers ją powstrzymała.

- Do takiej sukni powinnaś mieć długie rękawiczki - po - - . uczyła Samantę.

- Mam tylko takie - Samanta pokazała jej dziecięce rękawiczki sięgające do nadgarstka.

- Cóż, będą musiały wystarczyć - powiedziała z rezygnacją pani Biggers.

Na zewnątrz panował chłód, lecz niebo było błękitne i czyste.

Dzień był naprawdę wyjątkowy! Śnieg skrzył się w słońcu. Sanie pani Bigges czekały przed wejściem do gospody.

- Pomyślałam, że powinniśmy zawieźć pannę młodą z fasonem - powiedziała pani Biggers.

Roddy, który służył za woźnicę, pomógł wszystkim paniom wejść do środka. Podając dłoń Samancie, rzekł:

- Ładnie pani wygląda, panno Northrup.

- Dziękuję ci, Roddy - przyjęła komplement z wdzięcznością.

W miarę jak zbliżali się do kościoła, Samanta czuła, że żołądek zaciska jej się w coraz twardszy węzeł, ale była zdecydowana nie dać po sobie niczego poznać. Weszła do kościoła z wysoko podniesioną głową.

Kościół Świętego Gabriela liczył przeszło sześćset lat. Był mały i prosty, bez kruchty, więc kiedy Samanta przestąpiła próg, wszyscy odwrócili głowy, żeby na nią popatrzeć. Wyglądało na to, że cała parafia zjawiała się, żeby obejrzyć jej ślub.

- O rany - westchnęła.

Pani Porter usłyszała jej westchnienie i uściśnęła ją szybko dla dodania otuchy.

- Wszystko będzie dobrze. Daj mi te rękawiczki, bo nie pasują do sukni. Ja wychodziłam za mąż bez rękawiczek, a żyjemy z Bertem

szczęśliwie. - Samanta posłusznie zdjęła rękawiczki i oddała je pani Porter.

Dziedzic Biggers już czekał, żeby poprowadzić Samantę do ołtarza. Była tak zdenerwowana, że czuła się, jakby nogi wrosły jej w ziemię. Dziedzic Biggers musiał wyczuć jej napięcie. Szarmanckim gestem zdjął jej z ramion pelerynę i zastąpił ją błękitnym szalem.

W kościele rozległy się westchnienia zachwytu i Samanta, słysząc je, odzyskała równowagę.

Dziedzic Biggers podał jej ramię i ruszyli w stronę ołtarza. Nagle Samanta stanęła jak wryta. Przy ołtarzu, u boku pastora Newella, czekał na nią Marvin ... ale nie ten sam, którego znała.

Ogolił się. Miał mocniej zarysowaną szczękę, niż się spodziewała. Właściwie sprawiał wrażenie zupełnie innego człowieka - człowieka z charakterem i dobrym pochodzeniem. I wyglądał niesamowicie przystojnie.

Czarny surdut pana Sadlera leżał na szerokich ramionach Marvina, jakby był szyty specjalnie dla niego. Zdobył gdzieś nawet krawat i zawiązał go fantazyjnie na białej koszuli. Wyczyścił też buty specjalnie na tę okazję. Najbardziej niepokojące jednak było to, że i on patrzył na Samantę, jakby ją widział po raz pierwszy. Objął ją spojrzeniem od głęboko wyciętego dekoltu po czubki butów. W jego oczach widać było podziw.

Dla niej! Tylko dla niej!

- Chodźmy, panno Northrup - ponaglił dziedzic Biggers. Czas, żeby spotkała pani swoje przeznaczenie. - I z tymi słowami powiódł ją do ołtarza.



## 6

Idąc do prostego kamiennego ołtarza, nakrytego koronkowym obrusem, Samanta myślała o niezliczonych niedzielach, które spędziła w tym kościele słuchając kazań ojca.

- Och, tato, jaka szkoda, że cię tu dziś nie ma - westchnęła z żalem.

Jakby w odpowiedzi, na mgnienie oka ogarnęło ją krzepiące ciepło. Podobne odczucie miała zawsze, kiedy ojciec, kończąc nabożeństwo, udzielał wiernym błogosławieństwa. Kojarzyło jej się ze spokojem. I z nadzieją.

Stanęła u boku swego przysłego męża. Wydał jej się znacznie wyższy, niż pamiętała. Wyciągnął do niej ramię. Samanta spojrzała na .nie niepewnie, a dziedzic Biggers ujął jej dłoń i położył na ręce pana Browne'a.

Nie, nie pana Browne'a ... Marvinina.

Pastor Newell całkiem sprawnie odprawił nabożeństwo.

Nie miał tak donośnego głosu jak ojciec Samanty, którego obecność nadal była dla niej wyczuwalna w tym świętym miejscu.

Słyszała, jak kilka kobiet pochlipuje ze wzruszenia. Panna Mabel i panna Hattie na przemian wycierały nosy. Było tak samo, jak na setkach innych ślubów, które Samanta oglądała w tym kościele.

Ale to był jej ślub.

Miała pewne trudności z powtórzeniem słów przysięgi; była mocno zdenerwowana. Dopiero kiedy skończyła, uświadomiła sobie, że z całych sił ściska dłoń Marvinina.

On natomiast powtórzył przysięgę głębokim, spokojnym głosem, nie zdradzając żadnych emocji... i stali się małżeństwem. Wsunął jej na palec wąską złotą obrączkę. Trochę uwierała, ale była jak najbardziej na miejscu.

Zwyczaj nakazywał, by pan młody pocałował pannę młodą na zakończenie ceremonii dla przypieczętowania małżeńskiej przysięgi. Jednak Marvin jej nie pocałował. Włożył sobie jej rękę pod ramię i ruszył od ołtarza. Musiała niemal biec, żeby dotrzymać mu kroku.

Nie zatrzymał się, dopóki nie wyszli na zewnątrz i nie zamknęły się za nimi drzwi kościoła. Samanta cofnęła rękę. - Po co ten pośpiech?

- Wolałbym, żebyśmy im uciekli - rzekł z przebiegłym uśmiechem.

- Ale przyjęcie weselne ... nie możemy teraz zniknąć. Wszyscy przygotowawali je dla nas w gospodzie.

Spojrzał na nią marszcząc czoło.

- Chcesz powiedzieć; że masz ochotę zostać na weselnym śniadaniu?

Samanta nie rozumiała jego postawy.

- Zaplanowali je specjalnie dla nas ... wszystko jest gotowe ...

Parsknął niecierpliwie.

- Nie rozumiesz, jakimi hipokrytami są ci ludzie?

W tym momencie drzwi się otwały i mieszkańcy wsi wylegli przed kościół, gotowi składać nowożeńcom życzenia. Pani Porter pamiętała, by przynieść pelerynę, za co Samanta była jej szczerze wdzięczna. Suknia zupełnie nie chroniła przed zimnem.

- Myśleliśmy, że zniknęliście - odezwał się dziedzic Biggers, klepiąc Marvina po ramieniu. - Moje gratulacje, człowieku! Miło popatrzeć, jak kolejna ofiara dołącza do nas, usidlonych nieszczęśników.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem ... poza Marvinem.

- Już dobrze - zmytygował się dziedzic Biggers. - To tylko dowcip. Chodźmy do gospody, żeby wznieść toast za wasze zdrowie.

Samanta spojrzała na Marvina, błagając go wzrokiem, żeby się zgodził pójść wraz ze wszystkimi do gospody. Było to dla niej ważne. Jak dotąd cały ranek przypominał najmiłszy sen. Musiała pójść do gospody. Każda świeżo poślubiona para udawała się do gospody.

Zacisnął zęby w grymasie uporu. Miał zamiar odmówić, lecz po chwili jego twarz przybrała łagodniejszy wyraz.

- Oczywiście, że pójdziemy do gospody.

Samanta jeszcze nigdy nie czuła tak wielkiej ulgi. Przyjmowała gratulacje i uściski, poddając się atmosferze radosnego uniesienia.

Jechali do gospody saniami dziedzica Biggersa, podczas gdy reszta towarzystwa towarzyszyła im na piechotę. Samanta nie założyła rękawiczek; chciała, żeby wszyscy widzieli na jej palcu lśniąca złotą obrączkę.

Była zameżna!

I nadal nie mogła w to uwierzyć.

- Co z tobą? - odezwał się Marvin.

Podniosła na niego wzrok, zaskoczona pytaniem. Przyglądał jej się z uwagą.

- Ze mną? Nic. Dlaczego pytasz?

- Bo wyglądasz tak, jakbyś była z czegoś niesamowicie dumna.

Uśmiechnęła się szeroko, dając upust radości, która dosłownie rozpierała ją od środka.

- Nie spodziewałam się obrączki.

Spojrzał na cieniutki pasek złota na jej palcu.

- Nie jest zbyt okazała - mruknął z lekkim zakłopotaniem - ale najlepsza, jaką można dostać w Sproule na poczekaniu.

- Wystarczy w zupełności.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale najwyraźniej się rozmyślił. Nie miała czasu dłużej się nad tym zastanawiać, ponieważ stanęli właśnie przed gospodą.

Weselne śniadanie wyglądało tak samo jak wszystkie inne weselne śniadania w Sproule, w jakich Samanta brała udział. Nie posiadała się z radości. Usadzono ich na honorowym miejscu, tak że mogli widzieć wszystkich biesiadników.

Piwo było mocne i dobre, a toasty ciągnęły się bez końca.

Goście mieli do dyspozycji całą beczkę, co tym bardziej wprawiało ich w doskonały nastrój.

Ma się rozumieć, Samanta i Marvin nie zamierzali czekać, aż w beczce ukaże się dno. Po tańcach mieli być odprowadzeni do sypialni, w której Samanta spędziła ostatnią panięską noc, i pozostać tam dla skonsumowania małżeństwa.

Samanta odsunęła od siebie kufel, czując, że wypła już wystarczająco dużo. Serce waliło jej w piersi na myśl o zbliżeniu z Marvinem.

Gdy w pewnej chwili, pod stołem, dotknął kolaniem jej nogi, Samanta wzdrygnęła się, jakby sparzyła ją iskra. Marvin musiał wyczuć jej niepokój, bo spojrzął na nią z niemym pytaniem w ciemnych oczach.

Posłała mu uśmiech, który miał go upewnić, że wszystko jest w porządku ... i zobaczyła, że opuścił wzrok na jej piersi, wyłaniające się z głębokiego dekoltu sukni.

W pierwszym momencie miała ochotę unieść rękę i je osłonić, ale nie wykonała żadnego ruchu; zastanawiała się tylko, czy choć trochę mu się spodobały.

Musiała przyznać, że nigdy nie spotkała tak przystojnego i godnego mężczyzny. W dodatku uratował ją przed smutnym, beznadziejnym życiem. Była teraz panią Marvinową Browne. Składając ręce na kolanach, przesunęła palcem po obrączce.

Marvin patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem. Zaśmiał się z czegoś, co pan Hatfield powiedział na temat mężów i żon, ale pod stołem niecierpliwie tupał obcasem, jakby odmierzając czas do chwili, gdy będą mogli uciec. Samanta żałowała, że nie może poznać jego myśli.

W końcu dziedzic podniósł się od stołu. Popijał ostro, co było jego zwyczajem. Podniósł w górę kufel.

- Mam coś do powiedzenia ...

- Ty zawsze masz coś do powiedzenia - wtrąciła dobrodusznie jego żona. Wszyscy się roześmiali, choć pani Biggers była jedyną osobą, która mogła sobie pozwolić na żarty z dziedzica.

- Po pierwsze, wnieśmy toast za naszych świeżo poślubionych pana i panią Browne - powiedział niezrażony dziedzic Biggers.

Samanta zarumieniła się, kiedy wszyscy z entuzjazmem wnieśli kufle.

Kiedy wypili do dna, dziedzic rzekł:

- Po drugie, chcę zaoferować Marvinowi pracę. I to dobrą. Potrzebuję

pomocnika do stajni i sądzę, że się nada. Zawsze przyda się taki postawny, krzepki mężczyzna.

Wszyscy ponownie unieśli kufle, poza ... Marvinem i Samantą, która tylko zerknęła na niego kątem oka. Nie uśmiechał się.

Wstał, odpychając krzesło od stołu. Samanta wstrzymała oddech, kiedy wziął do ręki kufel i podniósł w stronę dziedzica.

- Doceniam pańską propozycję - powiedział; ton jego głosu wydał jej się bardziej gładki wyniosły niż dotąd. - Jednakże zadbam o moją żonę tak, jak sam uznam za stosowne. I muszę odmówić. A teraz, jeśli państwo pozwolą, będziemy się zbierać. - Opróżnił kufel, odstawił na stół i podał Samancie rękę.

Nie miała wyboru, więc tylko podała mu dłoń. Sytuacja była bardzo niezręczna. Zapadła cisza. Samanta czuła, że wszyscy na nią patrzą.

Pomógł jej wstać, odsuwając ławkę, by mogła wygodnie przejść. Kiedy zrobili pierwszy krok w stronę drzwi, dziedzic zastąpił im drogę.

- Nie zabierze pan nam panny Northrup - powiedział dziedzic. - Nie może pan. Ona jest jedynym lekarzem, jakiego tu mamy.

- Powinien pan o tym pomyśleć, zanim pan ją wydał za obcego - zakpił Marvin.

- Zostanie pan tutaj - zarządził dziedzic Biggers tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Jeśli nie podoba się panu praca, którą zaproponowałem, może mógłbym porozmawiać z zarządcą księcia Ayleborough. Może oni mieliby dla pana jakieś zajęcie ... ale nie zabierze pan panny Northrup.

- Nazywa się teraz pani Browne - przypomniał Marvin. - I zrobię to, co mi się będzie podobało.

Nozdrza dziedzica Biggersa zafalowały gniewnie.

- Tak, może pan ... ale dopiero po skonsumowaniu małżeństwa. Bo do tego czasu może zostać anulowane.

Większość uczestników weselnej uczty wstrzymała oddech.

Samanta również.

Marvin chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą. - Nie zrobi pan tego - warknął.

- Zrobię to, co będę musiał, żeby zadbać o to, co do mnie należy - rzekł dumnie dziedzic Biggers. - I nie ma tu człowieka, który nie zrobiłby tego samego.

Jak na komendę, wszyscy mieszkańcy wsi rodzaju męskiego, poza pastorem Newellem, wystąpili na znak solidarności z dziedzicem. Samanta widywała już wcześniej takie sceny. Tradycja miała tu głębokie korzenie; wszyscy ślepo podążali za przykładem dziedzica. Jedynym, który mógł mu się przeciwstawić, był sam potężny książę Ayleborough.

Panowało takie napięcie, że powietrze stało się ciężkie.

Wcześniejszy dobry nastrój gdzieś wyparował. Samanta czuła się rozdarta pomiędzy społecznością, którą знаła od zawsze, a mężczyzną, który stał u jej boku. Spojrzała na męża; miał posępny wyraz twarzy. Najwyraźniej nie podobało mu się żądanie dziedzica ... lecz nagle, ku jej całkowitemu zaskoczeniu, odprężył się. Co więcej, nawet się uśmiechnął.

- Ma pan rację, dziedzicu Biggers. Zrobiłbym błąd, zabierając moją żonę z tej wioski. Może praca w pańskiej stajni okaże się dla mnie odpowiednia.

Twarz dziedzica rozpromieniła się radością.

- O tak, mamy szczęście, że poszedł pan po rozum do głowy.

Samanta widziała, że uśmiechy obu mężczyzn nie są do końca szczerze. Wyczuwała, że obydwaj zachowali nieufność i czekają na rozwój wydarzeń.

- Zatem napijmy się - zarządził dziedzic Biggers, a Marvin posłusznie nadstawił kufel do napełnienia usługującej dziewczynie. Wypił do dna ten oraz kilka następnych, lecz Samanta nie zauważyła, by trunek w jakikolwiek sposób wpłynął na jego zachowanie. Z ulgą stwierdziła, że jednak nie jest pijakiem. A musiała przyznać, iż ta obawa drzemała gdzieś w zakamarkach jej umysłu.

Właśnie zaczęły się tańce, kiedy zdecydowanie wziął ją za rękę i zażądał, by z nim wyszła.

- Dokąd?

- Skonsumować nasze małżeństwo - powiedział, nie patrząc na nią, gdyż wzrok miał wciąż utkwiony w dziedzica Biggersa, który tańczył ze swoją żoną. Nie robił wrażenia spragnionego kochanka.

Podniósł się od stołu, pociągając ją za sobą. Zaczęli się Posuwać w stronę drzwi wiodących do holu, z którego było wyjście na schody, gdy dostrzegła ich pani Sadler.

- Już czas! Już czas! - zawołała. Wszyscy zastygli w bezruchu, patrząc na nowożeńców.

Samanta zamarła; w zachwycie nad Swym małżeńskim stanem zupełnie zapomniała o tej części ślubnego obrzędu, gdy wieśniacy pomagają doprowadzić młodą parę do łoża. Zazwyczaj oboje z ojcem opuszczali przyjęcie wcześniej, nie chcąc oglądać dwojga ludzi upokarzanych w taki sposób. Zdarzało się wielokrotnie, że wieśniacy rozbierali młodych i przywiązywali ich do łóżka.

Marvin najwyraźniej też znał ten zwyczaj, bo ściskając jej rękę, rzucił:

- Biegiem.

Nie musiał jej tego dwa razy powtarzać, jednak gdy znaleźli się w holu, puścił jej rękę i skierował się ku drzwiom wyjściowym. Samanta patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc. Nie zamierzał jej zabierać na górę.

Pierwszy z mieszkańców wsi był już prawie przy drzwiach, kiedy

Marvin szybko zamknął mu je przed nosem.

- Gdzie jest zamek? - zawołał do Samanty.

- Nie ma zamka.

- Nie ma? - powtórzył zbity z tropu.

Nie było czasu na ucieczkę. Chwycił ją za łokieć i pociągnął na schody. Kiedy znaleźli się na górze, Samancie z pośpiechu brakowało tchu. Wieśniacy wykrzykiwali ich imiona, dorzucając niewybredne żarty. Dopadli sypialni, którą Samanta wcześniej zajmowała, i ukryli się w środku.

- A te drzwi jak się zamyka? - spytał Marvin, wyraźnie tracąc cierpliwość.

- Nie zamyka się! - odkrzyknęła. Słyszała, jak wieśniacy ze śmiechem wchodzą na schody. Była bliska hysterii; miała ochotę wyć. Nie mogli wejść do tego pokoju. Umarłaby ze wstydu, gdyby zrobili im choć połowę tego, co jak słyszała, robili innym parom.

Marvin rozwiązał problem przysuwając do drzwi ciężką komodę.

Ktoś od zewnątrz próbował się wdrzeć, ale nie zdołał ruszyć solidnego mebla.

- Hej, nie bądźcie tacy, musimy mieć zabawę! - wykrzykiwała pani Porter.

- Idźcie do diabła! - poradził im Marvin.

Przyjęli jego odpowiedź ze śmiechem, ale przestali napierać na drzwi. Rozległ się głos dziedzica Biggersa:

- Chodźmy, chłopcy, dokończmy tę beczkę. W końcu zagoniliśmy ich tam, gdzie trzeba.

Samanta opadła na łóżko, przyciskając rękę do brzucha.

- Niewiele brakowało - powiedziała, wsłuchując się w cichnący łomot kroków na drewnianych schodach.

Marvin nic nie odpowiedział. Podszedł do okna i wyjrzał przez nie, wypatrując czegoś w oddali. W sypialni zapanowała cisza. Na dole skrzypek zaczął grać jakiś skoczny taniec i wszyscy podjęli przerwana zabawę. Samanta nerwowo wystukiwała rytm stopą, świadoma, po co siedzą tu sami.

Marvin otworzył wąskie okno.

- Myślę, że zdołam się stąd wydostać tą drogą. Wezmę konia i chyłkiem wrócę po ciebie. Jak sądzisz, czy do kuchni jest jakieś osobne wejście?

Samanta zadrżała, lecz nie od chłodnego powietrza wpadającego przez otwarte okno. Dlaczego tak bardzo chciał uciekać? Znała odpowiedź ... i poczuła się głupią gęsią. Ona! Kobieta dwudziestosześcioletnia. Przez krótką, cudowną chwilę naiwnie żywiła nadzieję, iż zdarzy się cud, zakochają się w sobie nawzajem i odtąd będą żyli długo i szczęśliwie ...

Jakże się myliła.

Z całych sił starała się panować nad głosem.

- Nie masz zamiaru dochować małżeńskiej przysięgi, prawda?

Zamknął okno i spojrzał na nią, unosząc wysoko brwi, jakby dopiero teraz o niej pomyślał.

- Samanto, ja ... - Urwał, odrzucając wszystko, co planował jej powiedzieć. Zamiast tego rzekł: - Jestem zamożnym człowiekiem. Nie muszę pracować w stajni. Mogę cię wygodnie urządzić, gdzie tylko będziesz chciała. Przez resztę życia nie będziesz się musiała o nic martwić.

- Ale nie będziemy małżeństwem.

Ręce mu opadły.

- Nie chcę, żebyś się czuła ze mną związana.

- Bo wyjeżdżasz?

- Mam swoje życie, daleko stąd.

Poderwała się z łóżka, przerażona świtającym w jej głowie podejrzeniem.

- Chyba nie jesteś już żonaty z inną kobietą? Pani Sadler twierdziła, że mówiłaś jej, że nie masz żadnej rodziny ...

- Nie jestem żonaty, Samanto. Tego możesz być pewna.

- Więc dlaczego chcesz mnie opuścić? - zadała pytanie, choć bardzo się bała odpowiedzi. Wiedziała, że powodem musi być to, że jest stara, brzydka, zbyt inteligentna i samodzielna. - Dlaczego w ogóle się ze mną ożeniłeś? - szepnęła.

- Ożeniłem się z tobą, bo bardzo chciałaś wyjść za mąż. A poza tym byłem ci coś winien za to, że uratowałaś mi życie ...

- Nie oczekuję zapłaty. I co ci pozwoliło sądzić, że bardzo pragnęłam małżeństwa?

- Sama mi to powiedziałaś. Wczoraj, kiedy płakałaś.

Samanta przypomniała sobie tamtą sytuację. Policzki zapiekły ją od wstydu. Zbyt zakłopotana, by na niego spojrzeć, usiadła na łóżku.

- Byłam zdenerwowana i zmęczona. Nie powinnam była ci tego wszystkiego mówić. Proszę, jesteś wolny. Nie będę cię zatrzymywać.

Pogładziła obrączkę, a potem ściągnęła ją z palca.

- Masz. Teraz możesz wyjść przez okno i odzyskać wolność.

Nie ruszył się.

- Samanto, nie mogę cię tu zostawić samej.

Udawała, że ogląda deseń na narzucie.

- Wszystko będzie dobrze. - Wcale nie czuła się dobrze.

Była odrętwiała, jakby własne ciało w ten sposób chciało ją chronić przed bólem.

Materac ugiął się, kiedy Marvin usiadł obok niej.

- Nie zostawię cię.

Nie odzywała się. Gdyby spróbowała się odezwać, niechybnie wybuchnęłyby płaczem. Jak mogła zapomnieć o wstydzie i wyznać mu swoje najskrytsze myśli? Nie ożenił się z nią dlatego, że był rycerski; on się nad nią litował. Bezwiednie zmięła w dłoni narzutę, z całej siły zaciskając palce.

- Samanto, spójrz na mnie. Musimy o tym porozmawiać. Czują nieznośny ucisk w gardle; mówienie przychodziło jej z najwyższym trudem.

- Nie zostało nic do powiedzenia.

Nie był zadowolony z jej odpowiedzi. Wyczuwała, że jest rozdrażniony, ale nic nie mogła na to poradzić. Chciała, żeby odszedł ... im szybciej, tym lepiej.

Słyszała dobiegający z dołu głos dziedzica Biggersa, który przekrzykując innych biesiadników, śpiewał do wtóru skrzypiec. Zaiste, goście dobrze się bawili na jej weselnym przyjęciu.

Powinna nienawidzić Marvinina ... ale nie potrafiła. Czowała jedynie rozczarowanie, jakby umarło w niej jakieś oczekiwanie i nadzieja.

- Proszę cię, Samanto, nie zachowuj się tak.

Nie wiedziała, o co mu chodzi. Jak miała się według niego zachowywać?

Przezeszał włosy palcami; zauważyła, że zawsze tak robi, kiedy jest zdenerwowany lub zły.

Skrzypek na dole zmienił melodię. Tancerze rozszaleli się w dzikich przytupach i podskokach.

I wtedy nagle Marvin położył jej ręce na ramionach, odwrócił ją do siebie i pocałował. Samanty jeszcze nikt nigdy nie całował, poza rodzicami, więc to przeżycie było dla niej całkowitym zaskoczeniem. Jego wargi były twarde i nieustępliwe.

Miała oczy szeroko otwarte. On też otworzył oczy i ich spojrzenia się spotkały. Cofnął się nagle, przerywając pocałunek.

- Samanto, kiedy mężczyzna cię całuje, nie powinnaś się w niego wpatrywać.

Zakryła usta drżącą dłonią.

- Nie wiedziałam, co robić.

Kąciki jego ust nieznacznie drgnęły.

- No tak, oczywiście.

Ironia w jego głosie zraniła jej i tak już obolałą duszę.

- Myślałam, że stąd odchodzisz.

- Owszem, gdy tylko cię przekonam, żebyś poszła ze mną.

- Jak masz zamiar .tego dokonać? - spytała.

- Całując cię jeszcze raz - oznajmił spokojnie.

Samanta poderwała się z łóżka i wycofała się pod drzwi. - Nie chcę, żebyś to robił. Nie podoba mi się to. - Z dołu dobiegało zbiorowe klaskanie.



Weselne przyjęcie trwało w najlepsze.

- Och, Sarn ... - Westchnął z rezygnacją.

Sam. Jeszcze nikt nie zdrabniał w ten sposób jej imienia. Podobało jej się to, choć nie powinno było się podobać.

On również wstał z łóżka i zaczął się do niej zbliżać.

- Spróbujemy jeszcze raz.

- Dlaczego? - spytała, umykając w odległy kąt pokoju. - Bo żal ci kogoś takiego jak ja?

- Nie. Bo chcę, żebyś ze mną wyjechała.

Zatrzymał się w miejscu. Ona także stanęła; była odwrócona plecami do łóżka.

- Daj sobie szansę, Sam - powiedział cicho. - Spróbuj choć przez chwilę być inna niż jesteś, a może się okazać, że spodoba ci się wolność.

Nie była pewna, o czym on mówi, ale nie cofnęła się, kiedy zrobił kilka kroków i stanął tuż przed nią.

- Suknia jest śliczna - pochwalił nieco schrypniętym głosem.

- Uszyły ją kobiety ze wsi - powiedziała sucho i aż się wzdrygnęła, słysząc własny ton.

- Świetnie się spisały.

Kiwnęła głową potakująco. Kiedy stał tak blisko, ledwie mogła oddychać, a co dopiero mówić.

- Sarn, podaj mi rękę.

Chciała się cofnąć, ale tuż za sobą miała krawędź łóżka.

- Po co?

- Chcę cię potrzymać za rękę.

Prośba brzmiała całkiem niewinnie, więc wyciągnęła rękę. Ujął ją swą znacznie większą i mocniejszą dłonią.

- Jak na taką silną kobietę, jesteś filigranowa. - Delikatnie wodził palcami po wnętrzu jej dłoni. Stał tak blisko, że gdyby się pochyliła, jej piersi dotknęłyby jego surduta. Nie puszczając jej ręki, dotknął jej podbródka, zmuszając ją do uniesienia głowy.

- Chcę, żebyś tym razem zamknęła oczy.

- Tym razem? - powtórzyła bez tchu. Położył sobie jej dłoń na ramieniu.

- Tak, tym razem.

Pochylił się, żeby ją pocałować, a ona posłusznie zamknęła oczy. Zaczął nieśmiało, jakby ostrożnie, lecz nie napotykając oporu z jej strony, stał się śmielszy, wręcz natarczywy. Dotykał nosem jej policzka, drażnił językiem dolną wargę. Zdumiona rozchyliła usta, co natychmiast wykorzystał.

Samanta nagle odkryła, że odwzajemnia pocałunek, jakby to było coś najnormalniejszego w świecie. Odchyliła głowę bardziej do tyłu, dając mu do

siebie lepszy dostęp, z czego natychmiast poczynił użytek.

Całował ją z coraz większą namiętnością, wzbudzając w niej podobny odzew. Kiedy bezwiednie westchnęła, objął ją i przyciągnął do siebie. Pocałunek stał się jeszcze bardziej namiętny.

Przyjemnie było być tak blisko drugiej osoby. Kiedy położył jej ręce na biodrach, odruchowo przylgnęła do niego, tak że ich ciała zetknęły się na całej długości. Czowała jego smak; nie wzbraniała się przed pieszczotą jego języka, uznając ją za coś zupełnie naturalnego.

Nic dziwnego, że poeci opiewali pocałunki! To, co czuła, było o wiele lepsze niż jakikolwiek ze znanych jej opisów. Pocałunki Marvina były gorące, prawdziwe, żywe ... a kiedy zaczął wykonywać językiem powolne, lecz nieustępliwe ruchy, przebiegł ją dreszcz i przylgnęła do niego jeszcze mocniej w pełnym napięcia oczekiwaniu.

Odpowiedział na jej uległość pomrukiem zadowolenia. Nim się spostrzegła, położył ją na łóżku i ułożył się obok niej, nie przerywając pocałunku.

Oderwał wargi od jej ust i przeniósł na jej ucho, leciutko muskając rozgrzaną skórę. Oboje ciężko oddychali.

- Sam. - Jego niski głos dźwięczał jej w uszach, zdawał się przenikać całe ciało.

- Tak - szepnęła.

- Wspaniale całujesz.

Omali się nie roześmiała, zadowolona z pochwały.

- Ty też.

Czuła, jak jego usta przyciśnięte do jej szyi wyginają się w uśmiechu.

- Chciałbym się z tobą kochać.

Zastygła w bezruchu, czując nagły zamęt w głowie. - Ja ... nie wiem ...

- Och, Sam. Ty też tego pragniesz. Widzisz? - Nakrył dłonią jej pierś i natychmiast brodawka przybrała kształt twardego pączka. Jego dotyk odbierał jej jasność myślenia.

Próbowała się podnieść, ale pochylił się nad nią w kolejnym pocałunku. Tym razem nie musiał jej mówić, by zamknęła oczy. Poddając się znanej już, zmysłowej pieszczocie jego języka, czuła falę dziwnego ciepła wzbierającą w dole brzucha. Nie wiedziała, co się z nią dzieje; nie poznawała samej siebie. Zarzuciła mu ręce na szyję, przyciągając go mocno do siebie.

Kiedy się od niej oderwał, wydała z siebie jęk rozczarowania.

- Sam, rozepnij mi spodnie - poprosił.

Ta prośba powinna była ją zaszokować, ale nie zaszokowała.

Wzbudziła jedynie ciekawość. Jego pocałunki otwały puszkę Pandory, pełną nowych, ekscytujących doznań. Była pilną i pojętną uczennicą.

Trochę nieporadnie zabrała się do dzieła. Trudno jej się było skupić na

rozpinaniu guzików, gdy czubkiem języka obwodził kształt jej ucha.

On jednak nie miał trudności, z którymi ona nie mogła sobie poradzić. Sprawnie rozwiązał sznurówki stanika, obnażył jej ramiona i przytknął usta do stwardniałej brodawki .. Samanta krzyknęła. Nie słyszała już muzyki ani klaskania na dole. Nie potrafiła myśleć o łóżku, gospodzie ani o wsi. Była skupiona wyłącznie na mężczyźnie, który robił te zadziwiające rzeczy z jej ciałem.

Possał najpierw jedną, potem drugą brodawkę. Zsunął niżej miękkie fałdy sukni, a potem wprawnie zabrał się za rozwiązywanie ramiączek halki.

Samanta poczuła się kobietą lubieżną. Rozwiązła. Zmysłową.

Szarpnęła go za ubranie, dając mu do zrozumienia, że także powinien się rozebrać. Usłuchał natychmiast, ciskając surdut na podłogę przy łóżku i jednym pociągnięciem zrywając z szyi halsztuk.

Wyciągnęła mu koszulę ze spodni i zaczęła rozpinąć guziki, ale ją powstrzymał. Wstał i sam zdjął koszulę. Potem usiadł na brzegu łóżka i jeden po drugim ściągnął buty. Opadły na podłogę z głuchym stuknięciem. Teraz, stojąc, zaczął rozpinąć guziki spodni.

Samanta obserwowała go szeroko otwartymi oczyma. Uśmiechając się, ściągnął spodnie wraz ze skarpetkami.

Kiedy się wyprostował, aż otwarła usta ze zdumienia. Jeszcze nigdy nie widziała w pełni podnieconego mężczyzny i była pod wrażeniem. Pragnęła aż do bólu czuć go obok siebie. Tylko że ...

- Coś nie tak? - spytał zaniepokojony.

- Nie jestem pewna, czy będę umiała ... - przyznała po chwili wahania.

- Nauczę cię - przerwał jej ze śmiechem. Jego ton świadczył o tym, że nie brakuje mu odpowiedniej wiedzy.

Klęknął na łóżku i zaczął ją rozbierać. Nie śpieszył się, równocześnie rozgrzewając ją pocałunkami. Całował ją w miejsca, o których wcześniej nie odważyłaby się nawet pomyśleć, że mogą być całowane, a ona wzdychała leciutko, dając wyraz przyjemnym odczuciom. Kiedy nie miała już na sobie nic poza pończochami i podwiązkami, pochylił się nad nią i zaczął pieścić wewnętrzną stronę jej ud.

Przebiegł ją dreszcz; przyjemność stawała się trudna do zniesienia.

Uniósł głowę i uśmiechnął się filuternie.

- Jeszcze nie jesteś gotowa, prawda?

Nie wiedziała, co to miało oznaczać, ale nie była pewna, czy chce, aby przestał... gdy pogładził ciemne włosy na jej łonie, a potem wsunął palce głębiej, dotykając miejsca, które zdawało się kryć najgłębszy sekret jej kobiecości.

Samanta wyciągnęła do niego ręce, zagubiona w nieznanym świecie, którego środek stanowił on i to, co robił z jej ciałem. Położyła mu ręce na

ramionach, pieszcząc gładką skórę pleców. Rozsunęła nogi, otwierając mu drogę, by mógł sięgnąć jeszcze głębiej.

- Marvin - powtarzała raz po raz. Jego imię stawało się na przemian błaganiem, krzykiem, modlitwą.

Przesunęła dłońmi w dół po jego plecach i boku, aż natrafiła palcami na wzwiedzioną męskość. Zaskoczyło ją, że coś może być tak delikatne w dotyku i twarde zarazem.

- O tak, Sam - wymruczał wprost do jej ucha. - Dotknij mnie. - Ujął jej dłoń i zachęcił do śmiałości. - To cudowne, kochanie, kiedy mnie dotykasz - szepnął.

Powiedział „kochanie”. To czule wypowiedziane słowo niemal doprowadziło ją do łez.

Poruszył się i po chwili poczuła go na sobie. Był silny, napięty, gotowy. Nie mogła się doczekać, kiedy ich ciała połączą się w jedno. Miała wrażenie, że znajduje się na progu, za którym życie nabiera nowego sensu. Inne kobiety poznały tę tajemnicę, a teraz i ona miała dostąpić wtajemniczenia. Miłosny akt pomiędzy mężczyzną i kobietą był czymś świętym. Mieli się stać jednością, połączeni największym sekretem życia.

Obwiodł językiem jej usta, a potem zgniótł je namiętym pocałunkiem.

- Sam, kochanie, popatrz na mnie.

Otworzyła oczy przymglone rozkoszą.

- To może cię trochę zabołec - ostrzegł. - Jeśli będzie za bardzo, powiedz mi, to się powstrzymam ... jeżeli zdołam.

- Och, Marvin - szepnęła z błogim uśmiechem. - Nie mów tyle. - Przyciągnęła go do siebie. Czując, jak wsuwa się w nią, wiedziała, że już nigdy nie będzie tą samą kobietą.

## 7

Yale'owi w tym momencie przemknęły przez głowę dwie myśli: pierwsza - tak wygląda niebo; a druga - diabeł upomni się o zapłatę za jego niegodziwy postępek!

Znieruchomiał. Resztki rozsądku kazały mu się zastanowić, jak mógł popełnić tak fatalny błąd. Ale w tym momencie jej mięśnie zacisnęły się wokół niego ... i z rozsądku nie pozostało nawet śladu. Była niewyobrażalnie cudowna.

- Sam ... - wyszeptał jej imię z westchnieniem, zanurzając się w niej głębiej.

Niewiele wiedział o dziewczicach. Prawdę mówiąc, jeszcze nigdy z żadną nie miał do czynienia. Słyszał, że niektóre krzykiem wzywały matkę, a inne wybuchały płaczem. Były też takie, które szlochały z bólu.

Sam nie robiła żadnej z tych rzeczy. Zamiast tego poruszyła biodrami, doprowadzając go niemal do szaleństwa.

Jęknął przeciągle.

- Uraziłam cię? - szepnęła zaniepokojona.

- Nie ... wszystko w porządku ... już ... - wydukał, próbując nad sobą zapanować. W końcu to on był tym bardziej doświadczonym i powinien kontrolować przebieg wydarzeń.

Przesuwał ustami po jej szyi, napawając się delikatnym, słodkim zapachem, równocześnie modląc się w duchu o zmiłowanie.

- Już? - powtórzyła. - Czy zrobiłam coś nie tak? Przyciskał wargi do jej szyi. Z całą pewnością nie zamierzała krzyczeć ani wybuchać płaczem... ani poddawać się szalonej namiętności.

Yale uniósł głowę i napotkał jej bystre, zaciekawione spojrzenie. Odniósł wrażenie, że nie jest zaangażowana w to, co się między nimi dzieje.

Na dole któryś z biesiadników, najwyraźniej całkiem pozbawiony muzycznego słuchu, zaczął solowe występy.

- To dziedzic - powiedziała, jakby ją o to spytał. - Zawsze odczuwa potrzebę śpiewania, kiedy za dużo wypije.

Yale odruchowo pokiwał głową, daleki od przejmowania się dziedzicem.

- Nie zadałem ci chyba bólu? - spytał, sprowadzając ją do tematu, który bardziej go interesował w owej chwili.

- Prawie wcale. Poczulałam tylko jakby lekkie ukłucie i już było po bólu. - Uniosła brwi. - Więc to już wszystko? To znaczy, myślałam, że będzie coś więcej, bo poeci wciąż piszą o umieraniu z miłości i w ogóle.

Yale patrzył na nią; znaczenie tego, co powiedziała, powoli do niego docierało. Myślała, że już jest po wszystkim? Nie, jeszcze gorzej. Była gotowa na tym poprzestać. Kiedy wreszcie uświadomił sobie w pełni niedorzeczność sytuacji, nie mógł opanować śmiechu.

Jej brązowe oczy zabłysły zdumieniem.

- Czułam, jak się śmiałeś. Tam głęboko we mnie. To było przyjemne - dodała miękko.

Yale dotknął ustami jej gładkiego policzka.

- Chyba dotąd nie spotkałem kobiety takiej jak ty - szepnął.

- Jest tak źle? - zaniepokoiła się.

- Przeciwnie. Jest dobrze. - Cofnął się, a potem zanurzył w niej głębiej, rozkoszując się doznaniem. - Bardzo dobrze.

- To też czułam.

- A to? - Wykonał kolejne pchnięcie.

Bezwiednie wyprężyła się, żeby go w siebie przyjąć.

- O, tak - szepnął tracąc dech.

W szedł w nią znowu i tym razem ona szepnęła:

- Och, tak jest lepiej.

Yale roześmiał się triumfalnie.

- Och, Sam, jesteś niesamowita. Jesteś prawdziwym skarbem.

- Skarbem - powtórzyła jakby zdziwiona i zaczęła się poruszać w nadanym przez niego rytmie.

Yale skubał zębami koniuszek jej ucha.

- Perłą, której nie da się z niczym porównać. - A potem już nie był w stanie nic powiedzieć, bo odpowiadała na jego ruchy całym ciałem, z zapamiętaniem i niezawodnym instynktem. Jego słodka Sam była doprawdy pojętną uczennicą. Któż mógłby oczekiwać tak gorącej kobiety pod postacią córki pastora?

Skrzypek grał skoczną gigę. Dźwięki z dołu dochodziły do sypialni czyste i wyraźne; Yale przyłapał się na tym, że porusza się do taktu melodii.

Tańczyli odwieczny taniec kochanków. Chłonał uczucia odbijające się na jej twarzy, zachwycony świeżością i szczerością jej reakcji. Muzyka umilkła, lecz Yale tego nie słyszał, zauroczony magią jej ciała.

Teraz ona nadawała rytm, unosząc biodra wyczekująco, ilekroć się z niej wysuwał. Panował nad sobą resztką woli, gdy poczuł, że znieruchomiała, zawieszona na szczycie rozkoszy. Wydała z siebie cichy okrzyk, w którym była radość i zdumienie, i przyłgnęła do niego kurczowo. W końcu i Yale osiągnął spełnienie, jakiego jeszcze dotąd w życiu nie zaznał, po czym opadł bez sił, całkowicie wyczerpany.

Świat zewnętrzny powoli odzyskiwał kształty. Na dole znów wydierał się dziedzic Biggers, tyle że tym razem towarzyszył mu cały chór.

Yale poczuł łaskotanie chłodu na plecach; z przodu ogrzewało go rozkoszne ciało Samanty. Otworzył oczy. Wystraszył się, że jest zbyt ciężki, by ją sobą przygniatać. Chciał się z niej zsunąć na łóżko, ale mu na to nie pozwoliła. Nie otwierając oczu, objęła go jeszcze mocniej.

- Sam?

Wreszcie na niego spojrzała. Oczy jej błyszczały radością.

- To było niewiarygodne przeżycie. - Otarła się o niego nagimi piersiami. - Zawsze tak jest, Marwinie?

- Nigdy nie było tak. .. - Urwał niespodziewanie; brzmienie jego fałszywego imienia przywołało go do rzeczywistości.

Jak mógł się tego dopuścić? Poderwał się jak oparzony.

Usiadł na brzegu łóżka, próbując zebrać rozproszone myśli.

Dotknęła jego ręki.

- Zimno mi. - Uśmiechnęła się do niego sennie, a Yale pomyślał, że nigdy nie widział kobiety piękniejszej od Samanty. W jej włosach tkwiło jeszcze kilka szpilek, podtrzymujących resztki fryzury, podczas gdy luźne kosmyki swobodnie okalały jej twarz. Miała usta nabrzmiałe i czerwone od jego pocałunków. Nagle wszelkie wątpliwości wydały mu się nieważne. Co się stało, to się nie odstanie - pomyślał.

Wyciągnął spod niej kołdrę i przykrył ich oboje. Położył rękę na jej piersi, cudownie pełnej i krągłej. Zapragnął znowu ją ucałować.

- Nie - odpowiedział na zadane przez nią pytanie. - Nigdy jeszcze tak nie było.

Westchnęła z satysfakcją i przytuliła twarz do jego ramienia.

- A zawsze tak będzie?

- Następnym razem będzie nawet lepiej - obiecał, przytulając ją mocno.

Pocałowała go w ramię.

- Pachniesz jesienią, świeżym wiatrem i liśćmi. podoba mi się ten zapach.

Czuł się mile polechtany.

- A ty pachniesz wiosną, rozkwitającymi pąkami i czystym błękitnym niebem. - Nigdy nie umiał się poetycko wysławiać, ale widocznie Samanta Northrup działała na niego inspirująco.

Objęła go za szyję, przywierając do niego całym ciałem.

- A kiedy możemy to powtórzyć? - wymruczała mu do ucha.

Yale uśmiechnął się wyrozumiale.

- Sam, musisz trochę odczekać ...

Urwał, bo zaczęła delikatnie pieścić wrażliwą skórę na jego szyi i poczuł, że wzbierają w nim męskie moce. Musiał jednak pamiętać o niej.

- Lepiej ... och, lepiej, żebyśmy poczekali. - Tylko że jego ciało wcale nie miało ochoty czekać. Był twardy jak żelazna włócznia. I co gorsza, ona o

tym wiedziała.

Dotknęła nosem czubka jego nosa, wyginając usta w swawolnym uśmiechu.

- Musimy?

- Sam, tak będzie dla ciebie najlepiej.

Wsunęła rękę pomiędzy ich ciała i ostrożnie pogładziła jego nabrzmiałą męskość.

- To zdumiewające. Nigdy bym nie pomyślała. Wiedziałam, że ludzie lubią to robić, ale teraz już wiem dlaczego.

Chwycił jej dłoń, nim zdążyła rozpocząć dokładniejsze badania.

- To dla ciebie za wcześnie.

Gdy próbowała wyrwać rękę, otarli się o siebie udami.

- Ale Marvinie, ja chcę. - Przywarła do niego. - Czuję tam w środku pragnienie.

On także jej pragnął.

- Nie chcę ci sprawić bólu.

- A tobie to sprawia ból? - Jej szeroko otwarte oczy zdradzały zdziwienie.

- Nie, mnie to wcale nie boli.

- Więc nie sędzę, żeby mnie miało boleć - uznała i pocałowała go namiętnie.

Wiedział, że nie powinni tego robić. Chciał ją od siebie odsunąć, ale wywinęła się i jego dłoń trafiła na jej sutek ... i nie było już mowy o dalszym oporze.

Ostatecznie, jaki mężczyzna byłby w stanie odmówić tak słodkiej zachęce ... zwłaszcza gdy był w pełnej gotowości, by na nią odpowiedzieć?

Układając się na zonie, Yale pomyślał, że być może małżeństwo wcale nie jest takim złym wynalazkiem.

- Wydaje mi się, że imię Marvin do ciebie nie pasuje - powiedziała Samanta. Leżała na plecach, z głową opartą na jego płaskim brzuchu. Był późny wieczór, a ona czuła się zaspokojona i szczęśliwa. Była naga i wydawało jej się, że już nigdy nie nałoży ubrania.

Poci mieli rację! Warto było umierać za miłość. Kochali się tego popołudnia trzykrotnie. Wiedziała, co oznacza rozkosz. Czuła ją, kiedy jej ciało było połączone w jedność z ciałem męża.

Dłoń, którą bezwiednie gładził ją po ramieniu, nagle znieruchomiła.

- Dlaczego to powiedziałaś? - spytał.

Przewróciła się na brzuch i uniosła głowę, żeby mu spojrzeć w oczy.

- Bo nie pasuje. - Przerzuciła włosy na plecy.

Zmarszczył czoło, po czym, ku jej zdumieniu, nagle poderwał się z łóżka. Podniósł spodnie z podłogi i zaczął je wciągać.



- Marvin, czy coś się stało?

Przez moment sądziła, że jej nie odpowie, ale uśmiechnął się, choć z wyraźnym przymusem.

- Jestem głodny. A ty nie?

Nie czekając na jej odpowiedź, otworzył drzwi i zawołał na gospodarza, by przyniósł im kolację. Samanta ukryła się pod kołdrą, naciągając ją aż po czubek nosa.

- Co ty robisz?

- Przecież musimy jeść, prawda? - Oparł się o framugę.

Zmarszczyła brwi, zgorzozona jego nonszalancją.

- Nie chcę, żeby wiedzieli, co robiliśmy. Odślonił zęby w uśmiechu.

- Przypuszczam, że się domyślają.

- Nie! To niemożliwe - szepnęła z przest్రachem.

Przybrał poważną minę.

- Żałujesz czegoś? Zaskoczył ją tym pytaniem. - Nie, niczego nie żałuję.

Przerwali rozmowę, słysząc kroki pokojówki wchodzącej po schodach. Po chwili stanęła w korytarzu z tacą wyładowaną jedzeniem i napojami pozostałymi z weselnej uczty.

Samanta naciągnęła kołdrę na głowę. Wprawdzie rzeczywiście niczego nie żałowała, ale z zakłopotania była czerwona jak burak.

- Myśleliśmy, że pan już nigdy nie zawoła - powiedziała dziewczyna wchodząc do pokoju. - Gdyby pan zwlekał jeszcze trochę, przyszedłbym tu na górę i zapukała do drzwi. Pan Sadler powiedział, że mogę iść do domu, jak już państwu podam kolację. On i reszta gości poszli już spać albo są u kowala i zakładają się, kto potrafi jednym uderzeniem wbić w ziemię żelazny kołek.

- Jak myślisz, Emmo, kto wygra? - spytał Marvin, zaskakując Samantę tym, że zna imię pokojówki.

- Trudno powiedzieć - parsknęła służąca. - Wszyscy są kompletnie pijani. Dziedzic Biggers upił się najbardziej, ale jego bratanek, nowy pastor, odwiózł go wraz z żoną do domu. - Dziękuję, Emmo, że czekałaś z naszą kolacją. - Dał jej monetę, którą wyjął z kieszeni.

Dziewczyna nagryzła ją, żeby sprawdzić, czy jest prawdziwa. - Jest pan dżentelmenem, sir - powiedziała z uśmiechem. - Proszę mnie zawołać rano, jak pan będzie chciał śniadanie. Przyniosę państwu. - Stojąc na Wprost Marvina, dodała ściszym głosem. - I proszę pamiętać, że pan Sadler będzie chciał, żebyście się oboje wynieśli zaraz z rana.

- Rano już nas tu nie będzie - zapewnił ją Marvin. - I jeszcze jedno: zapisz to wszystko na rachunek dziedzica Biggersa. Jest nam winien ślubny prezent, czyż nie?

Emma zachichotała, całkiem rozbrojona.

- Właśnie, ma pan rację. A jeśli uda się panu zmusić go do zapłacenia, będę pana szczerze podziwiał.

Roześmieli się zgodnie, jak starzy znajomi, po czym Emma opuściła sypialnię.

Samanta odczekała, aż Marvin zamknie za pokojówką drzwi.

- Skąd wiesz, jak ma na imię?

Marvin podszedł do tacy z jedzeniem.

- Dowiedziałem się, kiedy mieszkałem tu poprzednio. To ona przyniosła mi pierwszą butelkę brandy. - Oderwał udko piezzonego koguta i podał Samancie. Kiedy odmówiła, kręcąc głową, sam wziął się do jedzenia.

Siedząc w łóżku, z kołdrą podciągniętą pod brodę, Samanta skubała narzutę, próbując nie dać po sobie poznać zazdrości... bo była zazdrosna o poufałość, jaką Emma okazywała jej mężowi. Dziewczyna nie dopuściła się wprawdzie niczego zdrożnego, ale Samanta była zaborcza wobec Marvina. Nie podobało jej się, że sobie dowcipkowali, choć żarty były całkiem niewinne.

- Sam?

Nie odpowiedziała, zbyt skupiona na nurtujących ją uczuciach.

Łóżko aż się zachybotało, kiedy wskoczył na nie i położył się obok Samanty. Posłał jej trochę niemądry, nieświadomie zalotny uśmiech, od którego rozwiały się chmury zbierające się w jej sercu.

Marvin był przystojnym mężczyzną, ale podobała jej się w nim nie tylko surowa męska uroda. Nie, najbardziej pociągał ją jego trudny do określenia, szczególnie urok. Nie bez znaczenia był też fakt, że tak wiele dla niej zrobił. Dzięki niemu czuła się spełniona.

Ostatnia myśl była zaskakująca, ale wyrażała prawdę. Przez całe życie czekała, by w jej życiu coś się zmieniło i wreszcie to się stało.

- Masz ochotę na szklanekę piwa?

Potrząsnęła głową przecząco. Nachylił się bliżej.

- Sam, czemu jesteś taka poważna? - Wsunął palec pod kołdrę, którą była szczelnie okryta, i próbował ją połaskotać.

Było to zaproszenie ... a ona chciała je przyjąć. Pragnęła go bardziej niż jedzenia i picia. Bardziej niż czegokolwiek na świecie. Chwyliła jego wędrującą pod kołdrą rękę i zacisnęła na niej palce. Miał takie mocne, zręczne dłonie. Na jednej z kostek widać było niewielką białą bliznę. Dotknęła jej ostrożnie.

- Czy to pamiątka po walce z piratami? Spojrzał na nią zaskoczony.

- Walce z piratami? - powtórzył ostrożnie. Uśmiechnęła się czule i wyjaśniła:

- Leżąc w gorączce, wyobrażałem sobie, że wraz ze swoim przyjacielem Billym walczysz z piratami. Rzeczywiście tak było? Walczyłeś?

Na moment odwrócił wzrok.

- Mówiłem coś jeszcze, majacząc w gorączce?

Pokręciła głową.

- Mówiłeś w kilku językach, ale ich nie rozumiałam. - Czekala z nadzieją, że dowie się czegoś więcej o piratach. Nie odzywał się, więc ponagliła go łagodnie:

- Kto to był Billy?

- Pewien mój znajomy.

- Gdzie mieszka?

- Nigdzie. Został zabity u wybrzeży Afryki. Był młody i głupi. - Wykrzywił usta w niewesołym uśmiechu. - Zdawało mu się, że umie władać szpadą. Okazało się, że to nieprawda. Był moim jedynym prawdziwym przyjacielem - dodał po dłuższej chwili zastanowienia.

Wyznanie mocno ją poruszyło. Zaczęła się zastanawiać, czy sama miała kiedyś prawdziwą przyjaciółkę. Bo teraz miała Marvinę.

Próbował uwolnić rękę z uścisku, ale go nie puściła.

- Chcę, żebyś wiedział, że ... zaczynam cię bardzo lubić - powiedziała, patrząc mu w oczy.

- I ja cię lubię - zapewnił z uśmiechem.

Samanta z trudem przełknęła ślinę, przestraszona tym, co miała zamiar mu powiedzieć. Zauważyła, że jego oczy wcale nie są czarne. Z bliska widziała w nich brązowe plamki, układające się w skomplikowany wzór. Tak skomplikowany, jak człowiek, którego miała obok siebie.

- To może być nawet coś więcej, Marvinie. Wydaje mi się możliwe ... - Zawiesiła głos. - Możliwe, że zaczynam cię kochać.

Natychmiast pożałowała, że nie może cofnąć tych słów. Ale nie mogła ... bo mówiła prawdę. Najszczerzą prawdę.

Patrzył na nią, jakby jej nie dosłyszał, a ona siedziała jak sparaliżowana, wyczekując, ściskając jego dłoń, jakby już nigdy nie zamierzała jej puścić.

Wolną ręką przeczesał włosy, odgarniając je z czoła.

- Potrzebujesz fryzjera - powiedziała Samanta, żeby przerwać nagle zapadłe milczenie.

- Nie możesz mnie pokochać, Sam - powiedział spokojnie, niemal smutno.

Miała ochotę równocześnie śmiać się i płakać.

- Już cię kocham.

Parsknął nienaturalnym, nerwowym śmiechem.

- Nie znasz mnie. Gdybyś mnie znała, nigdy byś nie powiedziała czegoś takiego.

- Nie muszę cię znać. Wystarczy, że wiem, co czuję. Tutaj. - Dotknęła

piersi w miejscu, gdzie było serce.

Potrząsała głową, jakby chciał zaprzeczyć jej słowom.

- Jestem samolubnym, bezwartościowym człowiekiem. Nie jestem godzien twojej miłości. Ani nikogo innego.

Głęboko wierzył w to, co mówił. Słyszała bolesną pewność w jego głosie i wezbrał w niej gwałtowny sprzeciw.

- Nie, to nieprawda. Jesteś dobrym człowiekiem. Nie musiałeś się ze mną żenić. Mogłeś po prostu wyjechać, nie przejmując się, co się ze mną stanie tu, w Sproule, ale tego nie zrobiłeś. - Sam, uratowałaś mi życie! Czego się po mnie spodziewałaś?

Uniosła się, klękając na łóżku, nieświadoma swojej nagości.

Włosy spływały jej luźno na ramiona.

- Nie! To nie tylko to. Nie wiem, czy wierzę w przeznaczenie, ale wiem, że moje życie zaczęło się zmieniać od chwili, gdy spotkaliśmy się na cmentarzu.

Wstał, wrywając dłoń z jej uścisku.

- Sam, nie jestem tym, za kogo mnie uważasz. Nie możesz mnie kochać.

- Już cię pokochałam - odparła bezradnie. Nie odezwał się, więc mówiła dalej: - Wiem, że mogłeś popełnić jakieś straszne rzeczy, ale to było w przeszłości. Mamy przed sobą przyszłość. Zaufaj mi. Zaufaj mi, tak jak ja ci zaufałam.

Patrzył na nią nieruchomym wzrokiem, jakby nagle skamieniał. Samanta siłą woli próbowała go zmusić, by usłuchał jej prośby, ale niecierpliwość nie pozwoliła jej długo zachować milczenia.

- Co robiłeś na cmentarzu tamtej nocy? - spytała. - Czego szukałeś w grobowcu? Odpowiedz mi, proszę, na te pytania.

Kąciaki ust opadły mu w grymasie rezygnacji.

- Nie mogłabyś sama stąd wyjechać? Nie wystarczy to, co ze sobą przeżyliśmy?

- Nie. Już nie.

- Sam, nie chcę o tym mówić.

Poczuła nieznośny ucisk w żołądku. Przepraszająco wzruszyła ramionami, żałując, że dotknęła niebezpiecznego tematu.

- Ale już zaczęliśmy o tym mówić - zauważyła cicho.

- Zatem skończmy. Natychmiast.

Położyła rękę na ciepłej skórze jego piersi; czuła bicie serca pod otwartą dłoń.

- Chyba nie jesteś poszukiwany przez władze albo poborcę podatkowego? Nie popełniłeś żadnego przestępstwa?

Zaśmiał się gorzko, odrzucając głowę do tyłu.

- Nie, na niczym mnie nie przyłapano.
- Więc o co chodzi? - naciskała. - Powiedz mi.
- Och, Sam, zostawmy to - poprosił tonem pełnym udręki.

Ujął jej rękę, ucałował koniuszki palców, a potem przesunął ustami po wnętrzu dłoni. Przyciągnął ją do siebie, kładąc ręce na jej pośladkach. Przez miękką tkaninę spodni wyczuła, że jest gotowy do zbliżenia.

Prowadząc jej dłoń, pomógł jej rozpiąć pierwszy guzik.

Samanta wiedziała, że pragnął, by go dotykała. Nie mogła jednak oderwać myśli od ich nie dokończonej rozmowy.

- Marvinie ... zaufaj mi - szepnęła z wahaniem.

Delikatnie ujął w dłonie jej głowę i patrząc jej głęboko w oczy, powtórzył szeptem:

- Zostawmy to. - I zamknął jej usta pocałunkiem. Ponieważ znał jej ciało lepiej niż ona sama, ponieważ działał na nią jak narkotyk, ponieważ go kochała ... zrobiła to, czego żądał.

Kochali się, lecz tym razem było inaczej. W jedyny sposób, na jaki jej pozwalał - mową ciała - próbowała mu pokazać siłę swojej miłości. „Zawsze będę twoja. Będę cię szanować.

Będę cię kochać”.

Może nie odwzajemniał jej uczuć, ale pewnego dnia to się mogło zmienić. Była tego pewna. Dziedzic Biggers powiedział, że Marvin jest jej przeznaczeniem. I ona w to wierzyła. A jeśli jedyną drogą, na której mogli się spotkać, była namiętność, musiała się z tym pogodzić.

Był jej białym rycerzem. Wybawcą, który uratował ją od smutnego, sierociego losu. Jej ukochanym mężczyzną.

Późną nocą Yale siedział oparty o wezglowie łóżka; Samanta spała w jego ramionach, jednak kłębiące się w głowie myśli nie pozwalały mu na sen.

Znalazł się w piekielnej pułapce. Dlaczego nie wyjawił jej swego prawdziwego imienia, kiedy błagała go o szczerłość?

Ponieważ bał się, co Samanta powie, dowiedziawszy się, że ich małżeństwo jest oszustwem. Na kościelnym akcie widniało nazwisko Marvin Browne, nie Yale Carderock. Ponieważ nie chciał zobaczyć rozczarowania w jej ufnych oczach. Teraz był dla niej bohaterem ... i, do licha, bardzo mu się to podobało.

Zgodził się na to małżeństwo, powodowany słusznym gniewem. Mieszkańcy wsi nie powinni byli traktować Samantę w taki sposób, odmawiając jej szacunku i prawa do decydowania o sobie. Poza tym miał zamiar dotrzymać tej części ślubnej przysięgi, która mówiła o wsparciu w potrzebie.

Jednak ponieważ nie był w stanie trzymać się od niej z daleka - i ani przez chwilę tego nie żałował - plan, by kupić jej dom i zabezpieczyć

finansowo, a potem zniknąć z jej życia, nie miał szans powodzenia.

Pochylił się i ucałował czubek jej głowy. Pachniała lasem, świeżym powietrzem i ich fizyczną miłością. Jego droga, najmilsza Sam. Po co mu wyznała, że go kocha?

Przez moment rozważał myśl zabrania jej ze sobą na Cejlon, ale zaraz odrzucił ten pomysł. Nie zasługiwał na jej uczucie ani też go nie potrzebował, co wciąż powtarzał sobie w duchu. Zresztą, cóż wiedzieli o sobie nawzajem? Nie był naiwnym, kochliwym młokosem, który wierzy, że fizyczna namiętność może trwać całe życie. Był jej pierwszym mężczyzną. To normalne, że wierzy, iż się w nim zakochała. Ale wcześniej czy później nieuchronnie znudzą się sobą. Zawsze przecież tak było. Miał w życiu wiele kochanek i wszystkie jego związki kończyły się tak samo.

Kiedys też był taki jak Sam i wierzył, że miłość jest bardzo ważna. Tak było, nim poznał Sally, lady Garrett. Szybko nauczyła go, że liczą się przede wszystkim pieniądze i władza. Miłość była jedynie środkiem do osiągnięcia celu.

Okazał się żalonym głupcem. Jeszcze teraz był w stanie przywołać w pamięci twarz Sally. Złociste włosy, roześmiane zielone oczy ... najpiękniejsza kobieta w Londynie. Okazało się, że nie łączyła ich miłość. Porzuciła go natychmiast, gdy został wydziedziczony. To była tylko żądza.

- Taka sama jak ta, która łączy nas - szepnął do śpiącej Samanty.

Tylko że Sam nie była taka jak lady Garret. Była dziewczyną ze wsi, córką pastora, trzeźwo patrzącą na świat, który widziała w czarno - białych barwach. Różne odcienie szarości nie pojawiały się w jej bezpiecznym zakątku świata ... przynajmniej dotąd.

Nie chciał być tym, który je do tego świata wprowadzi.

Przyznanie, że poślubił ją pod fałszywym nazwiskiem, zniweczy zaufanie, jakie w nim pokładała. Yale odkrył, że nie potrafi wyznać prawdy.

Jego statek czekał w porcie, a firma armatorska wymagała doglądania. Każdy dzień oznaczał możliwości pomnażania majątku ... a on marnował cenny czas w małej wiosce Sproule.

W pewnym momencie miał złudzenie, że słyszy surowy głos ojca. Co by powiedział stary książę na ten ostatni kłopot, w który wdał się jego niepoprawny syn?

A gdyby tak nie wyjawiał Sam swego prawdziwego nazwiska?

Gdyby utrzymał obecną fikcję?

To rozwiązanie miało swoje dobre strony. Zmienił pozycję na wygodniejszą, nie wypuszczając z objęć śpiącej Samanty. Mógłby umieścić Sam, tak jak wcześniej planował, w niewielkim domu, który sama by sobie wybrała. Mogłaby nadal pozostać panią Browne, a on mógłby odwiedzać ją raz lub dwa razy w roku, odgrywając rolę pana Browne'a.

Wiele par układało sobie życie w ten sposób, więc dlaczego w ich przypadku miałyby się to nie udać? Pozostawało mu tylko wymyślić jakąś przekonywającą historię ...

- Jesteś marynarzem? - zdziwiła się Samanta.

Siedzieli naprzeciw siebie przy stole, w odległym kącie jadalni Pod Niedźwiedziem i Bykiem. Marvin uparł się, że zejda na dół i dołączy do innych przy śniadaniu. Państwo Sadler powitali nowożeńców z jowialną serdecznością.

Samanta miała na sobie swoją starą brązową sukienkę.

W porównaniu z piękną suknią ślubną, która wisiała teraz w pokoju na górze, dawny strój wydawał jej się jeszcze bardziej żałośnie skromny. Była równocześnie podniecona i trochę niespokojna; nadszedł czas na rozpoczęcie normalnego małżeńskiego życia u boku Marvina.

Odczekał, aż Emma ustawi przed nimi talerze z posiłkiem oraz kufle piwa i dopiero gdy odeszła, powiedział Samancie, jak zarabia na życie.

- A co z dziedzicem? - spytała. - Powiedziałeś mu wczoraj, że będziesz pracował w jego stajniach.

- Musiałem mu coś powiedzieć, żeby uniknąć kłopotów. Ale mam morze we krwi - powiedział Marvin z żalem, pociągając łyk piwa. Otarł usta wierzchem dłoni. - Rozumiesz to, prawda?

Samanta przeciągnęła palcem wzdłuż pęknięcia w drewnianym stole.

- Chyba tak. Tylko ... jakoś nie mogłam sobie ciebie wyobrazić z warkoczykiem.

Wybuchnął śmiechem. Był w doskonałym humorze od chwili gdy obudził ją śmiałymi pieszczotami, które zakończyły się pełnym miłosnym aktem. Musiała przyznać, że jej mąż uwielbiał miłosne rozkosze. A ona ... doskonale do niego pasowała pod tym względem.

- Jest wielu marynarzy, którzy nie noszą warkoczyka - zapewnił.

- Jeszcze takiego nie widziałam. Poza tym, dobrze się ubierasz. Za dobrze jak na marynarza.

- To nie są moje ubrania, zapomniałaś?

Samanta uśmiechnęła się do niego, jakby sobie z niej żartował.

- Oczywiście, ale też pamiętam, co miałeś na sobie, kiedy przyjechałeś do Sproule. Nigdy bym nie pomyślała, że jesteś marynarzem, Marvinie. - Marvin. Przyzwyczaiła się do tego imienia. Było to zupełnie odpowiednie imię dla przyzwoitego, silnego mężczyzny. I uczciwego. Odczuwała dumę, że jest panią Marwinową Browne, przez „e” na końcu.

- Cóż, jednak jestem marynarzem - rzekł stanowczo. Pochylił się nad stołem i sięgnął po jej rękę. Ściszył głos. - Problem polega na tym, że nie mogę cię ze sobą zabrać, Sam. Często jestem na morzu, ale będę wracał do ciebie między wyprawami.

Samanta zachnęła się, zaskoczona.

- Będziesz do mnie wracał?

- Właśnie. Dzisiaj zaczynamy wspólne nowe życie. Na zawsze opuścimy Sproule.

- I dokąd się udamy? - spytała ostrożnie.

- Dokąd zechcesz. Możesz zamieszkać w Northumberland, najlepiej blisko morza, albo nawet pojechać do Londynu, jeśli zechcesz.

Samanta przyglądała mu się uważnie. Uśmiechał się ... ale coś chyba było nie w porządku. Cofnęła ręce, splatając je przed sobą na stole, żeby nie widział, jak drżą. Odruchowo pogłodziła kciukiem obrączkę.

- Jak często będę cię widywać?

- Ilekroć mój statek zawinie do portu. Ale nie będziesz musiała się niczym martwić. Jestem bogaty. Dobrze się tobą zaopiekuję. Możemy wynająć dla ciebie kogoś do towarzystwa, żebyś nie czuła się samotna.

Jej uśmiech wyglądał jak przyklejony do twarzy.

- Jeszcze nie słyszałam o marynarzu, który byłby bogaty powiedziała i zamilkła, czekając, co na to odpowie.

Za wszelką cenę starała się zachować spokój. Gdyby nie obserwowała go tak uważnie, mogłaby przeoczyć moment wahania i ledwie widoczny błysk rozdrażnienia w jego oczach.

- Och, Sam - zaczął niskim, ciepłym głosem. - Tak będzie najlepiej, wierz mi. Gdybym cały czas był przy tobie, wcześniej czy później byś się mną znudziła. A tak, będziesz szczęśliwa, kiedy przyjadę.

To nie słowa ją raniły, lecz niedbały ton, jakim zostały wypowiedziane.

- Byłabym szczęśliwsza żyjąc z tobą na co dzień.

- Tak. Ale to niemożliwe.

Samanta odetchnęła głęboko i wbiła wzrok w mięso stygnące na talerzu.

- Dzisiejszej nocy mówiłam prawdę o tym, że cię kocham. Wiem, że ty mnie nie kochasz ... ale powinieneś mi dać szansę. Spojrzała na niego błagalnie. - Z pewnością istnieją statki, które zabierają na pokład kobiety.

Rysy mu stężały.

- To nie jest życie odpowiednie dla damy. Nie naraziłbym cię na coś takiego.

- A gdybym sama chciała ...

- Nie.

Ton, jakim powiedział ostatnie słowo, zniweczył wszelkie nadzieje. Jedyne, co jej pozostało, to starać się jakoś zachować twarz. Wzięła do ręki widelec i zaczęła bez przekonania grzebać w talerzu. Łzy piekły ją pod powiekami, ale starała się powstrzymać je za wszelką cenę. Nie byłby zadowolony, gdyby urządziła mu scenę.



- Będę za tobą tęsknić - powiedziała w końcu.

Obszedł stół dookoła, żeby usiąść obok niej i objąć ją ramieniem.

- Sam, nie bądź taka ponura. Nie opuszczę cię tak od razu. Najpierw musimy znaleźć dla ciebie jakiś dom, więc spędzimy razem jeszcze trochę czasu. - Czują powiew jego oddechu na policzku. - Oderwanie się od ciebie może mi zająć całe tygodnie.

W jego ustach „tygodnie” brzmiały tak, jakby trwały lata, podczas gdy jej wydawały się krótkimi minutami, po upływie których on wyjedzie ... zostawiając ją samą.

- Sam?

Odłożyła widelec, opuszczając wzrok na ręce złożone na kolanach.

- Tej nocy śniłam, że mamy ze sobą dziecko.

Zdjął rękę z jej ramienia.

- Dziecko? - powtórzył beznamyślnie, jakby to słowo było mu zupełnie obce.

- Cóż, wszystko jest możliwe, zważywszy na to, co robiliśmy od wczorajszego popołudnia.

Nie odezwał się.

Poczuła gorący rumieniec na policzkach.

- Nie miałam czasu, żeby o tym pomyśleć, ale kiedy się obudziłam z tego snu ... i byłeś tak blisko ... zdałam sobie sprawę, że pragnę mieć z tobą dziecko. - Ich spojrzenia wreszcie się spotkały. - Ale jeśli ty będziesz na morzu, nasz syn będzie dorastał prawie nie znając swego ojca. Będzie miał samotne dzieciństwo.

- Syn? - wydusił z widocznym wysiłkiem.

- Tak, syn. W moim śnie dziecko było chłopcem. - Każdy mężczyzna pragnie mieć syna, czyż nie? Poza tym dziecko to jedyny sposób, żeby zatrzymać przy sobie Marviną.

Nie doczekała się jednak odpowiedzi, bo nagle przy wejściu powstało wielkie zamieszanie. Obcasy ciężkich butów załomotały o podłogę gospody Pod Niedźwiedziem i Bykiem. Przez uchylone drzwi Samanta dojrzała służących w liberii koloru czerwonego wina, dobrze jej znanego. Jeden z ludzi nosił śnieżnobiałą perukę.

Nachyliła się do męża.

- poznaję tego człowieka w peruce. To Fenley, kamerdyner księcia Ayleborough.

- Ayleborough - powtórzył Marvin. Wolno podniósł się od stołu.

John Sadler wyszedł do holu na pierwszą wzmiankę o zbliżających się gościach. Teraz usłyszeli go, gdy mówił:

- Wasza Łaskawość, to doprawdy wielki zaszczyt, że zechciałeś wstąpić w moje niskie progi.

A więc sam książę zawitał do Sproule! Cóż za niespodzianka!

Samanta także wstała, jak wszyscy pozostali w jadalni.

- To takie ekscytujące - szepnęła do męża. - Nowy książę rzadko zagląda do swego rodzinnego gniazda, a w Sproule nie był od czasu pogrzebu ojca.

- Ekscytujące - powtórzył Marvin, choć wcale nie sprawiał wrażenia podekscytowanego.

W tym momencie Jego Łaskawość książę Ayleborough pojawił się w drzwiach. Był łysiejącym mężczyzną średniego wzrostu, z wydatnym nosem. Dziedzic Biggers szedł tuż za księciem, trzymając się tak blisko, że mało na niego nie wpadł, kiedy książę zatrzymał się przy właścicielu gospody.

- Przejeżdżając tędy w pilnych interesach, wstąpiłem do zacnego dziedzica, ponieważ doszły mnie słuchy o wczorajszym ślubie w Sproule. Mój kamerdyner powiadomił mnie, że jakiś Marvin Browne, przez „e” na końcu, poślubił córkę zmarłego pastora. Czy to prawda?

Wszyscy odwrócili głowy w stronę Samanty i Marvina. John Sadler poważnie pokiwał głową, mówiąc:

- Tak, Wasza Łaskawość, to prawda.

Samanta szarpnęła męża za rękaw.

- Czy książę cię zna?

Marvin nie odpowiedział.

- To zdumiewające - rzekł książę Ayleborough. - Marvin Browne był moim nauczycielem. Bardzo go lubiłem.

Znów była mowa o jakimś nauczycielu. Coś tu się nie zgadzało.

Samanta spojrzała pytająco na Marvina, ale on wcale nie zwracał na nią uwagi. Nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w księcia.

- Pamiętam, że córka pastora była młodą kobietą. Czyżbym się mylił? - zastanawiał się głośno książę. - Pan Browne musiałby mieć dzisiaj mocno po osiemdziesiątce. To był doprawdy zacny człowiek. Sądziłem, że zmarł przed laty, ale widać byłem w błędzie. - Zaczął ściągać rękawiczki. - Gdzie on jest? Chciałbym się z nim zobaczyć.

John Sadler rzucił dziedzicowi Biggersowi spłoszone spojrzenie, na które ten odpowiedział obojętnym wzruszeniem ramion.

- Jest tu, na tej sali, Wasza Łaskawość - powiedział Sadler, po czym dyskretnie się wycofał.

- Na tej sali? - zdziwił się książę, rozglądając się za znajomym staruszkiem.

Wszyscy, poza księciem, wpatrywali się w Samantę i jej męża. W końcu i on na nich spojrzał i zastygł z otwartymi ustami, wstrzymując oddech.

Samanta chciała do niego podejść, bojąc się, że dostał ataku apopleksji, ale Marvin złapał ją za ramię i powstrzymał. Łagodnym, lecz zdecydowanym

ruchem przyciągnął ją do swego boku.

- To niemożliwe - wydukał z trudem książę• - To być nie może.

Mąż Samanty westchnął, prostując się dumnie.

- Ale jest. To ja, bracie.

- Myśleliśmy, że nie żyjesz - powiedział Ayleborough, wciąż nie do końca wierząc własnym oczom.

Marvin uniósł otwarte dłonie jak magik, pokazujący, że nie oszukuje.

- Żyję.

## 8

Samanta spojrzała na męża ze zdumieniem. Książę był jego bratem? Ale przecież spadkobiercy tytułu księcia Ayleborough nie nosili nazwiska Browne. Nie mogła zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Spodziewała się, że książę zaprzeczy pokrewieństwu, ale kiedy już otrząsnął się z szoku, rzekł tylko suchym, uprzejmym tonem:

- Sądzę, że powinniśmy dokończyć tę rozmowę na osobności.

- Jak sobie życzysz - zgodził się Marvin, podejmując oficjalny ton. Można by pomyśleć, że zwraca się do zupełnie obcej osoby.

- Fenley - zawołał książę do kamerdynera w peruce. Zorganizuj nam jakiś pokój.

Fenley natychmiast odciągnął Sadlera na bok i razem wyszli do holu. Marvin pochylił się do Samanty.

- Muszę porozmawiać z bratem. To nam zajmie tylko kilka minut. Chcesz tu zostać i dokończyć śniadanie, czy wolisz pójść na górę do sypialni?

Ledwie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Czy ty przypadkiem nie żartujesz?

- Z tą sypialnią, czy z tym, że książę jest moim bratem? - zapytał bez emocji.

- Z księciem - parsknęła niecierpliwie.

- Nie.

Aż się zachwiała, uświadomiwszy sobie w pełni, co oznacza ta informacja. Rozejrzała się szybko po jadalni. Pani Sadler, dziedzic Biggers, służący księcia ... wszyscy patrzyli na nią, jakby byli świadkami ujawnienia oszustwa.

Tylko Ayleborough i jej mąż nie zwracali uwagi na otoczenie.

Nagle, na ułamek sekundy, jej spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem księcia. Szybko odwróciła głowę.

Marvin musiał zauważyć, co zaszło, bo wziął ją za rękę.

- Wiesz, że zawsze będę się tobą opiekował. Rozumiesz to, prawda?

Popatrzyła na jego posępną twarz, zdjęta jeszcze większym niepokojem niż poprzednio. Stał tak blisko, że widziała wyraźnie tęczęwki jego oczu. Tego ranka dokuczała mu żartem, że ma tak ciemne oczy, bo zapewne ukrywa w sobie czarną duszę. Leżała wówczas na nim, naga, szczęśliwa, zaspokojona. Jej żarty wzbudziły w jego oczach miedziane błyski, więc przyznała, że chyba nie jest z nim tak całkiem źle. Roześmiał się wtedy, przewrócił ją na plecy i zaczął laskotać. Gdy w końcu poprosiła o litość, wziął ją w ramiona i czule pocałował.

Nawet teraz, kiedy siedziała na środku jadalni w gospodzie, gdzie wszyscy na nią patrzyli, marzyła o jego dotyku ... podczas gdy duma i resztki zdrowego rozsądku kazały jej mieć się na baczności.

- Więc jednak nie jesteś marynarzem.

Potrząsał głową.

- Nie tutaj, Sam. Odpowiem na wszystkie twoje pytania, ale nie tutaj. Zbyt wielu ludzi na nas patrzy.

Skinęła głową, nadal nic nie rozumiejąc.

- Nie jesteś Marvinem Browne'em. Nie możesz równocześnie być nim i bratem księcia.

Zacisnął usta w wąską linię, ale nie zaprzeczył jej oskarżeniu. Miała już swoją odpowiedź. Nagle zrozumiała wszystko i przeżyła wstrząs.

Fenley poinformował księcia, że pokój jest gotowy. Ayleborough spojrzął na jej męża.

- Niedługo wrócę, Sam. Wtedy porozmawiamy.

Samanta chciała pójść razem z nim.

- Muszę usłyszeć wszystko - upierała się.

- Lepiej będzie, jeśli zaczekasz - powstrzymał ją stanowczo. Wskazała głową na ciżbę, która się im przypatrywała. - Oszaleję tu. Chcę tam być.

Po krótkim wahaniu zmienił zdanie.

- Więc chodź. - Założył sobie jej rękę pod ramię. Gest wyrażał zażyłość ... ale kiedy szli razem przez salę w stronę wyjścia, czuła się tak, jakby towarzyszyła zupełnie obcemu człowiekowi.

Bała się, że dziwnie miękkie nogi odmówią jej posłuszeństwa.

Zadarła głowę, by uniknąć wścibskich spojrzeń swoich znajomych i sąsiadów.

Pod drzwiami przygotowanego przez Sadlera pokoju jej mąż nagle się zatrzymał.

- Samanto, zaczekaj na mnie w środku. Muszę wcześniej coś załatwić.

Ayleborough już na nich czekał. Zachowanie brata wprowadziło go w irytację.

- Yale, nie możesz teraz zniknąć.

Yale. No tak. Była głupia, skoro tak wiele czasu zajęło jej poskładanie wszystkich części łamigłówki.

- Jesteś tym marnotrawnym synem? Tym, który zginął na morzu?

Skrzywił się na dźwięk słowa „marnotrawny”.

- Wszystko ci wytłumaczę, ale potrzebuję chwili czasu - powiedział i bez dalszych wyjaśnień zostawił ją samą z księciem Ayleborough.

- Proszę wejść - zachęcił uprzejmie księżę - Panna Northrup, córka pastora, jeśli się nie mylę?

Samanta skinęła głową bez słowa.

- Proszę, niech pani usiądzie, moja droga. Mój brat zawsze rządził się własnymi zasadami. - Podprowadził Samantę do jednego z czterech krzeseł ustawionych przed płonąącym kominkiem. Z wdzięcznością skorzystała z zaproszenia. Było jej zimno, bardzo zimno ... ale chłód nie miał nic wspólnego z pogodą i ciepło bijące od ognia nie mogło jej rozgrzać.

- Fenley, przynieś panie Northrup coś do picia - rozkazał ksiączę. Służący natychmiast wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Samanta wreszcie odważyła się spojrzeć księciu w oczy.

- Więc tak naprawdę nie jestem mężatką?

- Mężatką? - Ksiączę miał taką minę, jakby ta wiadomość zaskoczyła go jeszcze bardziej niż fakt, że jego brat żyje.

Splotła ręce na kolanach.

- Tak, Marv ... to znaczy ... - mówiła coraz ciszej, aż w końcu całkiem zamilkła. - Nie wiem, jak mam go nazywać - wyznała bezradnie.

Ksiączę zabębnił palcami o stół.

- Na razie proszę nie używać żadnego imienia, tylko po prostu powiedzieć mi, co się stało.

Samanta spokojnym, ściszym głosem opowiedziała o ślubie. Z całych sił starała się panować nad sobą. W rzeczywistości bała się poddać uczuciom. Bała się prawdy. Skończywszy swoją opowieść, zmusiła się do zadania pytania:

- Czy on jest tym, którego uznano za zmarłego na morzu?

Ksiączę założył ręce za plecy.

- Tak.

Była rada, że znajduje się w pozycji siedzącej, gdyż niechybnie osunęłaby się na ziemię. A więc, nic o tym nie wiedząc, poślubiła Yale'a Carderocka. Marnotrawnego syna ... hulakę ... łajdaka! Tak go nazywała tamtej nocy, kiedy się poznali.

Drzwi otwały się bez uprzedniego pukania. Jej mąż wrócił, starannie zamykając za sobą drzwi. Nie odrywając oczu od własnych dłoni, wsłuchiwała się w jego kroki, kiedy szedł ku niej po lekko skrzypiącej drewnianej podłodze.

W końcu zobaczyła przed sobą jego buty.

- Sam, przykro mi, że dowiedziałas się prawdy w taki sposób.

- To znaczy? - spytała ostrożnie, czekając na dalsze wyjaśnienia ... i bojąc się ich zarazem.

- Nie jestem Marvinem Browne'em.

Więc tak. Przyznał się.

- Przez „e” na końcu - dodała cicho.

Położył jej dłoń na ramieniu, ale nagle jego dotyk wydał jej się nie do zniesienia. Wzbudzał zbyt wiele wspomnień, zbyt wiele pytań.

Strząsnęła jego rękę, poderwała się z krzesła i niemal uciekła pod przeciwległą ścianę pokoju. Chętnie uciekłyby jeszcze dalej, gdyby to było możliwe. Skrzyżowawszy ramiona na piersi, czekała.

Fenley przerwał im, wnosząc na tacy napoje. Zdając sobie sprawę, że jego obecność jest niepożądana, postawił tacę na stole i natychmiast wyszedł z pokoju.

Książę przejął inicjatywę.

- Yale, powiedz nam, co zaszło. Oboje jesteśmy zaszokowani. Wszyscy w Anglii byli przekonani, że od lat nie żyjesz. - Udało mi się przetrwać sztorm - wyjaśnił zwięźle Yale. Nie wiem, jak się dowiedziałeś o mojej śmierci. Pewnie wiesz o niej więcej niż ja sam.

- Dlaczego się z nami nie skontaktowałeś? I dlaczego wróciłeś teraz, po tych wszystkich latach? - dociekał Ayleborough.

Przez moment Samancie wydawało się, że dostrzegła w oczach męża cień żalu, ale jego głos nie zdradzał żadnych emocji.

- Przyjechałem zobaczyć się z ojcem.

- Spóźniłeś się - stwierdził sucho książę.

- Już zdążyłem się tego dowiedzieć - padła równie szorstka odpowiedź.

Po raz pierwszy, widząc tych dwóch stojących obok siebie ludzi, Samanta dostrzegła między nimi niewątpliwe podobieństwo. Wprawdzie Yale był wyższy od brata o dobre cztery cale i miał ciemne włosy i oczy, lecz mieli jednakowo zarysowane podbródki i podobne, wydatne nosy. Co gorsza, obaj potrafili tak samo przewiercać rozmówcę wzrokiem. A w tej chwili patrzyli na siebie w ten właśnie sposób. Upór, pewność siebie, arogancja ... obaj bez wątpienia posiadali te cechy, mówiące o nich więcej niż świadectwo urodzenia.

Wyczuwała także, że są sobie zupełnie obcy. Odchrząknęła i odważyła się spytać:

- Dlaczego nie podałeś mi swego prawdziwego nazwiska?

- Właśnie - poparł ją Ayleborough. - Czemu nie powiedziales jej, kim naprawdę jesteś? Czyżbyś wstydzil się rodzowego nazwiska?

- Niech cię diabli, Wayland. - Samanta usłyszała niski, niebezpiecznie napięty głos swego męża. - To jej winien jestem wyjaśnienie, nie tobie. Ojciec mnie wydziedziczył, czyżbyś o tym zapomniiał?

Niebieskie oczy księcia błysnęły gniewem. Samanta wątpiła, by ktokolwiek śmiał odezwać się do niego w podobny sposób.

- Nie zapomniiałem - odpowiedział ze złością, lecz zaraz rysy mu złagodniały i dodał: - To była ta jedyna rzecz w życiu ojca, której szczerze żałował. Yale, on rozesłał detektywów, żeby cię szukali. Zrozumiał, że popełnił błąd, niemal natychmiast po tym, jak to zrobił. Nie przypuszczał, że sprawy zajdą tak daleko. To wszystko było straszną pomyłką.

- Pomyłką? - Yale potrząsnął głową. - Waylandzie, on dał ogłoszenie do gazety. Wywrócił moje życie do góry nogami. Przyjaciele mnie opuścili i wszystkie drzwi się przede mną zamknęły. Zostawił mnie z niczym. A teraz ty mi mówisz, że to była pomyłka?

- Chciał ci tylko pokazać, że idziesz złą drogą - odpowiedział książę, próbując bronić postawy ojca.

- Cóż, udało mu się - przyznał Yale. - To była gorzka lekcja. Nie życzyłbym jej najgorszemu wrogowi.

Ayleborough niespokojnie poruszył się na krześle.

- Tak. Wiesz, jaki potrafił być nasz ojciec. - I jakby na użytek Samanty, dodał: - Był wymagający wobec swoich synów.

- A ja zupełnie nie spełniałem jego oczekiwań - wtrącił Yale z mocą. - Nie mógł się doczekać, żeby mi dać nauzkę. - Yale, nie o to chodziło. Może gdybyś się lepiej spisywał w szkole ... - zaczął książę, próbując podjąć poprzedni wątek rozmowy.

- Chodziło o coś więcej, Waylandzie, i dobrze o tym wiesz. - Spojrzał na Samantę. - To prawda, że byłem marnym studentem, postrachem dla nauczycieli. Ojciec nienawidził każdej formy niedoskonałości ... zwłaszcza że okaz doskonałości miał w osobie Waylanda.

- Yale, nie byłem ...

- Bzdury, bracie, byłeś ... i jesteś dokładną kopią naszego ojca. Nic nie mógł na to poradzić, że bardziej cenił ciebie.

Książę odwrócił się do kominka i przez chwilę w milczeniu patrzył na płomienie.

- Różnię się od niego pod wieloma względami - powiedział wreszcie ściszym głosem.

- Czyżby? - zakpił Yale, nie okazując zainteresowania. To się dopiero okaże. Jak na razie nie zauważyłem niczego szczególnego.

Samanta westchnęła nerwowo. Nie przypuszczała, że ktoś może mówić takie rzeczy do cieszącego się powszechnym szacunkiem księcia Ayleborough.

Książę najwyraźniej także nie przywykł do takiego traktowania. Zmrużywszy oczy, patrzył na swego brata, jakby oglądał budzącego odrazę robaka.

- Zechciej pamiętać o mojej pozycji. Yale uśmiechnął się cynicznie.

- Nigdy nie pozwolono mi o niej zapomnieć. W końcu to ja byłem tym, który nie zasługiwał, by być synem księcia Ayleborough.

Książę uderzył pięścią w belkę nad kominkiem.

- Do diabła, Yale! Zawsze byłeś głuchy na głos rozsądku. Nie rozumiesz, w jakie kłopoty się wpakowałeś? Jestem jedyną osobą, która może cię z nich wybawić. Kiedy ci wieśniacy zrozumieją, że ożeniłeś się z panną



Northrup pod fałszywym nazwiskiem i zakpiłeś sobie z nich wszystkich, zechcą cię powiesić na najwyższym drzewie w Sproule.

Yale zacisnął dłonie w pięści. Stał wyprężony jak struna, górując wzrostem nad bratem.

- Moje małżeństwo z panną Northrup nie jest żadną kpina. Nie potrzebuję też twojej pomocy. Już by nas tu nie było, gdybyś się nie pojawił.

- Och, wybacz, że pomieszałem ci szyki. - Głos księcia wręcz ociekał ironią. - A tak na marginesie, jakie miałeś wobec niej plany? Może zamierzałeś ją ciągnąć ze sobą po świecie jak wędrowną Cyganke?

- Będzie ze mną - odparł Yale.

- I co będziecie robić? Dokąd się udacie?

- To nie twój interes ... Wasza Łaskawość.

- Ależ mój, jak najbardziej. Jestem głową rodu ...

- Ale ja do niego nie należę. Zostałem wykluczony. Nie chcę niczego od rodziny Ayleboroughów i wolałbym, żeby i ona niczego ode mnie nie chciała!

Przez dłuższą chwilę bracia mierzyli się gniewnym wzrokiem.

Samanta nie wiedziała, co ma myśleć. Nie podobało jej się, że rozmawiają o niej tak, jakby była kawałkiem drewna ... a równocześnie miała świadomość, że jest świadkiem pojedynku tytanów.

Wreszcie księżę walnął pięścią w stół tak mocno, że nieszczęsny mebel aż podskoczył.

- Niech cię diabli, Yale! Potrafisz doprowadzić człowieka do szału. Nigdy nie dawałeś sobie przemówić do rozumu. Jedenaście lat nie wystarczyło, żebyś się choć trochę zmienił! Zaczął przemierzać pokój szybkim, nerwowym krokiem.

Samanta zerknęła ukradkiem na męża. Wybuch księcia nie zrobił na nim żadnego wrażenia.

- Czy w ogóle zamierzałeś kiedyś wyznać mi prawdę? - odezwała się, przerywając nieznośną ciszę.

Obaj mężczyźni spojrzeli na nią równocześnie, jakby dotąd nie pamiętali o jej istnieniu.

Yale zrobił krok w jej stronę.

- Sam ... nie chcę, żebyś sobie myślała nie to, co należy.

- W takim razie, co powinnam myśleć? - spytała .. Po ich krzykach, jej głos wydawał się ledwie słyszalny. - Chcę usłyszeć całą tę historię z twoich ust.

Przez moment bała się, że jej nie odpowie.

- Tamtej nocy, patrząc na własne epitafium w grobowcu, przeżyłem wstrząs - zaczął. - Przyjechałem do Sproule, bo powiedziano mi, że mój ojciec nie żyje. Nie wierzyłem w to. To była dziecinada, wierzyć, że będzie żył

wiecznie, prawda? Jednak Wayland może poświadczyć, że ojciec miał w sobie ten rodzaj charyzmy.

- Mogę zrozumieć, dlaczego z początku posługiwałeś się fałszywym nazwiskiem, ale kiedy już wiedziałeś, że mamy się pobrać, czemu mi nie powiedziałaś, jak się naprawdę nazywałeś?

Skrzywił się drwiąco.

- Po tym, jak mi opowiedziałaś, jakim to byłem rozpustnikiem? Chcesz powiedzieć, że wówczas zmieniłabyś zdanie?

Samanta przypomniała sobie, że mówiła mu o kazaniach swego ojca, w których piętnował niegodziwości rozwiązłego syna, i spłonęła rumieńcem.

- Mimo wszystko miałaś wiele okazji, żeby mi wyjawić swoje prawdziwe nazwisko.

- I to by cię uszczęśliwiło, Sam? Czy to by coś zmieniło, czy może straciłbym resztki twojego zaufania? Nie chciałem zachorować ani nie prosiłem, byś się mną opiekowała. To był przypadek, jeden z okrutnych żartów, jakie płała nam los. Nim się spostrzegłem, było za późno na szczerłość.

- Ożeniłeś się ze mną pod fałszywym nazwiskiem.

- Nie chciałem cię zostawiać na pastwę tych samolubnych wieśniaków. Nie zasługiwałaś na to. Nie zrobiłaś nic złego. - Rzucił bratu przelotne spojrzenie. - I nie chciałem, żeby moja rodzina wiedziała, że tu byłem. Może wszystko byłoby inaczej, gdyby ojciec żył.

- Dlaczego chciałeś spotkać się z ojcem? - spytał księżę, okazując nagle zainteresowanie.

Yale zignorował jego pytanie. Zrobił kolejny krok w stronę Samanty.

- Nie miałem zamiaru cię opuścić, Sam. Zamierzałem się tobą zaopiekować.

Pokiwała smutno głową.

- Mimo to chciałeś mnie zostawić.

- We własnym domu, zabezpieczoną finansowo.

Ale mimo to byłabym samotna, pomyślała.

- Sam? - Zaniepokoił się jej milczeniem.

Samanta odwróciła głowę. Żałowała, że nie może zwinąć się w kłębek i zniknąć.

- Powiedz coś, Sam. Nie zamykaj się przede mną - poprosił Yale, podchodząc do niej jak najbliżej.

Nadal nie odpowiadała; to było zbyt bolesne.

- Wynagrodzę ci to. Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić. Wyciągnął do niej rękę, ale wzdrygnęła się, odsuwając się od niego. Z całych sił powstrzymywała się od płaczu. Postanowiła, że już nigdy nie będzie płakać z jego powodu.

Rozległo się pukanie do drzwi. Yale niemal podbiegł, żeby je otworzyć.

Weszli pastor Newell z dziedzicem Biggersem.

- A wy co tu robicie? - spytał Ayleborough, zirytowany podobnie jak Samanta, że ktoś im przeszkadza.

- Poprosiłem dziedzica, żeby sprowadził pastora - wyjaśnił skwapliwie Yale. - Muszę wziąć powtórny ślub z moją żoną.

Samanta otworzyła usta, lecz nim zdołała wydobyć z siebie głos, Yale zaczął przekonywająco tłumaczyć pastorowi aktualny stan rzeczy. Samanta z osłupieniem słuchała historii o tym, jak się dowiedział, że rodzina uznała go za zmarłego i przyjął fałszywe nazwisko, żeby móc powiadomić krewnych o swym istnieniu, nim dowiedzą się tego z plotek. W jego ustach wszystko to brzmiało całkiem wiarygodnie ... a nawet niewinnie.

- Niestety, zachorowałem. Choroba trochę mnie oszołomiła i pomyślałem, że będzie lepiej, jak zataję swoją prawdziwą tożsamość do czasu spotkania z rodziną. Wiedzieliście, że zostałem wydziedziczony?

Dziedzic Biggers i pastor zgodnie przytaknęli.

- Więc możecie zrozumieć moje obawy - mówił Yale. Jednakże teraz, kiedy już spotkałem się z bratem i dostałem jego błogosławieństwo, mogę się ożenić z panną Northrup pod prawdziwym nazwiskiem. Pastorze, czy zechce pan udzielić nam sakramentu?

- Teraz, panie Browne? To znaczy ... hmm ...

Pastor posłał dziedzicowi zatroskane spojrzenie.

- Chwileczkę! - włączyła się Samanta. Wcale nie miała zamiaru powtórnie wychodzić za tego człowieka, ale nikt nie zwracał na nią uwagi.

- Proszę tytułować mego brata lordem Yale - zaproponował ksiązę donośnie, całkowicie zagłuszając protesty Samanty.

- Nie chcę żadnego tytułu - zachnął się Yale. - Pan Carderock w zupełności wystarczy - zwrócił się do pastora.

- Lordzie Yale - sprostował ksiązę przez zaciśnięte zęby.

- Zostałem wydziedziczony, zapomniałeś?

- Już ci powiedziałem, że to była pomyłka - przypomniał ksiązę, uśmiechając się cierpko.

- Tak czy inaczej ...

- Tak czy inaczej, przywracam ci prawo dziedziczenia.

Yale stanął naprzeciw brata i oświadczył z uporem:

- Ale ja nie chcę.

Ayleborough zmierzył brata pełnym troki spojrzeniem, a potem odwrócił się do przybyłych.

- Zechcą panowie zostawić nas na chwilę? - poprosił uprzejmie.

Nie śmiać mu się przeciwstawić, bez słowa wyszli z pokoju.

Ledwie drzwi się za nimi zamknęły, Ayleborough odwrócił się na pięcie.

- Nie będziesz się publicznie sprzeciwiał księciu Ayleborough.

- Będę robił, co mi się spodoba.

- To są rodzinne sprawy, Yale. Nie rozmawiamy przy obcych o sprawach dotyczących rodziny. Przyjmiesz tytuł. - Wykonał gest, który miał podkreślić wagę zagadnienia. - Nie masz wyboru, bo jesteś ode mnie uzależniony finansowo. J masz na utrzymaniu żonę.

- Zadbam o swoją żonę tak, jak uznam za stosowne, i mam do wyboru wiele możliwości.

Ayleborough wyprostował się, splatając ręce za plecami.

- Została członkiem rodziny i będzie żyć na poziomie odpowiednim dla osoby noszącej nazwisko Carderock.

- Do diabła, Wayland, mówisz zupełnie tak samo jak ojciec!

- A ty jesteś uparty i kapryśny jak twoja matka! - odpalił mu brat.

Głośno wypowiedziane słowa zdawały się wypełniać cały pokój.

Ku zaskoczeniu Samanty, Yale zaniemówił. Krew odpłynęła mu z twarzy. Przypomniała sobie, że bracia mieli inne matki. Matka księcia była ukochaną pierwszą żoną, podczas gdy matka Yale'a, dużo młodsza, przez swą płochość nie zaskarbiła sobie uznania męża.

- Nic od ciebie nie chcę - odezwał się w końcu Yale.

- Skoro tak, to po co tu wróciłeś? - krzyknął Ayleborough, unosząc się gniewem.

Yale podszedł do brata na odległość wyciągniętego ramienia.

- Wróciłem udowodnić ojcu, że nie jestem takim nicponiem, za którego mnie uważał.

Wargi księcia drgnęły w powstrzymany uśmiech.

- Ożeniłeś się pod przybranym nazwiskiem z biedną jak mysz kościelna córką pastora i miałeś zamiar ją porzucić. O, zaiste, to by przekonało ojca.

Yale cofnął się, jakby brat go uderzył. Ayleborough natychmiast zrozumiał swój błąd.

- Nie powinienem był tego mówić. Ale musisz zrozumieć, że tak to właśnie wygląda. Musimy się nią zaopiekować, Yale. Jako rodzina. Bo inaczej jak by to wyglądało?

- Nie wierzysz, że sam potrafię to zrobić?

Księżę ocenił spojrzeniem ubranie brata.

- Sądzę, że będzie lepiej, jeśli ci w tym pomogę. Yale roześmiał się swobodnie.

- Wyciągasz pochopne wnioski. Nie jest ze mną tak źle, jak ci się wydaje. Mam sto tysięcy funtów na swoim koncie i flotyllę statków, które wożą towary pomiędzy Anglią a Dalekim Wschodem. Sam to wszystko zdobyłem. Nie potrzebuję twoich pieniędzy. I nie potrzebuję rodziny.

Jeśli nawet te wiadomości zaskoczyły księcia, nie dał niczego po sobie

poznać.

- Yale, ojciec nie żyje. Nie możesz mu już niczego dowieść rzeź spokojnie.

Yale natychmiast wybuchł gniewem. Jego spojrzenie złagodniało.

- Powinienem być wrócić wcześniej.

- Po co? Żeby mu wypomnieć błędy? - Ayleborough położył młodszemu bratu dłoń na ramieniu. - Yale, będę to powtarzał, dopóki mi nie uwierzysz. Ojciec żałował, że postąpił tak pochopnie. Chciał, żebyś wrócił.

Yale odwrócił się i podszedł do okna. Stał tam przez chwilę, ale Samanta wątpiła, by oglądał wzgórze wznoszące się za gospodą. Pograżył się w rozmyślaniach.

W głębi duszy Samanta pragnęła jakoś go pocieszyć, ale nie pozwoliła sobie na okazanie słabości - przecież odtąd miała nie mieć z tym człowiekiem nic wspólnego.

Natomiast ksiązę podszedł do brata.

- Wróć do rodziny. Weź ze sobą żonę i naprawmy to, co zostało zepsute w przeszłości. Jesteś moim dziedzictwem. I dziedzictwem twoich dzieci.

- Wolałabym, żeby mnie nie włączano do tych planów, Wasza Łaskawość - odezwała się Samanta. - Nie zamierzam wyjeżdżać ze Sproule ani też udawać się dokądkolwiek z tym człowiekiem.

Ksiązę nie zwrócił na nią uwagi, natomiast Yale rzucił jej przez ramię szybkie spojrzenie i polecił:

- Wezwij pastora.

Ayleborough poklepał brata po ramieniu.

- Wiedziałem, że w końcu zmądrzejesz. Witaj z powrotem w domu, bracie.

Yale pokręcił głową.

- Bracie, nie zabijaj jeszcze cielca na ucztę. Robię to tylko dla Sam.

Dla niej? Miała ochotę krzyczeć ze złości na nich obu.

- Nie gódź się z rodziną tylko ze względu na mnie. Nie chcę za ciebie wychodzić - oznajmiła stanowczo. - Nie chciałam za pierwszym razem i nie chcę teraz.

- Sam - zaczął Yale uspokajającym tonem, podchodząc do niej.

Powstrzymała go wyciągnięciem ręki.

- Mam na imię Samanta, ale dla ciebie jestem panną Northrup.

- Dla mnie jesteś moją żoną. .

- Nie wobec prawa!

- Zaraz to naprawimy - zapewnił.

- Nie sądzę - powiedziała, kładąc nacisk na każde kolejne słowo, żeby ją dobrze zrozumiał. - Ja się na to nie zgodzę.

- Nie masz wyboru. - Wzruszył ramionami. - Małżeństwo zostało

skonsumowane. Musimy je uprawomocnić.

Zerknęła na księcia, odruchowo szukając u niego wsparcia, ale udawał, że jest zajęty oglądaniem płomieni w kominku. Wzięła głęboki wdech, uniosła dumnie podbródek i oznajmiła: - Nie, nie „my”.

Ayleborough parsknął śmiechem.

- To doprawdy wspaniale. Mój brat wreszcie znalazł kogoś równie upartego jak on sam.

Yale podszedł do Samanty i chwycił ją za ramię. Nie chciała, żeby był tak blisko, bo to jej przypominało ich najintymniejsze chwile, jego pieszczoty. Oraz to, że ... została wystrychnięta na dudka.

Szarpnęła ramię. Wpuścił je, ale się nie odsunął.

- Sam, musisz za mnie wyjść. Jeśli tego nie zrobisz, nie będzie tu dla ciebie życia. Ci ludzie są zbyt ograniczeni.

Jedynym sposobem, w jaki mogę cię uchronić przed groźbą skandalu, jest małżeństwo. W przeciwnym razie będziesz przez nich wyklęta. Sam to przeżyłem, więc nie pozwolę, żeby przydarzyło się tobie.

Nie była w stanie nic powiedzieć. Miała wrażenie, że jakiś ciężar przygniata jej pierś, uniemożliwiając wypowiedzenie słowa.

Położył dłoń na jej ramieniu; kciukiem dotykał miejsca, między podbródkiem a szyją, gdzie biło tętno.

- Och, Sam, przykro mi, że musisz przez to przechodzić, ale wszystko zmierza ku dobremu. Naprawdę jestem bardzo bogaty. Mogę ci kupić, czego tylko zapragniesz.

- Czego tylko zapragnę? - Omal nie wybuchnęła śmiechem. - Pragnęłabym cofnąć czas i nigdy cię nie spotkać. Nie pozwolę, żebyś mnie upokorzył. Pragnęłabym, żebyś miał dość przyzwoitości, by mi powiedzieć prawdę na samym początku! Czy to jest dla ciebie możliwe?

- Nie.

Próbowała się od niego oddalić, ale chodził za nią krok w krok.

- Co się stało z tą dziewczyną, która powiedziała, że zaczyna się we mnie zakochiwać?

Rzuciła mu wściekłe spojrzenie. Jak mógł wykorzystywać jej wyznanie w takiej sytuacji? Łzy napłynęły jej do oczu, ale powstrzymała je, powtarzając sobie w duchu, że nie jest ich wart.

- To była tylko żądza - zdołała wykrztusić. - Pomyliłam się, biorąc ją za miłość.

Nie był na to przygotowany. Żartobliwe błyski w jego oczach nagle zgasły.

- Sam, nie chciałem cię skrzywdzić.

- Ale też nie chciałeś być wobec mnie uczciwy.

- Dość - powiedział cicho.

A więc to już wszystko - pomyślała ze smutkiem. Skończyło się to, co między nimi istniało. Stała z założonymi rękami, czekając, aż Yale wyjdzie. Nie chciała na niego patrzeć i nie chciała myśleć o swojej przyszłości.

Podszedł do drzwi. Słyszając, że je otwiera, Samanta wstrzymała oddech. Za sekundę miał na zawsze zniknąć z jej życia. - Pastorze, jesteśmy gotowi, może pan zacząć - usłyszała zamiast tego.

- Co? - Samanta odwróciła się gwałtownie.

- Będziemy brać ślub - odpowiedział Yale, nawet na nią nie patrząc.

Do pokoju znów weszli dziedzic Biggers z pastorem Newellem. Samanta zastąpiła im drogę.

- Zechciejcie panowie wyjść - zwróciła się do nich. - Nie będzie żadnego ślubu.

Zdziwieni spojrzeli pytająco na Yale'a.

- Owszem, będzie - rzekł poważnie. - Zrozumcie, panowie, panna Northrup nie wie, co jest dla niej najlepsze, więc razem musimy jej pomóc, bo w przeciwnym razie będzie się upierać przy pozostaniu w Sproule.

- Nie może tu zostać - przestraszył się pastor Newell. Właśnie wprowadziliśmy się do wikarówki i mojej małżonce bardzo się tam podoba. A za parę miesięcy spodziewamy się przyjścia na świat maleństwa - dodał, zwracając się bezpośrednio do Samanty.

- Nie masz się czym martwić - uspokoił bratanka dziedzic Biggers. - Nie wprowadzi się z powrotem do wikarówki.

- Więc zamieszkam z panną Mabel i panną Hattie! - wykrzyknęła Samanta.

Panna Mabel wetknęła głowę przez drzwi.

- Czy ktoś tu mówił o nas? - Weszła do środka, a za nią, nieodłączna panna Hattie, po niej zaś państwo Sedlar i chyba cała reszta wsi.

Samanta zaniemówiła. Powinna była się tego spodziewać.

- Nie wyjdę za ciebie - powiedziała do Yale'a. Nie odezwę się, kiedy trzeba będzie powiedzieć „tak”! Słyszysz? Nie powiem ani słowa!

- Tak, słyszę - odparł - ale ślub i tak się odbędzie. A ci wszyscy zaciłi ludzie będą świadkami.

Samanta słyszała, jak dziedzic przekazuje pani Sadler wiadomości o ostatnich wydarzeniach. Zdziwiła się, że nie zdążył rozpuścić tych informacji, kiedy czekał za drzwiami. Pani Sadler wydała z siebie cichy okrzyk zdumienia, po czym zaczęła szeptać coś do ucha panny Mabel. Wkrótce cała wieś miała się dowiedzieć o upokorzeniu panny Northrup.

Samanta postanowiła, że nauczy się jakoś żyć z tym bolesnym piętnem, ale nie wyjdzie za Yale'a.

Do tłumu dołączył kowal z żoną, zajmując dogodną pozycję na przodzie. Książę Ayleborough kazał Fenleyowi podać wszystkim coś do picia.

- Skoro jest pan krewnym księcia, to musi pan być bardzo bogaty - powiedziała panna Hattie do Yale'a.

- Owszem, bardzo - potwierdził, a ona z zachwytem odwróciła się do siostry.

- Ma pani szczęście - powiedziała do Samanty panna Mabel. - Będzie pani należała do rodziny Carderocków. To takie romantyczne.

- Ten człowiek mnie oszukał - oznajmiła Samanta oschle. Oszukał nas wszystkich. Nie ma w tym nic romantycznego. - Ale chce wszystko naprawić - przypomniała pani Sadler, a pozostałe kobiety skwapliwie pokiwały głowami. Dołączyło do nich nawet kilku mężczyzn.

- Mam jeden warunek, nim udzielię temu małżeństwu mojego błogosławieństwa - odezwał się książę.

Zapadła cisza.

- Jaki to warunek? - spytał Yale.

- Że przyjedziesz do Londynu i zamieszkaasz tam ze swoją żoną, przynajmniej do czasu, aż będzie odpowiednio urządzona. - Zgadza się - rzekł Yale z powagą. - Zrobię to dla Sam. Wśród kobiet zebranych w pokoju rozległ się pomruk aprobaty. Samanta bez słowa odwróciła się do Yale'a plecami.

Emma i Fenley pojawili się obładowani kuflami piwa. Wraz z nimi do pokoju wtoczyło się jeszcze kilku mieszkańców wsi. Zerknąwszy przez ramię, Samanta stwierdziła, że Yale znajduje się w drugim końcu pokoju. Pastor Newell stał zagubiony w tłumie, gdzieś pośrodku.

- Miejmy tę ceremonię już za sobą - zasugerował Ayleborough, biorąc w rękę jeden z kuflów. - Chciałbym już ruszać w drogę do Londynu, na spotkanie z rodziną.

- No właśnie - poparł go dziedzic Biggers. - Zaczynamy, bo inaczej okaże się, że mój bratanek znów nie ma gdzie mieszkać.

Nieśmiały pastor Newell nie potrzebował dalszej zachęty.

Zaczął odczytywać stosowny tekst z modlitewnika.

Samanta stała odwrócona tyłem do wszystkich; nie mogła uwierzyć, że do tego stopnia nie przejmują się jej zdaniem. Tak czy inaczej, nie zamierzała się poddać. Za nic!

Słyszała, jak Yale powtarza słowa przysięgi. W jego głosie było więcej przekonania niż poprzednim razem.

Już zaczynała ją boleć szczęka od zaciskania zębów, które miało powstrzymać płacz. Kiedy Yale z powagą zapewniał, że „nie opuści jej aż do śmierci”, miała ochotę rzucić się na niego jak jakaś grecka harpia.

I wtedy przyszła kolej na nią - teraz ona miała złożyć małżeńską przysięgę.

- Samanto Northrup - zaczął pastor. - Czy bierzesz sobie tego



mężczyznę za męża?

Samanta wpatrywała się w szczelinę w ścianie przed sobą.

Nie miała zamiaru się odezwać.

Panna Mabel szturchnęła ją w bok.

- Masz w tym miejscu powiedzieć „tak”.

Samanta nie zareagowała, natomiast tłum zafalował niespokojnie.

Nagle od drzwi dobiegł przenikliwy głos pani Biggers: - Och, wielkie rzeczy! Ja odpowiem za nią. Tak! Samanta odwróciła się na pięcie.

- Nie!

- Już się zgodziłaś - oświadczyła stanowczo pani Biggers i spojrzała na swego bratanka . . . . . Składała tę przysięgę już wczoraj. Nie ma potrzeby jej powtarzać. Ostatecznie ona wyszła za niego pod swoim nazwiskiem.

- Tak, to prawda - zgodził się z nią pastor Newell, podtrzymując spadające z nosa okulary.

- Właśnie, jaka różnica, czy powiedziała je wczoraj, czy dzisiaj? - włączył się z poirytowany dziedzic. - Idziemy dalej.

Ku przerażeniu Samant y, pastor nie miał zamiaru mu się sprzeciwić.

- I przyrzekasz mu miłość, wierność i uczciwość małżeńską?

Nadal uparcie milczała, więc pani Biggers wraz z innymi kobietami wyręczyły ją, mówiąc chórem:

- Przyrzeka.

- Nie! - zaprotestowała Samanta.

~ Przyrzekasz go szanować i trwać przy nim w zdrowiu i w chorobie?

- Przyrzeka. - Tym razem do chóru dołączyli mężczyźni, więc zabrzmiało to znacznie głośniej.

- Nie! - Samanta tupnęła nogą, tak wściekła, jakby zaraz miała stanąć w płomieniach.

- Dopóki was śmierć nie rozłączy.

- Ślubuje - zapewnili wszyscy zgodnie i radośnie.

Nim Samanta zdążyła po raz kolejny zaprotestować, pastor wymamrotał:

- Zatem ogłaszam was mężem i żoną. - Po czym zamknął modlitewnik i uśmiechnął się promiennie. - Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozłącza.

- Amen - odpowiedział tłum, unosząc w górę kufle, żeby wypić za zdrowie nowożeńców.

Samanta, osłupiała, patrzyła na ludzi, których znała i darzyła zaufaniem przez całe swoje życie. Była dla nich nikim. Wreszcie zrozumiała, co Marvin ... nie, Yale, próbował jej powiedzieć.

Poczuła mrowienie w karku, jakby ktoś ją obserwował.

Odwróciwszy głowę, napotkała spojrzenie Yale'a. Na jego twarzy malowało się współczucie i żal. Wiedziała, o czym w tej chwili myślał.

Odwróciła się do niego plecami.

## 9

Yale obserwował z ironicznym uśmiechem, jak wieśniacy rzucają się, by gratulować Samancie. Pani Biggers powtarzała do znudzenia, jakie to cudowne, że „nasza droga panna Northrup jest teraz spokrewniona z księciem Ayleborough”.

Panna Mabel i panna Hattie szlochały hałaśliwie, podczas gdy pani Porter i pani Sadler przekrzykiwały się, twierdząc, że od razu dostrzegły, że pan Browne ma w sobie coś „szczególnego”.

- Wiedziałam od pierwszej chwili, odkąd go zobaczyłam, że nie jest byle kim - deklarowała pani Sadler.

- Właśnie, ja czułem to samo - poparł ją mąż.

Yale trochę inaczej wspominał ich pierwsze spotkanie.

Kiedy płacił z góry za wynajęty pokój, właściciel gospody, a potem jego żona, zębami sprawdzili monetę, nie krępując się jego obecnością.

Był zadowolony, że zabiera Sam z tego środowiska; wszyscy ci zacni wieśniacy byli hipokrytami. Nie zasługiwali na sąsiedztwo osoby tak dobrej i wielkodusznej jak ona.

Głos Waylanda wzniósł się ponad tłumem.

- Nie chciałbym zepsuć tej wspaniałej uroczystości na cześć mego brata i jego świeżo poślubionej żony, ale musimy ruszać w drogę. Planuję dotrzeć do Londynu we wtorek wieczorem. - We wtorek wieczorem, Wasza Łaskawość? - zdziwił się dziedzic Biggers. - To zawrotne tempo przy obecnej pogodzie.

- Owszem, ale muszę zdążyć - odparł Wayland, wciągając rękawiczki, podczas gdy Fenley układał mu na ramionach ciężką pelerynę z grubym kołnierzem o wymyślnym kroju. Mam własne zaprzęgi, czekające na trasie do Londynu. Obiecałem jaśnie pani, że przyjadę, więc muszę dotrzymać obietnicy. Nie lubię być z dala od rodziny dłużej, niż to absolutnie konieczne. - Posłał bratu znaczący uśmiech, dodając: - Ale dobrze, że zdecydowałem się na tę wycieczkę, prawda?

Yale miał ochotę zaprzeczyć. Gdyby Wayland nie stanął im na drodze, on i Samanta byliby już daleko stąd i wszystko szłoby zgodnie z planem. Obecnie sprawy tak się miały, że będzie szczęśliwy, jeśli Sam da się ugłaskać przed nadejściem wiosny.

Jego odpowiedź nie była jednak potrzebna. Dziedzic Biggers nadskakiwał księciu, zabawiając go rozmową.

- O, tak. Podobno Wasza Łaskawość ma nowego potomka.

Całe lata nie widzieliśmy starszych chłopców. Kiedy pan wróci do

Braehall, proszę ich przywieźć do Sproule!

- Pomyślę o tym - zgodził się Wayland. - Ale jaśni pani nie lubi podróżować, zwłaszcza z tak małymi dziećmi.

- To rzeczywiście uciążliwe - wtrąciła pani Biggers.

Yale skrzywił się z pogardą; nie sądził, by ta kobieta opuściła kiedykolwiek Sproule na odległość dalszą niż pięć mil.

W końcu Wayland skierował się do drzwi, a pani Biggers z mężem i całą resztą poszła jego śladem.

Yale rozejrzał się po pokoju. Wszyscy zapomnieli o Samancie.

Widząc, że Fenley trzyma jej pelerynę, Yale wyciągnął po nią rękę i skinieniem dał znak służącemu, by ich zostawił.

Zostali sami.

Yale zbliżył się do żony, niepewny, jak go przyjmie. Peleryna, którą trzymał w rękach, była przetarta niemal na wylot. Postanowił kupić jej nową, w innym kolorze, już nie czarną. Może czerwoną, uszytą z najdelikatniejszej wełny. Może to ją trochę ułagodzi.

Umieścił pelerynę na jej ramionach. Nie protestowała, ale też nie zaszczyciła go spojrzeniem.

- Musimy jechać - powiedział cicho. - Kazałem Fenleyowi spakować nasze rzeczy.

- Łącznie z rzeczami po mojej matce?

- Tak. - Podał jej ramię, żeby ją zaprowadzić do czekającego już na nich powozu, ale nawet nie drgnęła.

Czekał.

- Według mnie nie jesteśmy małżeństwem - powiedziała, spoglądając na niego wyzywająco. - Niezależnie od tego, co między nami zaszło ostatniej nocy i dziś rano.

Spodziewał się po niej takiej reakcji. Wiedział, że żona jest osobą przestrzegającą twardych zasad. Natomiast on przez ten krótki czas, kiedy byli razem, zdążył naruszyć lub złamać prawie każdą z nich.

Głęboko zaczerpnął tchu.

- Samanto, czasami nie jest ważne to, co myślimy, ale to, jak inni ludzie nas postrzegają. Czy ci się to podoba, czy nie, jesteśmy małżeństwem.

- Wątpię, czy w ogóle wiesz, co znaczy to słowo, sir.

- To pytanie można zadać każdemu mężczyźnie.

Nie dała się zbyć wykrętnym frazesem.

- Mój ojciec cenił swoje małżeństwo i rodzinę. No i, ma się rozumieć, od samego początku miał uczciwe zamiary wobec mojej matki - dodała ze złośliwym uśmieszkiem.

- Nie wątpię - rzekł Yale. - Ale umarł, zostawiając swoją córkę samotną i bez środków do życia.

Natychmiast pożałował tego, co powiedział.

Nie mógł chyba wymierzyć celniejszego ciosu. Samanta zbladła.

- Nigdy ci nie wybaczę, że to powiedziałaś - wyrzuciła z siebie głosem drżącym od gniewu.

- Och, Sam...

- Mam na imię Samanta - przerwała mu zimno. - A ty jesteś dla mnie obcym człowiekiem. To, co zaszło między nami tej nocy ... nie miało nic wspólnego z miłością ani oddaniem. Nie popełnię drugi raz tego samego błędu. Nie spodziewaj się tego po mnie! - Odwróciła się na pięcie i niemal wybiegła z pokoju.

Yale patrzył za nią przez chwilę, a potem ciężko opadł na krzesło.

- Jak mogłeś wszystko tak cholernie pogmatwać? - zadał sobie na głos pytanie. Jego głos odbił się echem w pustym pomieszczeniu.

Tu jest Anglia, pomyślał. Odnosił sukcesy we wszystkich innych częściach świata, ale tu nie powinien był wracać, a tym bardziej wchodzić w zażyłość z tą córką pastora. Lepiej mu było, gdy był sam.

Sprzed gospody dobiegał śmiech dziedzica Biggersa. Dźwięczał gromko i rubasznie, lecz fałszywie.

Yale zastanawiał się, czy Waylanda nie męczą pochlebcy tacy jak Biggers, zawsze krążący tak blisko, że można było się o nich potknąć. Oczywiście, to była jedna z korzyści, jaką dawał książęcy tytuł - ludzie zabiegali o względy utytułowanej osoby.

Może Sam padłaby mu w ramiona, gdyby się okazało, że poślubiła księcia, a nie niepoprawnego młodszego brata.

Skrzywił się z niesmakiem, natychmiast oddalając to podejrzenie. Nie była taka.

I to także, poza innymi jej cechami, tak mu się w niej podobało. Prawie tak samo jak jej cudowna spontaniczność w łóżku. Więcej niż cudowna. Na samą myśl o niej poczuł wzbierającą żądzę.

Głos Fenleya wyrwał go z rozmyślań.

- Proszę mi wybaczyć, lordzie Yale, ale Jego Łaskawość życzy sobie, by pan do niego dołączył. Jest gotów ruszać w drogę do Londynu.

Yale podniósł się na nogi; był zmęczony, choć podróż jeszcze się nie rozpoczęła.

- Fenley, wystarczy panie Carderock. Nie potrzebuję tych wszystkich tytułów.

- Tak jest, milordzie - odpowiedział uprzejmie kamerdyner.

Trzymał w ręce kapelusz z szerokim rondem, w którym Yale przyjechał z Londynu.

Yale westchnął. Tęsknił za wolnością, jaką dawało morze, i za swobodą w dysponowaniu własnym życiem. Wychodząc, zatrzymał się przed

Fenleyem. Kamerdyner pracował w tej rodzinie od czasu śmierci jego dziadka.

- Fenley, wiele w życiu widziałeś, prawda? - zagadnął, odbierając od służącego kapelusze. - Tak mi się wydaje, milordzie.

- Powiedz mi, czy rozumiesz kobiety?

W wyblakłych oczach Fenleya zamigotały iskierki wesołości.

- Nie, milordzie.

- Tego się właśnie obawiałem - przyznał Yale. - Chyba żaden z nas tak naprawdę ich nie rozumie. - Z tymi słowami wyszedł na zewnątrz, żeby ruszyć w drogę do Londynu, miejsca swych młodzińskich porażek, z bratem, który prawie go nie znał, i z żoną, która nim pogardzała.

Życie zapowiadało się ciekawie.

Książę Ayleborough nie traktował podróży lekko. Poza książęcym powozem, z herbami wymalowanymi na drzwiach, był jeszcze drugi powóz, w którym jechał багаż i służba. W każdym na koźle obok woźnicy siedział lokaj, dla bezpieczeństwa i wygody pasażerów.

Samanta zawahała się, kiedy lokaj otworzył przed nią drzwi.

W chodząc do tego powozu miała opuścić świat, który dotąd wydawał jej się bezpieczny i znajomy.

Książę podał jej rękę.

- Bądź ostrożna, nie śpiesz się - poradził jej ściszym głosem. - I nigdy nie zapominaj, że teraz jesteś jedną z nas. Moje nazwisko i moja rodzina będzie cię chronić. Trzymaj głowę wysoko.

Ten człowiek był samą dobrocią. Jak mógł tak bardzo się różnić od swojego brata?

- Dziękuję - mruknęła. - Potrzeba mi przyjaznej duszy.

- Poradzisz sobie świetnie - zapewnił, pomagając jej wsiąść do powozu.

Jeszcze nigdy nie była wewnątrz takiego pojazdu. Szmaragdowe kanapy ozdobione złotymi chwastami były sprężyste i miękkie jak materace z pierza. Trudno było sobie wyobrazić coś bardziej wygodnego.

Książę usiadł naprzeciwko, pozostawiając wolne miejsce obok niej. Samanta wolałaby siedzieć koło niego, ale było już za późno na zmiany. Jej mąż był roslą mężczyzną i z trudem mieścił długie nogi w niezbyt obszernym wnętrzu, zwłaszcza gdy dosiadł się do nich Fenley. Mimo to nie była pewna, czy koniecznie musiał siadać aż tak blisko niej. Kiedy otarł się ramieniem o jej pierś, natychmiast poczuła, że jej sutek nabrzmiewa, odpowiadając na ten dotyk.

Wcisnęła się w kąt kanapy, złożyła ręce na kolanach i zaczęła się zastanawiać, ile czasu jej zajmie wymazanie z pamięci ich miłosnych uniesień.

Skupię się na jego wadach, powiedziała sobie w duchu. Ten temat do przemyśleń bez wątpienia powinien jej wystarczyć na całą drogę do Londynu!

Ayleborough wystawił głowę przez okno, żeby zamienić jeszcze kilka

słów z dziedzicem Biggersem, a po chwili zwrócił się do pasażerów:

- Wszyscy gotowi? - I nie czekając na odpowiedź, postukał w dach, dając sygnał do odjazdu.

Woźnicy krzyknęli na konie i powozy ruszyły. Nie mogli jechać szybko, bo cała wieś nadal towarzyszyła im, tarasując drogę. Samanta pomachała na pożegnanie pannie Mabel i pannie Hattie. Pani Biggers przez chwilę biegła za powozem, gorliwie wymachując rękami.

Kowal Porter wyszedł przed kuźnię, żeby popatrzeć na powozy jadące przez wieś. Żona dołączyła do niego, ocierając łzy wzruszenia rąbkiem fartucha.

Powóz minął kościół i wikarówkę. W otwartych drzwiach kuchni stała żona pastora. Samanta wiele razy stała w tym samym miejscu, obserwując przejeżdżających przez Sproule podróżnych.

Minęli cmentarz, z grobowcem rodziny Ayleborough i grobami jej rodziców. Samanta odmówiła cichą modlitwę za ich dusze, prosząc ich przy tym o błogosławieństwo na nową drogę życia.

Ktoś dotknął jej łokcia; ze zdziwieniem stwierdziła, że to książe podaje jej chusteczkę. Przyjęła ją z wylewnym podziękowaniem. Im bardziej rozwodziła się nad uprzejmością księcia, tym posępniejszą minę miał Yale.

Ayleborough zerknął na minę brata i uśmiechnął się do Samanty. Odwzajemniła uśmiech. Czowała, że go polubiła. Mogłaby mu nawet zaufać.

Yale chrząknął, jakby chciał im przypomnieć o swojej obecności. Rzuciła na męża szybkie spojrzenie spod rzęs. Udawał, że wygląda przez okno, lecz wiedziała, że nic nie umyka jego uwagi. Poruszył się, przypadkiem ocierając udem o jej kolano. Nie zważając na gwałtowne bicie serca, spokojnie odsunęła nogę.

- Yale, opowiedz nam, co robiłeś przez te jedenaście lat - poprosił Ayleborough.

- I to, i owo - padła irytująca odpowiedź.

Napotkawszy wzrokiem spojrzenie księcia, Samanta znacząco wywróciła oczami. Książe odpowiedział jej szerokim uśmiechem.

- Co w tym śmiesznego? - spytał Yale zaczepnie.

- Nic, bracie - odparł spokojnie książe.

- Skoro Yale nie kwapi się, by odpowiedzieć obszerniej na pańskie jakże roztropne pytanie, Wasza Łaskawość - powiedziała Samanta słodkim głosem - może opowie nam pan o swoim najmłodszym synku?

Poruszyła temat najbliższy sercu księcia. Zaczął szczegółowo opisywać wszystkie swoje dzieci po kolei. Był ojcem dumnym ze swych pociech, nie ukrywał też afektu do swej żony, Marion. Uwielbiał ją i nie wstydził się o tym mówić. Nadali najmłodszemu dziecku imię po jej ojcu, Charlesie.

Od kiedy Ayleborough zaczął opowiadać, Yale miał zamknięte oczy,

ale Samanta była pewna, że nie śpi.

- A jak pozostali chłopcy mają na imię? - podtrzymywała rozmowę.

- John i Matthew. Nie chciałem im nadawać wymyślnych imion, takich jak Wayland czy Yale. Nasz ojciec był znanym uczonym, specjalistą od kultury anglosaskiej. Moim zdaniem, to głupie imiona. Nasza siostra nazywa się Twyla. Ją także spotkasz w Londynie.

- Ona też ma dzieci? - spytała Samanta, szczerze zaciekawiona.

- Dwie dziewczynki, Louise i Christine, i dwóch chłopców, Arthura i Douglasa.

Samanta nie mogła się powstrzymać przed uwagą skierowaną do Yale'a.

- Nie wiedziałam, Yale, że jesteś wujkiem. - To imię nadał brzmiało dla niej obco.

Udał, że chrapie.

Księżę mrugnął do Samanty porozumiewawczo i oboje się roześmiali. Nawet Fenley się uśmiechnął.

Yale udał, że się obudził.

- Co was tak śmiesz? Samanta wzruszyła ramionami.

- Nic szczególnego, prawda, Wasza Łaskawość?

- Drobnny żart. Nie zainteresowałby cię, Yale. Samanto, proszę, mów do mnie po imieniu, kiedy rozmawiamy prywatnie. Pozwolę sobie także wyznać, że jestem zachwycony nową bratową.

- Dlaczego? - spytał Yale trochę zaczepnym tonem. - Ponieważ spytała o twoje dzieci?

- Uważam, że jest równie inteligentna, co urodziwa. Nie mogę się doczekać, żeby ją poznać z Marion.

Samanta nie wiedziała, kto jest bardziej zaskoczony, ona czy Yale.

- Dziękuję, Wasza Łaskawość - szepnęła zakłopotana.

- Waylandzie.

Uśmiechnęła się wdzięcznie.

- Dziękuję, Waylandzie. Doceniam komplement. Ja także jestem zachwycona szwagrem.

- Ty jesteś zachwycona. On jest zachwycony - przerwał im szorstko Yale. - A ty, Fenley? Ty też jesteś zachwycony?

- Z całym szacunkiem, milordzie, lady Carderock wydaje się rzeczywiście zachwycającą osobą - odparł Fenley uprzejmie, ale kąciaki ust drgały mu z rozbawienia.

- Pani Carderock, Fenley. Pani, pani - napomniał go Yale.

Ostentacyjnie zaczął się wiercić, udając, że szuka wygodniejszej pozycji. Tym razem, gdy dotknął jej nogi, to on pierwszy się cofnął.

- Nie można by znaleźć lepszego tematu do rozmowy?



- Możemy wrócić do mojego wcześniejszego pytania - zaproponował Wayland.

- Co to było za pytanie? - spytał Yale, tłumiąc ziewnięcie.

- Pytałem, co robiłeś przez ostatnie lata.

Yale założył ręce na piersi, wyciągnął przed siebie długie nogi i utkwiał wzrok za oknem. Samanta już była przekonana, że wcale nie zamierza odpowiadać, kiedy niespodziewanie się odezwał.

- Budowałem swoją firmę armatorską.

- Własną firmę armatorską? - zainteresował się Wayland. - Opowiedz mi o niej coś więcej.

- Niewiele jest do opowiadania.

- Daj spokój, człowieku - zniecierpliwił się Wayland. - Jak nazywa się twoja firma? .

- Rogue Shipping.

- Rogue Shipping? - zdziwił się Wayland. - A więc to ty stoisz za Rogue Shipping? To wspaniale! - zawołał z radością. To niewielka firma, ale dobrze zorganizowana - wyjaśnił Samancie. - Niektórzy przewidują, że stanie się najsilniejszym konkurentem dla Kompanii Wschodnioindyjskiej na Dalekim Wschodzie.

- Czasami z nimi współpracujemy. Ostatnio nawet dość często - stwierdził lakonicznie Yale.

Księżę oparł się wygodnie na poduszkach kanapy, przyglądając się bratu ze zdumieniem.

- Jak na magnata armatora, masz dość marnego krawca.

- Nie wierzysz mi? - spytał Yale podejrzenie łagodnym tonem.

- Nic podobnego - zakpił Wayland. - Każdy bogacz nosi wytarte łachy, niemodne od dziesięciu lat.

- Prawdę mówiąc, dostał to ubranie od mieszkańców wsi - wtrąciła Samanta, czując nieodpartą potrzebę stanięcia w obronie męża. - Spaliłam rzeczy, w których przyjechał.

- Spaliłaś? - Wayland uniósł brwi, wyraźnie zaciekawiony.

- Żeby zapobiec rozprzestrzenianiu się choroby - wyjaśniła Samanta . w obawie, że zostanie źle zrozumiana. - Miałam powód, żeby je spalić.

- Nie musisz mu niczego wyjaśniać - przerwał jej Yale.

- Ale chętnie posłucham - zapewnił Wayland. - Dziejcie wspomniał mi, że małżeństwo zostało zawarte w pośpiechu. - Nie było żadnego skandalu - oświadczył Yale.

Mina Waylanda świadczyła, że nie jest o tym do końca przekonany.

- Zobaczyłem ją i od razu się zakochałem - mówił Yale, odpowiadając na nie zadane pytanie i całkowicie zaskakując Samantę. - Ale bałem się wyjawić moje prawdziwe nazwisko, ponieważ myślałaby o mnie same

najgorsze rzeczy, które i tak myśli.

Wayland przeniósł wzrok z brata na bratową.

- Cóż, jeśli jesteś właścicielem Rogue Shipping, to jesteś bogatszy od nababa - stwierdził, uznając widocznie, że czas zmienić temat. W jego głosie wciąż pobrzmiwała nuta wątpliwości. - Po powrocie do Londynu zajmiemy się twoją garderobą. Wyślę cię do mojego krawca.

- Małe sprostowanie, braciszku - przerwał mu Yale. - Sam zajmę się swoją garderobą. Nie potrzebuję twojego krawca.

- Uparty do samego końca, co? - westchnął księżę.

- Owszem - przyznał spokojnie Yale.

Rozmowa ustała; każdy pograżył się we własnych myślach.

Samanta nie mogła wyjść ze zdumienia, że Yale zadeklarował, iż się w niej zakochał. To był z jego strony rycerski, ale niemądry gest. Kiedy ją opuści, ludzie szybko się zorientują, jakie były jego prawdziwe uczucia wobec niej.

Wayland, Samanta i Fenley umilali sobie czas podróży grą w karty, dopóki nie zrobiło się na to zbyt ciemno. Yale nie przyłączył się do nich; zamyślony wyglądał przez okno.

Wkrótce po zachodzie słońca dotarli do pierwszego miejsca postoju. Właściciel gospody oczekiwał na przybycie księcia; w specjalnym gościnnym pokoju podano im smaczny gorący posiłek - duszoną jagnięcinę w sosie z dodatkiem brandy.

W gospodzie było mnóstwo innych gości i panował ogólny rwetes. Gospodarz wyjaśnił im, że tego dnia odbywały się tam wyścigi konne. Brakowało wolnych pokoi, ale kiedy Yale wyciągnął z sakiewki złotego suwerena, udało się jednak znaleźć pokój dla Samanty.

Była tak zmęczona, że ledwie spróbowała posiłku. Nadmiar dramatycznych wydarzeń i brak snu poprzedniej nocy tak ją wyczerpały, że omal nie zasnęła nad talerzem.

Yale pierwszy dostrzegł jej zmęczenie i senność.

- Idź na górę do łóżka, Samanto.

Fenley, który stał w otwartych drzwiach, nadzorując służbę przy podawaniu kolacji, rzucił się, by odsunąć jej krzesło ... ale Yale zdążył go uprzedzić. Samanta podziękowała Fenleyowi uśmiechem. Od chwili ich przyjazdu na postój związał się jak w ukropie, pilnując dostarczenia bagaży do pokoju i tego, by wszystko szło po myśli jego pana.

- Nie wiem, jak ty to robisz - zwróciła się z podziwem do kamerdynera.  
- Ja dosłownie padam z wyczerpania.

Fenley uśmiechnął się, zadowolony z pochwały.

- Mam za sobą długie lata praktyki, milady.

- I jest twardszy od starego koguta - dorzucił Yale, biorąc Samantę pod

rękę.

- Skoro pan tak mówi, milordzie ... - Fenley zgodził się z nim uprzejmie.

Samanta zauważyła, że Yale poprawia Fenleya, ilekroć ten zwróci się do niego „milordzie”. Ona sama jeszcze nie wiedziała, co czuje, kiedy ktoś zwraca się do niej „milady”. Dzień przyniósł jej tak wiele wrażeń, że nie miała kiedy się nad tym zastanawiać. Postanowiła odłożyć wszelkie rozważania na jutro.

Yale wyprowadził ją z pokoju, podając jej ramię. Gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, Samanta cofnęła rękę.

- Sama trafię, gdzie trzeba.

- Och, Sam ... anto - poprawił się pod jej surowym spojrzeniem. - W gospodzie jest tłum ludzi. To nie jest dla kobiety odpowiednie miejsce na samotne spaceru. - Jakby na poparcie jego słów, z jadalni dobiegł rubaszny męski śmiech.

- Bardziej się obawiam twojego towarzystwa niż obcych - oznajmiła cierpko, kierując się na schody.

Wyprzedził ją trzema długimi susami.

- Samanto, muszę robić to, co do mnie należy.

- Doprawdy? To zdumiewające, że wreszcie sobie o tym przypomniałeś. Ominęła go, uniosła lekko spódnicę i ruszyła po schodach do swego pokoju.

Słyszała, jak mruczy coś pod nosem na temat nieznosnych kobiet. Była z siebie zadowolona.

Schody okazały się kręte i wąskie. Jakiś człowiek schodził na dół, więc Samanta musiała odsunąć się na bok, żeby go przepuścić. Mijając ją, mężczyzna trochę zbyt śmiało przyglądał się jej biodrom ... dopóki Yale nie stanął obok niej i nie objął jej opiekuńczym gestem.

- O, przepraszam - bąknął nieznajomy i szybko się oddalił. Yale warknął coś w odpowiedzi, a Samanta musiała przyznać, że chyba jednak miał rację, odprowadzając ją do sypialni. Tak czy inaczej, nie wyglądało na to, by udało jej się go zniechęcić. I pomyśleć, że to on uważał ją za upartą!

W milczeniu weszli na górę i ruszyli przed siebie długim korytarzem. Gospoda była pięć razy większa niż Pod Niedźwiedziem i Bykiem. Samanta nie wiedziała, że gospody mogą być takie ogromne. Pomyślała o tym i nagle zdała sobie sprawę, że jest wiejską myszką.

Yale otworzył drzwi do jej pokoju i cofnął się, przepuszczając ją przed sobą. Samanta zatrzymała się w progu, wydając okrzyk przestachu. Natychmiast znalazł się przy niej.

- Sam, co się stało?

- Ktoś jest w środku - szepnęła, chowając się za jego plecami.

Yale zajrzał do pokoju i roześmiał się z ulgą.

- Sam, to tylko pokojówka.

- Pokojówka?

Popychając ją lekko przed sobą, powiedział do dziewczyny, krzątającej się po pokoju:

- Ty jesteś pokojówką najętą przez Fenleya, prawda?

Dziewczyna dygnęła nerwowo.

- Tak, milordzie. Mój pan powiedział, że jest tu pewna dama bez własnej pokojówki i kazał mi jej usługiwać. Czyżbym przestraszyła moją panią? Pan kazał mi tu na nią czekać. Dygnęła powtórnie.

- Wszystko jest w porządku - zapewnił ją Yale. Objął Samantę w pasie i próbował ją skłonić, by weszła do pokoju, ale się opierała.

- Nie wiem nic na temat pokojówek - szepnęła do niego z przestraczem.

- Chwileczkę - zwrócił się do dziewczyny, po czym zamknął drzwi; zostali w korytarzu, gdzie ściszym głosem powiedział do żony: - Ty nie musisz wiedzieć nic o pokojówkach. To one mają wiedzieć, co trzeba. Niech robi to, co należy do jej obowiązków.

- A co należy do jej obowiązków?

- Wyszczotkuje ci włosy, pomoże ci się rozebrać i przykryje cię kołdrą.

- Nie potrzebuję, by mi ktoś w tym pomagał. Od lat sama sobie z tym świetnie radzę.

- To prawda, Sam, ale teraz jesteś damą i szybko się przekonasz, że twoje życzenia nie liczą się dla księcia Ayleborough. Musimy zachowywać pozory. Kiedy przybędziemy do Londynu, dostaniesz własną pokojówkę i już nigdy nie będziesz sobie sama szczotkować włosów ani sznurować sukni.

- Ale ja lubię to robić.

- Tak? Cóż, teraz jesteś Kimś Ważnym.

- Kimś Ważnym?

- No wiesz, osobą, którą cała wieś obserwuje i o której plotkuje.

- Tak, poznałam to już jako córka pastora.

- Ale teraz jesteś bogata i spokrewniona z ważnym tytułem. I proszę, w interesie rodziny, nie spierajmy się o to dzisiaj. Ta dziewczyna spodziewa się hojnej zapłaty za swoje usługi, więc nie róbmy jej zawodu, dobrze?

- Ona pewnie uważa, że jestem głupia, bo przestraszyłam się na jej widok - powiedziała Samanta po chwili wahania.

Pogładził ją palcem po policzku.

- Nie, ona nie wie, że cię przestraszyła. Wszystko będzie dobrze.

- Wszystko jest takie inne od tego, do czego przywykłam.

Ujął ją pod brodę.

- Sam, wkrótce odkryjesz, że Londyn w niczym nie przypomina Sproule. Będzie tam mnóstwo nowych rzeczy, spraw, które wydadzą ci się

dziwne. Weź po prostu głęboki oddech i pomyśl sobie, że smoki nie istnieją. Będziesz popełniać błędy, ale przetrwasz. Ja to wiem.

Zajrzała w jego ciemne oczy.

- Czy dlatego jeszcze mnie nie opuściłeś? Chcesz się upewnić, że nie zostałam pożarta przez smoki? - spytała cicho.

Miała jego twarz tak blisko, że w słabym świetle, rzuconym przez świecę stojącą na stole w holu, widziała zarys bokobrodów.

- Zobowiązałem się zadbać, żebyś była odpowiednio urządzona.

- Wiesz, że to niepotrzebne. Mogę sama zadbać o siebie.

- Ciągłe mi to powtarzasz.

- Bo to prawda!

- Sam ... Samanto, jesteśmy zmęczeni, nie kłóćmy się teraz. Odwiozę cię do Londynu i dopilnuję, by ci niczego nie brakowało. I nie obchodzi mnie, co na to powiesz. Nie jestem aż takim łajdakiem, za którego mnie wszyscy uważają.

W tym punkcie nie całkiem się z nim zgadzała, ale ogólnie miał rację. Była zmęczona.

- Dziękuję ci za radę. Staram się korzystać z dobrych rad, niezależnie od tego, kto mi ich udziela.

- Musisz mieć ostatnie słowo?

- A spodziewałaś się, że będzie inaczej?

- Nie.

Uśmiechnęła się słysząc tę krótką odpowiedź i chwyciła za klamkę.

- Dobranoc.

Pokojówka Jenny rzeczywiście nie okazała się smokiem.

Była miłą, prostą dziewczyną, która też niewiele wiedziała o obowiązkach pokojówki. Rozumiały się z Samantą doskonale. To, że ktoś szcztokował jej włosy, dopóki nie zaczęły błyszczeć, a potem zadbał, by ogrzać łóżko gorącą cegłą, okazało się całkiem przyjemne.

Po niespełna godzinie Samanta miała na sobie wygodną flanelową koszulę i leżała w ciepłym łóżku, przykryta kołdrą, obserwując ogień buzujący na kominku. Bycie Kimś Ważnym miało swoje dobre strony.

- Dobranoc, milady - powiedziała Jenny wychodząc. - Przyjdę do pani rano.

- Dziękuję ci, Jenny - odpowiedziała jej sennie Samanta. Usłyszała stuk zamykanych drzwi. Zamknęła oczy, moszcząc się wygodnie w pościeli, znacznie świeższej niż ta, którą dawano gościom Pod Niedźwiedziem i Bykiem, i uszytej z miększego materiału. Jenny powiedziała jej, że księżę Ayleborough zawsze podróżuje z własną bielizną pościelową. Tak, bardzo miło być Kimś Ważnym. Już prawie zasypiała, kiedy drzwi znów się otwarły. Samanta, nie otwierając oczu, wtuliła nos w poduszkę.

- Jenny? Zapomniałaś czegoś?

- To nie pokojówka - usłyszała głos Yale'a. - To twój mąż. Przyszedłem, żeby spędzić z tobą noc poślubną.

Samanta gwałtownie usiadła na łóżku.

- A wydawało mi się, że drzwi są zamknięte.

- Przecież są - odpowiedział Yale. - Widzisz? - Przekreślił w zamku klucz, który po chwili podał Samancie.

- Nie chcę cię tu widzieć - powiedziała z brutalną szczerością. - Dzisiaj rano dałam ci to wystarczająco wyraźnie do zrozumienia. Moim zdaniem nie jesteśmy małżeństwem.

- Powiedziałaś mi to tak, że nie mam żadnych wątpliwości rzekł spokojnym tonem. - Niemniej jednak nie mam gdzie spać. Tu jest pełno gości. Ludzie śpią nawet na ławach w jadalni. - Przysiadł na skraju łóżka, tuż obok jej stóp, oparł się o wezgi i przeciągle ziewnął. - Poza tym mój brat, dla którego byłaś wyjątkowo miła przez całe popołudnie, gotów sobie pomyśleć, że popełniłem jakieś potworne przestępstwo, jeśli się dowie, że nie chcesz wpuścić mnie do łóżka.

- W stajni jest mnóstwo miejsca. Twoja żona nie ma zamiaru dzielić z tobą łóża - oznajmiła stanowczo. - Co miałaś na myśli, mówiąc, że przez całe popołudnie byłam miła dla twojego brata?

- Po kolei, Samanto. - Wstał, przeciągnął się i zdjął surdut, który przewiesił przez oparcie krzesła przy biurku. - Odpowiadam na twoje pierwsze pytanie. W stajniach aż roi się od robactwa. Czy naprawdę chciałabyś mieć w powozie nie tylko mnie, ale i jakieś inne stworzenia? Cała droga do Londynu upłynęłaby nam na drapaniu się.

Na samą myśl o takiej możliwości Samanta poczuła swędzenie.

- Teraz możemy zająć się drugą sprawą - powiedział, wyjmując koszulę ze spodni. - Moja żona nie życzy sobie, żebym z nią spał. - Zawiesił głos, jakby się nad czymś zastanawiając, po czym ściągnął koszulę przez głowę. Ujrawszy jego nagi tors, Samanta odniosła wrażenie, że temperatura w pokoju gwałtownie podniosła się o kilka stopni. Odwróciła wzrok.

Znów przysiadł na skraju łóżka i zaczął ściągać buty.

- Oczywiście - ciągnął tonem swobodnej pogawędki - mógłbym ci przypomnieć, że zaledwie wczoraj dobrowolnie wypowiedziałaś słowa przysięgi małżeńskiej, w związku z czym przysługują mi pewne prawa.

Przełamując zawstydzenie, Samanta spojrzała na Yale'a. - Nie ośmielisz się ...

- Rzucasz mi wyzwanie, Sam? - zapytał i opuścił but na podłogę. - Nie martw się. Nigdy jeszcze nie stosowałem przemocy wobec kobiet i teraz również nie zamierzam się do niej uciekać.

- Och, przecież kobiety wyłącznie marzą o tym, żeby znaleźć się z tobą

w łóżku - powiedziała ironicznym tonem.

Pokiwał głową.

- Najczęściej tak właśnie jest.

Samanta złożyła ręce na piersiach.

- No cóż, teraz spotkałeś taką, która tego nie chce.

- Już to słyszałem. - Zaczął zdejmować drugi but.

Zirytowała ją ta odpowiedź.

- Wiesz, jesteś zupełnie inny niż twój brat.

Strzał był celny. Znieruchomiał i popatrzył na nią ze złością. Nie potrafiła ukryć uśmiechu zadowolenia.

- Tak - warknął. - Bardzo się różnimy. Lepiej to sobie zapamiętaj. -

Rzucił but na podłogę i zaczął ściągać skarpety.

Gwałtownie potrząsnęła kołdrą, jakby chcąc zrzucić go z łóżka.

- Czemu po prostu sobie nie pójdziesz? Zostaw mnie i daj mi spokój.

Mam już dość tej farsy z towarzyszeniem mi w drodze do Londynu. A poza tym może byś tak przestał się rozbierać? - Odczuwała dziwny niepokój na widok jego bosych stóp.

Yale rzucił skarpety na buty i wstał.

- Nie mam zwyczaju spać w ubraniu. Nie zrobię wyjątku nawet dla ciebie.

Ku jej przerażeniu, zaczął rozpinąć spodnie. Odpiął jeden guzik, potem drugi ...

Wzburzona, zerwała się na nogi.

- Natychmiast stąd wyjdź! - krzyknęła, wskazując drzwi.

- Nigdzie się nie ruszę. Zostaję. - Rozpiął trzeci guzik. Przeraziła się.

Co robi, jeśli będzie próbował ją do czegoś zmusić?

Bezwiednie zacisnęła dłonie w pięści.

- Jeszcze nie masz dość? Myślałam, że podczas wczorajszego i dzisiejszego wesela udało ci się wystarczająco mnie upokorzyć, ale wygląda na to, że masz w zanadrzu jeszcze kilka numerów!

- Sam, nie mam złych zamiarów.

- A poza tym zapamiętaj sobie, że mam na imię Samanta!

Sam to ktoś zupełnie inny, to kobieta, która ci ufała. Samanta jest mądrzejsza; nie da się łatwo wystrychnąć na dudka!

Po tych słowach gniew opuścił ją równie nagle, jak się pojawił. Usiadła na łóżku, zwrócona twarzą do ściany. Niełatwo było wyprowadzić ją z równowagi ... tymczasem w obecności Yale'a ciągle wpadała w złość. Doprowadzał ją do takiego stanu, że nie poznawała samej siebie.

Poczuła, że Yale się przysuwa. Natychmiast chwyciła poduszkę i wstała.

- Będę spała w stajni. Możesz położyć się do łóżka.

Nie zdążyła jeszcze zrobić kroku, kiedy chwycił ją za rękę i pociągnął do siebie. Wylądowała na brzegu łóżka, pomiędzy nogami Yale'a, oparta plecami o jego tors.

- Puść mnie! - Próbowała uwolnić nadgarstek. Otoczył ją ramionami.

- Samanto, przestań ze mną walczyć. Uspokój się, me zrobię ci krzywdy.

- Myślałam, że nigdy nie stosujesz przemocy wobec kobiet - burknęła.

- Bo nie stosuję. Po prostu próbuję cię uspokoić.

- Rezultat jest wprost przeciwny! - krzyknęła, przestała się jednak wiercić.

- Przepraszam - szepnął jej do ucha. - Droczyłem się z tobą.

- To jest droczenie się? - zapytała filuternie, przesuwając się nieznacznie, by wiedział, że czuje jego pobudzoną męskość. Wciąż miał na sobie spodnie z rozpiętymi trzema guzikami.

- Nic na to nie poradzę - powiedział cicho. - Jakkolwiek by nie było, Sam, jestem tylko mężczyzną. Kiedy płoniesz gniewem, twoje oczy błyszczą, kiedy dumnie unosisz podbródek, a włosy spływają ci na ramiona, wyglądasz jak urażona księżniczka ... jesteś taka piękna, a jednocześnie niedostępna.

Piękna? Czy to możliwe, żeby powiedział, że jest piękna? Potrząsnęła głową, przypomniawszy sobie, że musi zachować ostrożność. Yale był obdarzony dużym temperamentem i lubił kobiety. Gotów był powiedzieć jej wszystko, byle tylko znaleźć się z nią w łóżku.

- W takim razie postaram się zmienić. Będę słodka, potulna, zawsze uśmiechnięta i tak nudna, że wydam ci się odrażająca.

Zachichotał.

- Dobrze, ale pamiętaj, że twoja słodycz podoba mi się ponad wszystko. A poza tym, wcale nie jestem ci tak zupełnie obojętny. Twoje piersi stwardniały. - Musnął palcem twardy sutek.

Samanta poczuła, jak oblewa ją fala gorąca. Przytulił ją.

- Było nam tak dobrze - wyszeptał. - Tak bardzo, bardzo dobrze.

- Nic do ciebie nie czuję - zaprzeczyła.

- Aha ...

- To prawda!

- A czy ja powiedziałem, że ci nie wierzę?

Niemal kipiała złością, nie poruszyła się jednak. Mimo wszystko przebywanie tak blisko niego wcale nie było bardzo niemiłe.

- Nie musiałeś tego mówić. Słyszałam śmiech w twoim głosie.

- Nie przypuszczałem, że tak łatwo mnie przejrzeć. Będę musiał przestać grać w karty.

Zauważyła ich odbicie w pionowym lustrze w rogu. Wyglądali jak małżeństwo. Jednakże różnili się tak bardzo, że dzieliła ich przepaść.



- Nie mam ochoty na taką bliskość - powiedziała ostrożnie.

- Rozumiem.

- I zgadzasz się na to?

Ciężko westchnął.

- Sam, naprawdę mówiłem poważnie, że nie będę cię do niczego zmuszał. Jeśli mi pozwolisz, będę kochał się z tobą całą noc, ale to musi być twoja, a nie moja decyzja.

Uniosła podbródek.

- Moja decyzja brzmi: nie.

Ich spojrzenia spotkały się w lustrze i Yale uśmiechnął się nieznacznie.

- Cały czas to samo.

- Więc co masz zamiar zrobić?

- Udawać eunucha.

- Nie wygłupiaj się.

Puścił ją i wsparł się na łokciach.

- Mam zamiar położyć się na łóżku i zasnąć.

Samanta wstała.

- To chyba nie jest dobry pomysł.

Zachnął się.

- Dlaczego?

- Bo będziesz chciał nie tylko spać. Zbyt dobrze cię znam.

- Och, Samanto, ty w ogóle mnie nie znasz - stwierdził poirytowanym tonem. Zapiął spodnie, położył się na brzegu łóżka i przesunął poduszkę na miejsce. - Przecież mieszkałem parę dni w twoim domu i jakoś cię nie napastowałem.

- Bo byłeś chory.

- Sam, nie jestem zwierzęciem. Potrafię panować nad swoimi popędami. A teraz kładź się do łóżka.

Obrócił się do niej plecami, leżąc na kołdrze.

Samanta wpatrywała się w niego, stojąc. Chciała, żeby wyszedł z pokoju.

Nie poruszył się, a po kilku minutach usłyszała jego głęboki, równy oddech.

Zasnął! Podczas gdy ona stała, cała drżąca, czując dziwne mrowienie, on zasnął tak szybko, że nie zdążyłaby w tym czasie pstryknąć palcami!

Przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze. Wydała się sobie śmieszna. Czowała się trochę głupio z powodu swego zachowania.

Była też bardzo zmęczona. Nagle ogarnęło ją niezwykle silne znużenie. Łóżko chyba jeszcze nigdy nie wydało się jej tak kuszące.

Podniosła poduszkę, która spadła na podłogę, i ostrożnie oparła się kolanem o łóżko. Yale się nie poruszył.

Położyła się i przykryła kołdrą. Mocno spał.

Napięcie zaczęło powoli opadać. Rozluźniła się, a nawet chciało jej się z siebie śmiać. Musiała wyglądać bardzo zabawnie stojąc na łóżku i besztając Yale'a. Co takiego w nim było, że w jego obecności zdolna była do zachowań, o jakie nigdy by się nie posądzała?

Zastanawiając się nad tym, poczuła błogą senność.

I wtedy odwrócił się gwałtownie, nakrył dłonią jej pierś i przywarł ustami do jej warg.

Przez chwilę wydawało jej się, że to sen. Pieścił jej pierś ... stłumiła jęk rozkoszy. Rozchyliła wargi - pocałował ją namiętnie, lecz delikatnie.

Było to bardzo przyjemne. Tak bardzo, bardzo przyjemne ... Nagle dotarła do niej straszliwa prawda. To nie był sen. Yale ją całował! I naprawdę pieścił jej piersi! A co gorsza, bardzo jej się to podobało!

Usiadła na łóżku. Uśmiechnął się przeproszająco; blask ognia odbił się w jego równych, białych zębach.

- Coś mi się wydaje, że nie jestem eunuchem.

Poczuła przyływ wściekłości. Z siłą, o jaką nigdy by się nie podejrzewała, zrzuciła go z łóżka. Głucho uderzył o podłogę.

- Auu! - krzyknął, ale jego głos nie był przepelniony bólem. Podparł się dłonią i wyrżał zza krawędzi łóżka. - No, Sam, powiedz szczerze. Trochę ci się to podobało, prawda?

- Sprytna z ciebie bestia - powiedziała i cisnęła w niego poduszką.

- Auu! - zawył znowu.

- Masz tu kołdrę - powiedziała, zrzucając ją z łóżka. - Mam nadzieję, że się pod nią udusisz.

To powiedziawszy położyła się i ku swemu zdumieniu bardzo szybko zapadła w sen.

## 10

Kiedy Jenny obudziła ją następnego dnia, Yale już wyszedł. Kołdra leżała na łóżku, poduszka Yale'a - obok jej poduszki.

Senna i zmęczona, Samanta w milczeniu przypatrywała się krzątaniu Jenny. Służąca miała prawdziwy talent do układania fryzur. Upięła włosy Samanty w grecki węzeł, co podkreśliło piękną linię jej szyi i sprawiło, że oczy nabrały blasku.

Zastanawiała się, czy spodoba się Yale'owi, natychmiast jednak skarciła się w duchu za poświęcanie mu choćby chwili uwagi.

- Dziękuję, Jenny. Bardzo mi się podoba to uczesanie.

- Dziękuję, milady - odpowiedziała służąca i dygnęła. Samanta omal nie odpowiedziała dygnięciem, na szczęście opanowała się w porę. Wątpiła, czy kiedykolwiek przywyknie do bycia „panią”.

Zeszła na dół do pokoju księcia. O tak wczesnej porze w gospodzie panowała cisza.

Zastała księcia przy śniadaniu. Zarówno on, jak i Fenley bardzo ucieszyli się na jej widok. Fenley natychmiast wysunął dla niej krzesło.

- Mam nadzieję, że dobrze spałaś, Samanto - rzekł Ayleborough.

Popatrzyła na niego, nie wiedząc, czy zdaje sobie sprawę, co zaszło ubiegłej nocy pomiędzy nią a jego bratem.

- Tak, dziękuję, Wasza Łaskawość - odpowiedziała.

- Mówiłem już, żebyś zwracała się do mnie po imieniu. Jesteśmy teraz rodziną. A skoro mówimy o rodzinie, to gdzie jest ten błędny rycerz, mój brat? Czy wciąż śpi? Zawsze był strasznie leniwy, a chciałbym wyjechać za godzinę.

. Samanta zdawała sobie sprawę z wielu wad Yale'a, ale nigdy nie uznałaby go za lenia.

Na szczęście Fenley wybawił ją od konieczności odpowiedzi.

- Lord Yale wstał dziś bardzo wcześnie - powiedział. - Miał zamiar wrócić przed pańskim wyjazdem, Wasza Łaskawość. - Postawił przed Samantą talerz z jajkami i kielbaskami.

- Nie ma go tutaj? - zdziwił się Wayland. - A gdzież to on się podziewa o tej porze? Przecież ledwie świta.

- Pojechał kupić konia - odpowiedział Fenley.

- Konia?

- Tak, Wasza Łaskawość. Uznał, że powóz kępuje swobodę jego ruchów, i zamierza dziś jechać konno. Obiecał, że wróci przed naszym wyjazdem.

- Dlaczego nie wynajął jakiegoś konia w gospodzie?

- Nie wiem - odpowiedział Fenley i ku zaskoczeniu Samanty konspiracyjnie zmrużył oko.

Zastanawiała się, co też pomyślałby sobie Fenley, gdyby wiedział, że ona zna Yale'a jeszcze mniej niż księżę.

- A jakiegóż to konia może kupić o świcie w Darlington? dopytywał się Wayland.

Wkrótce wszystko się wyjaśniło. Kiedy byli już gotowi do drogi, Yale nadjechał na lśniącym czarnym ogierze. Jechał bez kapelusza, a poły surduta powiewały mu na wietrze.

Uśmiechnął się do nich szeroko; oczy błyszczały mu radosnym podnieceniem.

- Piękny, nieprawdaż?

Nawet Samanta musiała przyznać, że koń jest wspaniały.

Wayland postąpił o krok i przesunął dłonią po piersi i szyi zwierzęcia.

- Rzeczywiście wspaniały - powiedział z uznaniem. - Gdzie go kupiłeś?

- Od pewnego ziemianina, który mieszka niedaleko stąd. Słyszałem, jak rozmawiano o nim wczoraj w jadalni.

- Musiał być drogi - zauważył Wayland.

Yale wzruszył ramionami.

- Jest wart tej ceny. A poza tym, podobno warto stawiać na czarnego konia.

Wayland uniósł brwi.

- Gdzie twój kapelusz?

- Zgubiłem go po drodze.

- Dżentelmen zawsze nosi kapelusz - upierał się Wayland.

Yale zbył jego słowa lekceważącym machnięciem ręką.

- Kupię nowy w najbliższym mieście. - Uśmiechnąwszy się chytrze do Samanty, dodał: - Nazwałem go Bestia. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Natychmiast zrozumiała aluzję do minionej nocy.

- To doskonale imię - stwierdziła i wsiadła do powozu.

Obracanie wszystkiego w żart stało się już specjalnością Yale'a.

Zanim lokaj zamknął drzwiczki, Yale podprowadził konia do powozu.

- Przyniosłem dla ciebie również to, milady. - Wyjął spod surduta czerwoną różę.

Samanta była zaskoczona widokiem kwiatu w środku zimy.

- Gdzie ją znalazłeś? - zapytała, biorąc różę do ręki. Płatki zaczynały kurczyć się z zimna; chciała je ochronić.

- Ten ziemianin ma cieplarnię, a hodowla róż jest jego pasją. Kosztowała mnie prawie tyle co koń. - Objął palcami w rękawicy jej dłoń. - Mam nadzieję, że ci się podoba.

Ich spojrzenia się spotkały - w jego wzroku Samanta wyczytała szczerą prośbę o przebaczenie.

Przysunął się do niej i powiedział głosem przeznaczonym tylko dla jej uszu:

- Nie powinienem był droczyć się z tobą w nocy, Sam.

Pokiwała głową, nie ufając swemu głosowi. Nie lubiła, kiedy wykazywał skruchę i zachowywał się tak miło. Miała wtedy wielkie trudności z utrzymywaniem odpowiedniego dystansu.

Odsunęła się i Yale puścił jej rękę. Lokaj zamknął drzwi. Wayland zapukał w dach powozu i wyruszyli.

Samanta powoli obracała łądygę w palcach. Miała ochotę zdjąć rękawiczki, żeby móc rozkoszować się aksamitem płatków, nie zamierzała jednak robić tego na oczach Waylanda i Fenleya. Taki gest mógłby zostać źle zrozumiany.

Wayland przerwał ciszę.

- Jestem rozczarowany tym, że Yale zdecydował się jechać konno. Miałem nadzieję, że uda się nam porozmawiać.

- O czym? - zapytała z zaciekawieniem.

- Nie wiem, czy ci o tym mówił, ale nie znamy się zbyt dobrze. Jestem od niego starszy o dwanaście lat. Kiedy byliśmy chłopcami, rzadko rozmawialiśmy ze sobą. Gdy dorastał, ja uczyłem się w szkole z internatem, a kiedy on zaczął szkołę, wyjechałem.

Samanta popatrzyła na Fenleya, zdziwiona, że Wayland mówi o wszystkim tak otwarcie w jego obecności.

Książę uśmiechnął się.

- W obecności Fenleya możesz mówić wszystko, Samanto. To mój najmądrzejszy doradca w trudnych chwilach. Niezwykle wysoko cenię sobie jego zdanie. Zna wszystkie tajemnice rodziny Carderocków i bez wahania powierzylibyśmy mu życie.

- Dziękuję, Wasza Łaskawość - powiedział Fenley, wyraźnie zadowolony z komplementu.

Wytworzyła się tak miła atmosfera, że Samanta zdecydowała się zapytać o coś, co niepokoiło ją od początku podróży.

- Dlaczego chciałeś, żeby Yale przyjechał do Londynu ... ze mną? Przyznam, że się trochę boję. Jestem tylko wiejską myszką. Byłabym najszcześliwsza, mogąc zostać w Sproule.

Wayland pokręcił głową.

- Nie bój się, Samanto, nie masz najmniej szych powodów do obaw. Jako należąca do mojej rodziny, musisz zostać należycie zaprezentowana w towarzystwie. Marion zajmie się tym, żebyś została przedstawiona na dworze. Ona potrafi wszystko doskonale zorganizować.

- Przedstawiona .. : na królewskim dworze? - powtórzyła, czując dziwną słabość.

- Na pewno doskonale dasz sobie radę w Londynie, Samanto. Moje nazwisko będzie cię chronić. A jeśli chodzi o to, że chcę mieć was blisko siebie ... no cóż, jesteśmy przecież rodziną. Czy masz dużą rodzinę?

- Nie, byłam jedynaczką, a moi rodzice i krewni nie żyją.

- W takim razie na pewno zdajesz sobie sprawę, jak ważna jest rodzina?

- Czasami żałowałam, że nie mam sióstr ani braci.

- Jestem teraz ojcem i nie potrafię wyobrazić sobie bólu po utracie moich synów. Ojciec naprawdę żałował swojego postępowania. Wiadomość o śmierci Yale'a sprawiła, że postarzał się dosłownie w ciągu jednej nocy. Chcę, żeby mój brat wrócił na łono rodziny. Rodzina jest bardzo ważna, znacznie ważniejsza niż pieniądze czy pozycja społeczna. Nie pozwolę, żeby Yale „znów gdzieś wyjechał.

Słyszeli śmiech Yale'a, żartującego ze stajennymi.

- Ciągłe się śmiał - rzekł Wayland. - O nic nie dbał i oczywiście ciągle latał bez kapelusza!

Po tych słowach zamilkł. Po pewnym czasie Samanta zdrzemnęła się. Kiedy się obudziła, zajęli się grą w karty i nie powrócili już do rozmowy o Yale'u.

Tego wieczoru w gospodzie Samanta zastanawiała się, czy mąż dołączy do niej tak jak zeszłej nocy. Ignorował jej obecność przez cały dzień, a miała ochotę na kolejną potyczkę.

Rzeczywiście przyszedł do pokoju, ale dopiero po tym, kiedy zapadła w sen, i wyszedł, zanim się obudziła. Wiedziała, że spędził noc w pokoju, bo czuła zapach jego mydła do „golenia. Spojrzawszy na podłogę przy łóżku, zobaczyła na niej prześcieradło i poduszkę.

Nie mieli chwili dla siebie; tylko raz, tuż po śniadaniu, przypadkiem spotkali się na korytarzu.

- Yale?

Przystanął.

- Tak?

- Twój brat chce spędzić z tobą trochę czasu. Mam nadzieję, że dzielące was różnice nie powstrzymają cię od zrobienia mu tej niewielkiej przyjemności. Chciałby, żebyś podróżował w powozie.

- Dlaczego chce mieć mnie tak blisko siebie?

- Jest głową rodziny i zależy mu na tobie.

Yale prychnął w odpowiedzi, ale tego dnia spędził trochę czasu w powozie, a nawet spokojnie odpowiadał na pytania starszego brata o interesy.

Dla Samanty odpowiedzi męża stały się również cennym źródłem informacji. Yale był nie tylko bogaty, ale i niezwykle sprytny w interesach ...

choć wciąż nie zadał sobie trudu, by kupić kapelusz, co przyprawiało jego brata o zniecierpliwienie.

Tego wieczoru Samanta długo leżała w łóżku i nie mogąc zasnąć, czekała na Yale'a. Wemknął się do środka chyba około północy. Pachniał dymem tytoniowym; domyśliła się, że spędzał czas w jadalni.

Słyszała, jak pośpiesznie się rozbiera. Sięgał po poduszkę, kiedy wymówił jego imię.

Przerażony, wydał zduszony okrzyk i cofnął się o krok. Był rozebrany do pasa, miał na sobie spodnie. - Samanta?

- Tak?

- Udało ci się mnie przestraszyć. Nie spodziewałem się, że jeszcze nie śpisz. - Rzucił poduszkę na podłogę. - Czy mogę wziąć kołdrę?

- Oczywiście.

A więc nie planował kolejnej próby uwiedzenia. Sama już nie wiedziała, czy się z tego cieszy, czy też jest trochę zła.

Poczekala, aż przygotował sobie poślanie, po czym powiedziała:

- Twój brat był bardzo zadowolony, że poświęciłeś mu trochę czasu.

- Cieszę się, że udało mi się go zadowolić - odpowiedział, kończąc swoją wypowiedź potężnym ziewnięciem.

- Jest od ciebie starszy.

- Aha.

Poruszyła się niespokojnie.

- Powiedział, że się prawie w ogóle nie znacie.

Zobaczyła głowę Yale'a nad brzegiem łóżka. Miał brwi ściągnięte ze złości.

- O co ci chodzi, Samanto? Czy masz zamiar mnie przesłuchiwać na temat mojej rodziny?

- Po prostu jestem ciekawa - odpowiedziała potulnie.

- Ciekawa. - Zastanawiał się nad czymś przez chwilę, po czym westchnął. - Prawdę mówiąc, mogę ci coś o nich powiedzieć, bo będziesz z nimi spędzać mnóstwo czasu. Wtedy zrozumiesz, jak absurdalne są wyobrażenia Waylanda o zgranej wielkiej rodzinie.

Położył się, podłożywszy ręce pod głowę. Samanta przeniosła poduszkę i przesunęła się na brzeg łóżka, by lepiej słyszeć.

- Prawda wygląda tak, że wcale nie jesteśmy sobie bliscy zaczął Yale. - Moja matka była drugą żoną ojca. Ożenił się z nią, by Wayland i Twyla - poznasz ją w Londynie - mieli matkę. Ale na pewno mile łechtało jego próżność to, że ożenił się z dużo młodszą kobietą. Moja matka była córką barona, który kupił sobie tytuł, ale prezentowała się tak wspaniale, że została okrzyknięta atrakcją sezonu.

Znając starego księcia, Samanta nie była zdumiona tym, co usłyszała.

Książę zawsze lubił ładne kobiety.

- A ty faworyzowałeś matkę, prawda? - zapytała.

- Tak. Oczywiście, nie wyszło mi to na dobre. Było to fatalne małżeństwo. Matka i ojciec mieli różne zdania na każdy temat. Wayland nie występował przeciwko matce, ale Twyla jej nienawidziła. Musiała mieć wtedy jakieś siedem albo osiem lat. Co gorsza, matka nigdy nie dojrzała i nie stała się dorosłą kobietą. Nawet ja to zauważałem. Ciągłe ktoś musiał się nią opiekować. Oczywiście miała służbę ... wszystko zrozumiesz, kiedy zobaczysz dom w Londynie. Nawet służący zachowują się tam tak, jakby to oni mieli służących ... ale i tak domagała się, żeby ojciec nieustannie poświęcał jej czas, a on nie mógł znieść jej głupiej paplaniny.

- To nie był w niej zakochany?

- Zakochany? A cóż to za dziwne pojęcie? - Umilkł na chwilę. - Prawda, zapomniałem .... ty przecież wierzysz w miłość.

- A ty nie?

- Rzadko wierzę w coś, czego nie mogę dotknąć, skosztować albo zobaczyć.

Poruszyła się niespokojnie.

- A uczucia?

- Uczucia kłamią, Sam - odpowiedział brutalnie. - Pamiętasz, kiedy pomyślałaś, że mnie kochasz?

Pamiętała ... i musiała przyznać, że Yale ma rację. Mocniej ściskając poduszkę, poprosiła:

- Dokończ swoją opowieść.

- Nie mam już wiele do powiedzenia na ten temat. Ojciec miał nadzieję, że matka da mu synów. Dała mu jednego, a ponieważ cenił rozsądek i inteligencję, żona szybko go znudziła. Po moich narodzinach ignorował ją, aż umarła na tyfus, kiedy miałem sześć lat. Koniec opowieści.

Lecz Samanta usłyszała w tej rodzinnej historii to, czego Yale jej nie powiedział.

- Było mi bardzo ciężko po śmierci mamy w zeszłym roku. Nie potrafię sobie wyobrazić, co bym przeżywała, gdybym utraciła ją w dzieciństwie. - Znajdowała się teraz tak blisko brzegu łóżka, że widziała twarz Yale'a.

Wzruszył ramionami, wpatrzony w ogień w kominku.

- Straciłem nie tylko matkę. Natychmiast zostałem wysłany do szkoły z internatem. Ojciec nie życzył sobie żadnych wspomnień po tym małżeństwie. Poza tym nigdy nie byłem taki, jakim chciał mnie widzieć.

- To znaczy?

- Cóż to by mogło być innego, jak nie kopia Waylanda?

Wayland zawsze posłusznie spełniał wolę ojca i nigdy mu się nie sprzeciwiał.



- A ty nieustannie to robiłeś? Yale przytaknął burknięciem.

- W końcu doświadczenie nauczyło mnie, że nie należy igrać z ogniem. Oczywiście teraz, kiedy jestem starszy, lepiej rozumiem ojca. Miał rację w wielu sprawach, szczególnie tych dotyczących mnie. - Uśmiechnął się do Samanty. - Nazywał mnie marzycielem. W jego mniemaniu była to najgorsza obelga. Zawsze powtarzał, że marzyciele to głupcy.

- To nieprawda. - Samanta uniosła się na łokciu, przerzucając włosy przez ramię. - Na przykład ja zazdroszczę marzycielom. Potrafią sobie wyobrazić różne rzeczy i widzieć świat lepszym. Mój ojciec był marzycielem. A ja zawsze robiłam to, co do mnie należało. Choćbym nie wiem jak się starała, potrafię myśleć tylko praktycznie.

- Ludzie się zmieniają, Sam. To trudne, ale wykonalne. Popatrz na mnie. Jestem teraz chodzącym realistą.

- I nie mówisz już marzeń?

- Nie przyznaję się do tego.

- Ciężko ci było żyć na własny rachunek?

- Nie tyle ciężko, co samotnie. To odpowiedniejsze słowo. Kiedy ojciec opublikował w gazetach decyzję o wydziedziczeniu mnie, wszyscy moi przyjaciele nagle się ulotnili. Gospodarz wyrzucił mnie z mieszkania. Nawet kochanka mnie porzuciła.

Samanta wodziła palcem po sienniku.

- Tak właśnie się czułam, kiedy ludzie ze Sproule chcieli, żebym opuściła wikałówkę. Wciąż jestem wściekła, kiedy pomyślę, jak mnie potraktowali. Jak sobie z tym poradziłeś? - Upiłem się i zaciągnąłem na statek handlowy, płynący na Morze Chińskie. Nie polecam ci tego sposobu radzenia sobie z problemem.

Uśmiechnęła się.

- Nie potrafię sobie wyobrazić siebie w roli marynarza.

- Nie mogłem się wycofać. Kiedy wytrzeźwiałem i dotarło do mnie, co zrobiłem, chciałem opuścić statek. Wtedy zostałem solidnie pobity za próbę ucieczki.

Samanta westchnęła z przejęciem. Yale pokręcił głową.

- To była najlepsza rzecz, jaka mogła mi się przydarzyć. Byłem idealistą, który nie miał pojęcia o świecie. Tej nocy, liżąc rany, postanowiłem wszystkim udowodnić, że bardzo mylili się co do mojej osoby. Obiecałem sobie, że znajdę swoje miejsce w świecie, i to mi się udało.

Ziewnął i potarł twarz dłonią, jednak Samanta w ogóle nie czuła senności; rozważała jego słowa.

Podparła się na rękę.

- Dlaczego wróciłeś do Anglii?

- Co masz na myśli?

- Dlaczego wróciłeś właśnie teraz.

Przez chwilę miała wrażenie, że jej nie odpowie, ale po dłuższym milczeniu odezwał się:

- Chciałem pokazać ojcu, że jestem wartościowym człowiekiem. - Wykrzywił wargi w gorzkim uśmiechu. - Miałem zamiar wpłynąć moim statkiem na Tamizę i zaprosić go na pokład. Chciałem, żeby zobaczył, że jestem bogaty, i uznał, że mylił się w swojej ocenie. Ale to wszystko na nic - dodał cicho. - To wszystko nie ma znaczenia, skoro ojciec nie żyje.

Samanta dotknęła jego ręki. Miał ciepłą, gładką skórę.

- Był z ciebie dumny - wyszeptala. - Pogrążył się w głębokiej żalobie, myśląc, że nie żyjesz. Często przychodził do wikarówki i rozmawiał o tobie z moim ojcem. Kiedyś podsłuchiłam ich rozmowę.

Yale wpatrywał się w sufit. Samancie wydało się, że widzi Izy w jego ciemnych oczach.

- Śpij, Sam - powiedział. - Jutro musimy dojechać do Londynu. To będzie ciężki dzień.

Lecz Samanta nie mogła zasnąć. Lubiła szczere rozmowy z Yale'em. Westchnęła.

- Co się dzieje, Sam? - zapytał cichym, poirytowanym głosem.

- Skąd wiedziałeś, że nie śpię?

- Twoje przewracanie się na łóżku za chwilę doprowadzi mnie do szaleństwa. - Znów ziewnął; tym razem mu zawtórowała. - Czemu nie śpisz? - zapytał.

- Myśli nie dają mi spokoju.

Uśmiechnął się smutnie.

- Znam pewien sposób na pozbycie się dokuczliwych myśli. Podciągnęła nakrycie aż pod brodę.

- Masz zostać na podłodze.

Roześmiał się.

- Powiedz mi, co cię tak niepokoi.

Nie miała zamiaru mówić mu, że po prostu lubi z nim rozmawiać. Pomyślałby, że jest idiotką.

- To z powodu Londynu? - zapytał. Było to wygodne wytłumaczenie.

- Tak - odpowiedziała. - Nigdy nie wybrałam się dalej niż do Morpeth. Nie mam pojęcia, jak może wyglądać życie w tak wielkim mieście.

- W takim razie ci o nim opowiem. No, przynajmniej o tym, jak ja to pamiętam.

Zaczął mówić cichym, łagodnym tonem. Opowiadał jej o ulicach, szczególnie o tych prowadzących do Penhurst, londyńskiej rezydencji Ayleborougha. Przeprowadził ją przez frontowe drzwi i ukazał wykładany marmurem westybul oraz ciężki zyrandol, w którym znajdowały się setki

świec. Przekazał jej wrażenia z ostatniego balu, w którym uczestniczył, wydane na cześć jego brata i Marion wkrótce po ich ślubie.

Uśmiechnęła się.

- W twoim opowiadaniu wszystko wygląda wspaniale.

Zastanawiam się, jak mogłeś to wszystko zostawić.

- No tak, przecież ty nie wiesz, jak pięknie jest na Cejlonie.

- Opowiedz mi - poprosiła.

Odkąd znów postawił stopę na brytyjskiej ziemi, Samanta była pierwszą osobą, która zapytała go o ten okres jego życia.

- To cudowne miejsce - zaczął. - Wyspa jest starsza niż Brytania i bardzo zacofana. - Opisał jej skalną fortecę Sigiriya z olbrzymimi rzeźbami lwich łap strzegącymi wejścia.

- Lwie łapy są wyższe od dwóch mężczyzn, z których jeden stoi na ramionach drugiego.

- Kto zbudował coś takiego?

- Nie znam dokładnie całej historii - powiedział. - Ale Cejlon to starożytne państwo, pełne różnych tajemnic. Zaraz potem opowiedział jej o tym, jak pływał w jezioru w środku lasu tropikalnego, utworzonym przez zapierający dech w piersiach wodospad.

- Są tam trzy wodospady - powiedział. - Jeden większy od drugiego.

- To musi być wspaniale - wyszeptała.

- Owszem.

- A jest tam tak ciepło, że można pływać cały czas?

- Przez cały rok.

Ukołysana ciepłym, głębokim tonem jego głosu, poczuła, że ciężą jej powieki. Yale widział, że oczy jej się zamykają i zapada w sen. To dziwne, ale do tej pory nie zdarzyło mu się jeszcze spędzać czasu z kobietą, tak zwyczajnie z nią rozmawiając. Kobiety pełniły dotąd w jego życiu jedną, ściśle określoną rolę, lecz córka pastora zaczynała wszystko zmieniać. Czy mu się to podobało, czy nie, liczył się z jej zdaniem.

Pierwszego dnia ich podróży omal nie oszalał z zazdrości, widząc, że Samanta woli towarzystwo jego brata. To właśnie dlatego kupił tego przekłętego konia. Chciał im pokazać, że jest człowiekiem zamożnym ... i podkreślić swoją niezależność.

Problem polegał na tym, że choć nie potrzebował konia, podobnie jak i żony, zaczynał przywiązywać się do obojga.

Delikatnie dotknął jej palców. 'Zgięły się pod wpływem jego dotyku. Zastanawiał się, czy podobała mu się właśnie z powodu swej czupurności. A może igrała tak z nim dlatego, że wiedziała, iż mu się to podoba?

Położył się i wetknął poduszkę pod głowę. Nie był pewien, czy chce znać odpowiedź.

## 11

Następnego ranka Samanta obudziła się z twarzą wtuloną w puchową poduszkę, na której spał Yale. Głęboko wciągnęła powietrze, natychmiast rozpoznając jego zapach - męski, tajemniczy, niepowtarzalny.

Yale'a już nie było w pokoju. Musiała się obudzić, kiedy zamykał drzwi. Kołdrę znalazła na łóżku.

Leżała, wyobrażając sobie, jak Yale otula ją kołdrą. Rozmyślenia przerwało mocne pukanie do drzwi. Służąca Langston, przydzielona jej poprzedniego wieczoru, weszła do pokoju, nie czekając na wezwanie.

- Czas wstawać, milady - stwierdziła zdecydowanym tonem. - Jego Łaskawość zamierza wyjechać o świcie. Chce jak najszybciej znaleźć się w Londynie.

Samanta pokiwała głową i opuściła nogi na podłogę. Milady.

Nie wiedziała, czy kiedykolwiek przyzwyczai się do tej formy. Czowała się jak oszustka. Nie jak żona, a już na pewno nie jak dama.

A może udzielała jej się postawa męża, który za wszelką cenę chciał uchodzić za człowieka z ludu?

Langston skrzywiła się, wyjmując z szafy czarną suknię Samanty. Nie odezwała się ani słowem, lecz Samanta domyśliła się, że zamożne kobiety nie noszą ubrań z grubej czarnej bawełny. Samanta uszyła ją sama w zeszłym roku, tuż po pogrzebie matki. Nawet jej samej ta suknia wydawała się niemodna.

Miała ochotę włożyć suknię ślubną, ale rozsądek ostrzegał, że może w niej zamarznąć.

- W Londynie - powiedziała Langston, czyszcząc suknię szczotką - powinna pani zwrócić się do księżnej z prośbą o nową garderobę. Jej Łaskawość obraca się w najwyższych kręgach. Radziłabym udać się na Oxford Street do madame Meilleur. Może pani powołać się na mnie.

Samanta poczuła ściskanie w żołądku. Jeśli służący byli tak wyniośli, to czego należało spodziewać się po księżnej? Żałowała, że nie towarzyszy jej miła Jenny, a nie Langston, która tak doskonale zdawała sobie sprawę ze wszystkich niedociągnięć Samanty.

- I jeszcze jedno, milady - powiedziała Langston, pomagając Samancie włożyć suknię. - Pochodzi pani z Północy, a kobiety stamtąd czasami mają niefortunny akcent. Może to sprawić, że stanie się pani pośmiewiskiem w eleganckim towarzystwie, które nie darzy podziwem Szkotów ani północnego akcentu.

Samanta poprawiła spódnice sukni. Langston uśmiechnęła się. - Mówię

to wszystko jedynie dla pani dobra. Czy życzy pani sobie, żebym ją uczesała według wymogów najnowszej mody?

- T ... tak, proszę - bąknęła Samanta, wsłuchując się w swój akcent. Usiadła przy toalecie.

Langston zrećnie rozdzieliła grzebieniem włosy Samanty i upięła je w dwa duże węzły nad uszami.

Samanta z przerażeniem wpatrywała się w lustro.

- Proszę, zaczekaj chwilę, nie wiem, co mam o tym sądzić.

- To najnowszy styl, milady - odpowiedziała Langston, wpinając we włosy ostatnią szpilkę. - Przecież chyba nie chce pani wyglądać niemodnie?

Samanta zobaczyła w lustrze karcący wzrok służącej.

- Ale czy to przypadkiem nie wygląda głupio? - nieśmiało zgłosiła swą wątpliwość. Uważała, że wygląda jak owca.

- Nie podoba się pani najnowsza moda? - zapytała z niedowierzaniem Langston. - Uważam, że teraz wygląda pani dużo bardziej interesująco.

Samanta nie wiedziała, co począć. Przyglądała się swemu odbiciu w lustrze.

- Może z czasem przyzwyczaję się do tej fryzury ... naprawdę jest modna? - Popatrzyła na Langston, oczekując na jej potwierdzenie.

- Jestem pewna, że księżna Ayleborough czesze się właśnie w tym stylu - odpowiedziała Langston.

Samanta widziała księżną tylko raz, na pogrzebie starego księcia. Księżna powiedziała parę słów do niej i do jej ojca. Niestety, była spowita czarnym woalem i Samanta nie widziała jej twarzy, a tym bardziej włosów. Niemniej jednak mieszkańcy wioski przez kilka następných dni nie rozmawiali o nikim innym.

Chociaż Samanta chodziła we własnoręcznie szytych ubraniach, chciała wyrzeć dobre wrażenie na swojej szwagierce. Przechyliła głowę. Tym razem uczesanie nie wydało się jej takie straszne.

- Dziękuję, Langston. Dziękuję ci za cenne rady.

- Milady, może mogłaby pani polecić mnie księciu? Właśnie szukam dobrej posady.

Samanta z przerażeniem popatrzyła na wyniosłą służącą, lecz po chwili zauważyła, że Langston unika jej wzroku i jest nienaturalnie sztywno wyprostowana. Miała przed sobą samotną, niepewną swego losu kobietę. Doskonale rozpoznała te obawy, lecz myśl o tym, że Langston może stale jej towarzyszyć, przyprawiała ją o lęk. Mimo to nie potrafiła odmówić pomocy kobiecie w trudnej sytuacji.

- Pomyślę o tym.

Najwyraźniej Langston nie oczekiwała od niej niczego więcej, ponieważ rozluźniła się i władczym tonem nakazała Samancie pośpieszyć na

spotkanie z księciem.

Samanta chwyciła pelerynkę i kapelusz, zadowolona, że wyzwoli się od irytującego towarzystwa.

Kiedy Langston zaproponowała, że zaprowadzi milady do jadalni, Samanta zapewniła ją, że doskonale zna drogę, czując wielką potrzebę uwolnienia się od przemądrzałej służącej. Wyszła, zanim Langston zdążyła odpowiedzieć.

Ostrożnie zstępowała ze schodów, mając wrażenie, że szpilki lada chwila wysuną się z włosów, które wydawały się jej bardzo ciężkie. Na szczęście rano w gospodzie było bardzo spokojnie i tak cicho, że znalazłszy się na dole, usłyszała podniesione głosy dochodzące z pokoju księcia. Wieczorem pośpiesznie zjedli tam kolację.

- Masz obowiązki w Anglii! - krzyczał Wayland. - Nawet mi nie mów o swoim wyjeździe i o tym, że zostawisz to wszystko na mojej głowie!

Zatrzymała się przed drzwiami, z ręką na klamce.

- Zostałem wydziedziczony - odpowiedział Yale. W jego głosie nie było żarliwości i przejęcia brata. - Nie mam tu domu. Mój dom, praca ... wszystko znajduje się na Cejlonie.

- Może kiedyś tak było. Ale teraz wróciłeś.

- Wayland, ja nie chcę zostać w Anglii.

- W takim razie po co tu wracałeś?

- Przyjechałem spotkać się z ojcem. Ale mam zamiar wyjechać. Mam swoje pieniądze, swoje życie. Tytuł absolutnie nie jest mi potrzebny do szczęścia. Mój udział został wykorzystany przed laty na wyciągnięcie mnie z długów.

- Jesteś potwornym głupcem!

- Tutaj mogę się z tobą zgodzić - odpowiedział spokojnie Yale.

Samanta nie miała pojęcia, w jakiej odległości od drzwi znajduje się jej mąż, dopóki nagle ich nie otworzył. Wciąż trzymając gałkę, wpadła do pokoju, w ostatniej chwili ratując się przed upadkiem na podłogę.

Zarumieniła się, zakłopotana, że została przyłapana na podsłuchiwanie.

- Dzień dobry, Sam - powitał ją Yale, jakby nic się nie stało. - Widzę, że zmieniłaś uczesanie. Nie podoba mi się ta fryzura. Wyglądasz w niej śmiesznie.

Natychmiast straciła przychylne nastawienie do niego. Dumnie uniosła głowę.

- To najmodniejsza londyńska fryzura.

- Ach, tak. .. - Urwał i posłał wymowne spojrzenie bratu. - Nigdy nie przestrzegalem mody. Idę doglądać Bestii, zaczekam na was na zewnątrz.

Wyszedł.

Stojący na środku pokoju Wayland odprowadził go wzrokiem i jego

usta wygięły się w grymasie niezadowolenia. Samanta miała ochotę powiedzieć, że tak naprawdę to Wcale nie podsłuchiwała ... ale zabrzmiałoby to bardzo głupio, więc postanowiła się nie odzywać.

Fenley zamknął drzwi, po czym wziął od niej kapelusz i pelerynkę.

- Czy ma pani ochotę na kielbaski i jajka, milady?

- Poproszę - powiedziała szybko i usiadła przy stole.

Wayland milczał, ale usiadł na krześle naprzeciwko niej.

Pograżony w rozmyślaniach, wpatrywał się w dywan.

Fenley postawił przed Samantą talerz; zabrała się do jedzenia.

Odkroiła kawałek kielbaski i już miała włożyć go do ust, kiedy Wayland wybuchnął:

- Przecież to śmieszne!

Samanta popatrzyła na Fenleya, który uniesieniem brwi dał jej do zrozumienia, że sam nie wie, czego mogą się spodziewać.

- Niezależnie od tego, co osiągnął - kontynuował Wayland powinien zrozumieć, że proponuję mu znacznie więcej. A poza tym, jesteśmy przecież rodziną. - Spojrzał na Samantę, jakby oczekiwał od niej potwierdzenia tych słów.

Domyśliwszy się, że oczekuje odpowiedzi, szepnęła:

- To prawda.

Wayland wstał i zaczął nerwowo przemierzać pokój.

- Przecież nie proszę go o zbyt wiele. Ma obowiązek pomóc rodzinie. Ale czy zdaje sobie z tego sprawę? Oczywiście, nie! Upiera się, że chce żyć po swojemu. Chce wyjeżdżać, ilekroć przyjdzie mu na to ochota, zostawiając wszystko na mojej głowie.

Samanta jadła powoli, nie wiedząc, co powiedzieć. Wayland popatrzył na nią.

- Bycie księciem nie jest wcale takie łatwe i przyjemne - wyznał szczerze. - Chciałbym, żeby pomógł mi ktoś bystry, taki jak mój brat. Wyobraź sobie, że Yale jest armatorem. W dzieciństwie lekcewał lekcje łaciny, ale ma smykałkę do interesów, którą doskonale mógłby wykorzystać z pożytkiem dla rodziny.

Przełknęła z trudem.

- A wasza siostra? Przecież jest zameżna. Czy jej mąż nie mógłby pomóc?

- Ten gamoń! - Natychmiast pożałował swoich słów. Proszę, nie mów jej, że tak się wyraziłem. Uważa, że jest wspaniały i świata poza nim nie widzi, ale ja mu nie ufam. To człowiek zbyt małego formatu. Poza tym, Samanto, chodzi o więzy krwi. Yale nie zwróci się przeciwko mnie, bo jesteśmy braćmi. Rozumiesz?

- Nie chodzi o to, czy rozumiem, Wasza Łaskawość, tylko o to, jaki

pogląd na tę sprawę ma Yale.

- Owszem - przyznał Wayland. - Ale najbardziej boję się tego, że kiedy wyjedzie po raz drugi, nigdy już nie wróci. - Zamilkł, kontynuując swą wędrówkę po pokoju z założonymi do tyłu rękami.

Samanta straciła apetyt i odłożyła sztućce na talerz.

O wiele łatwiej byłoby jej się z wszystkim pogodzić, gdyby zeszłej nocy nie odbyła z Yale'em tak szczerej rozmowy. Wciąż wygodniej było jej myśleć o nim jako o łajdaku.

Z drugiej strony ... starannie owinęła ciepłarnianą różę w serwetkę.

Jej rozmyślania przerwał głos księcia.

- Samanto, wydaje mi się, że dobrze się wam układa z moim bratem?

Spojrzała na niego; w jej oczach pojawiła się czujność. Była również pewna, że Fenley nastawił uszu.

- Co masz na myśli, zdając sobie sprawę, że mnie oszukał i że zamierza mnie opuścić?

- Ach, o to ci chodzi - rzekł Wayland. - No cóż, może początki waszego małżeństwa nie należały do łatwych, ale jesteście sobie bliscy, prawda?

Samanta wyprostowała się w krześle.

- Wciąż nie jestem pewna, o co ci chodzi.

Wayland usiadł naprzeciwko niej, oparł dłonie o stół i wychylił się do przodu.

- O bliskość. Byliście już ze sobą blisko, chyba się nie mylę?

Samanta poczuła, że płoną jej policzki. Chrząknęła.

- Jakoś sobie radzimy. - Nie miała zamiaru szczegółowo zwierzać się Waylandowi.

Księżę uniósł brwi.

- Ej, Samanto, na pewno nie tylko „jakoś sobie radzicie”.

- Naprawdę nie wiem, co masz na myśli - powiedziała, udając mało rozgarniętą.

- Dziedzic Biggers mówił, że podłoga trzęsła się pod warni. Samanta szeroko otworzyła usta ze zdumienia. Była zaskoczona, że księżę porusza takie tematy. Spojrzała przez ramię na Fenleya, który wydawał się niezwykle zajęty oglądaniem płamki na jednym ze srebrnych talerzy.

- To niezupełnie było tak - najeżyła się.

- Słyszano was.

- Co słyszano? - zapytała, niemal bojąc się odpowiedzi.

- Najwyraźniej w swojej radości zachowywaliście się dość hałaśliwie - rzekł Wayland. - Cóż, to się zdarza.

Samanta miała ochotę zapaść się pod ziemię. Bezgłośnie poruszyła ustami.

Wayland ujął jej dłoń.



- Widzę, że wprowadziłem cię w zakłopotanie, choć nie miałem takiego zamiaru. Chciałem tylko porozmawiać z tobą szczerze, bo zamierzam poruszyć bardzo delikatny temat.

- Nie wiem, czy będę w stanie zdobyć się na większą szczerotę, Wasza Łaskawość. - odpowiedziała szczerze.

Popatrzył na Fenleya i dał mu znać, by wyszedł. Kiedy za służącym zamknęły się drzwi, zapytał:

- Czy ty i mój brat... - Urwał, jakby chciał jak najstaranniej dobrać słowa - kochaliście się w podróży? Teraz chyba już wiesz, o co cię pytam, prawda?

Samanta poczuła, że brak jej tchu. Chciała cofnąć rękę, ale Wayland trzymał ją mocno.

- M ... myślę, że nie muszę odpowiadać na to pytanie.

Wayland zmarkotniał.

- Rzeczywiście, nie musisz. Do diabła, tego właśnie się spodziewałem.

- O co ci chodzi? - zapytała, szczerze zdziwiona.

- Mój brat jest bardzo niespokojny, jest w nim jakaś niezdrowa energia ... to kazało mi się zastanowić, czy jest, hmm, zaspokojony, czy nie.

Samanta nie musiała już pytać, co znaczy słowo „zaspokojenie”. Czyżby rzeczywiście wszyscy mężczyźni myśleli tylko o jednym?

Wayland uwolnił jej dłoń i opadł na oparcie krzesła.

- Kiedyś też byłem młodym żonkosiem i dobrze pamiętam siłę pożądania w tamtych dniach. Wczoraj zaproponowałem Yale'owi; żebyście pojechali osobnym powozem, ale odmówił. - Osobnym powozem?

- Tak Kto nie kochał się w dobrze resorowanym powozie, ten nie wie, co to znaczy kochać się naprawdę.

Po tych śmiałych słowach wyobraźnia Samanty zaczęła pracować w przyspieszonym tempie. Wstała.

- Chyba jesteś zbyt szczerzy.

Wayland również wstał.

- Przepraszam, widzę, że cię rozzłościłem, a nie było to moim zamiarem. Zapomniałem, jak ciche i spokojne było dotychczas twoje życie.

- To nie ma nic do rzeczy! Możesz być głową rodziny, ale to, co dzieje się między Yale'em a mną, nie powinno cię w ogóle obchodzić.

Uśmiechnął się.

- Kiedy zwracasz się do mnie w ten sposób, przypominasz mi mojego samowolnego, niezależnego brata.

Samanta postanowiła zmienić temat.

- Chyba powinniśmy już jechać. - Sięgnęła po kapelusz i pelerynę na wieszaku przy drzwiach i zmierzała do wyjścia, lecz zastąpił jej drogę.

- Rzeczywiście czas ruszać ... ale najpierw chciałbym cię o coś prosić,

Samanto, i jest to dla mnie tak ważna sprawa, że konie mogą chwilę poczekać.

- O co chodzi? - zapytała, bojąc się odpowiedzi.

- Usiądź, proszę - zwrócił się do niej i nie odezwał się, dopóki nie spełniła polecenia.

Przykucnął obok.

- Tylko ty możesz mieć wpływ na Yale'a. Omal się nie roześmiała.

- Yale chce uwolnić się ode mnie tak jak i od ciebie, Wasza Łaskawość.

- Ale ty możesz wszystko zmienić. - Znów ujął jej dłoń. Widzisz, myślę, że Yale chciałby być z tobą bardzo blisko.

- Yale chciałby być blisko z każdą kobietą - zauważyła cierpkim tonem.

- Nie oszukuj się, Samanto. Jest znacznie bardziej wybredny, zawsze zresztą był.

- Czyżby? W takim razie dlaczego został wydziedziczony? Tym razem Wayland gwałtownie zmienił się na twarzy.

- A, to już jest zupełnie inna historia, do opowiedzenia kiedy indziej, moja droga.

Samanta przekrzywiła głowę i przez chwilę uważnie przyglądała się bratu Yale'a.

- Słyszałam, że z powodu kobiet.

- Tak, ale czy miałyby to znaczenie, nawet gdyby uganiał się za całym ich stadami? To wszystko wydarzyło się wiele lat temu. A poza tym ojciec nie wydziedziczył Yale'a z powodu jego nadmiernego zainteresowania płcią nadobną. W takim razie powinien był raczej wydziedziczyć mnie. Nie, ojciec był załamany ilością pieniędzy, jakie Yale roztrwonił. Lecz mój brat bardzo się zmienił. Gdyby było inaczej, nigdy nie udałoby mu się zostać armatorem.

Zamyśliła się na chwilę. Musiała zmienić swoje zdanie na temat szwagra. Sporą trudność sprawiało jej wyobrażenie go sobie w roli bawidamka.

- Wiem, że nie zawarłście małżeństwa z miłości, ale nie podzielałam twojego zdania, że jesteś mu obojętna.

Samanta wpatrzyła się w niego z uwagą.

- Dlaczego tak myślisz?

- Ponieważ widziałem, jak na ciebie patrzy, Samanto. Jestem mężczyzną i dobrze wiem, co się z nim dzieje. Gdyby nie ty, nie jechałby teraz z nami do Londynu.

- Ale nie potrafię wpłynąć na niego, żeby został. Pierwszego ranka po ślubie powiedział mi, że zamierza wyjechać i na pewno nie zmienił zdania.

- Ale jak dotąd nie wyjechał - zauważył Wayland i zniżył głos do szeptu. - Czuję, że jeśli tylko spróbujesz odwieść go od tego zamiaru, na pewno ci się to uda.

Spojrzała na swoje ręce, którymi nerwowo zginała materiał sukni.

- Nie byłabym tego taka pewna.

Wayland położył rękę na oparciu jej krzesła.

- Przyznaję, że popełnił wielki błąd, zeniąc się z tobą pod fałszywym nazwiskiem i tak dalej. Ale od biedy można go wytłumaczyć. Proszę, spróbuj mnie zrozumieć. Chciałbym za wszelką cenę utrzymać rodzinę. Przeżyłem już tak wiele lat bez mojego brata, że nie mam zamiaru przeżywać następnych .. Potrzebuję go. Nasz majątek go potrzebuje.

Wciąż trzymając ją za rękę, pogłaskał kciukiem wewnątrz jej dłoni.

- Chciałbym, żebyś wyświadczyła mi pewną przysługę ... znając twój charakter obawiam się, że niełatwo będzie ci spełnić moją prośbę. Niemniej postanowiłem cię o coś poprosić, ze względu na dobro rodziny.

Wstrzymała oddech.

- Chciałbym, żebyś rozkochała w sobie mojego brata. Samanta omal nie spadła z krzesła.

- Oszalałeś? - Wykrzyknęła. - Yale jest ostatnim człowiekiem, którego by można wodzić za nos.

- Och, nie. - Wayland roześmiał się. - Wszyscy łatwo dajemy sobą kierować, jeśli dostaniemy odpowiednią przynętę. Jeśli się nie mylę, mój brat jest tobą oczarowany. Obudziłaś w nim rycerskość. Wystarczy odrobina ciepła z twojej strony, a pójdzie za głosem rozsądku.

- Ciepła?

Ich spojrzenia się spotkały.

- No wiesz, żeby podłoga się trzęsła.

Samanta wstała, nim zdołał ją powstrzymać. Przeszła przez pokój.

- Czy zdajesz sobie sprawę, o co prosisz?

- O nic więcej niż to, co już mu dałaś - odpowiedział aż nazbyt dosadnie. - I co Kościół uważa za twój obowiązek.

Stała tuż przed nim.

- Nie mogę tego zrobić. Chodzi mi o zasady i wartości. tego, co mówiłeś na temat swojej żony, wnioskuje, że dobrze rozumiesz te sprawy.

Wayland wstał.

- Owszem ... ale to dotyczy rodziny. Yale nie jest już nieobliczalnym dziewiętnastoletnim młodzieńcem. Jest człowiekiem godnym szacunku. Chcę, żeby został w Anglii. Flotyła statków nie jest mu potrzebna do szczęścia. Tymczasem majątek Ayleboroughów i wszystkie wiążące się z nim przedsięwzięcia i obowiązki wymagają ogromnych starań. Yale może mi pomóc zapewnić bezpieczną przyszłość rodzinie na wiele pokoleń. Moi synowie go potrzebują. Twoje dzieci także będą go potrzebowały. Zrobię wszystko, żeby powstrzymać go od wyjazdu z Anglii.

Samanta przyłożyła dłoń do brzucha. Dzieci. Być może już nosi w

sobie dziecko Yale'a. Co mu powie, kiedy dorośnie i zapyta, gdzie jest jego ojciec? Wayland zwrócił jej uwagę na niezmiernie istotną kwestię. Nazwisko Carderock będzie przysługiwało dziecku z tytułu urodzenia.

Jednakże miała swoją dumę i swoje zasady.

- Wasza Łaskawość - powiedziała głosem lekko drżącym z emocji - rozumiem, że chciałbyś, żebym złożyła z siebie ofiarę na ołtarzu twoich życzeń. Ale twoja prośba to kpina z sakramentu małżeństwa. Yale nie miał zamiaru dotrzymać przysięgi. Zawsze, od początku, miał zamiar mnie opuścić. Nie chcę błagać go, żeby został, i w żadnym razie nie będę go uwodzić.

Książę zacisnął wargi w wąską kreskę. Zastanowił się nad tym, co powiedziała, po czym podszedł do niej.

- Samanto, twoje poczucie honoru, aczkolwiek godne podziwu, jest nieco irytujące. Nie przywykłem do tego, by mi odmawiano, kiedy składam rozsądną propozycję. Otwieram przed tobą drzwi mojego domu. Traktuję cię jak siostrę. To, że w zamian za to nie chcesz mi pomóc ... - urwał, szukając odpowiednich słów - sprawia mi wielki ból.

Samanta poczuła, że serce zamiera jej w piersi.

- Muszę być wierna sobie.

- Nonsens. Każdy z nas musi czasami ofiarować się dla dobra ogółu.

- A co będzie, jeśli uznam, że nie mogę spełnić twojej prośby? - zapytała słabym głosem.

- Dlaczego chcesz mi odmówić? - zapytał książę uprzejmie, lecz Samanta wyczuwała, że między nimi tworzy się coraz większa przepaść. - Moim zadaniem jest utrzymanie rodziny w zgodzie. Już od pokoleń to zadanie przypada księciu Ayleborough. Mój ojciec był bardzo zdolnym człowiekiem. Jego mądre inwestycje zbudowały finansową potęgę rodziny, ale po wyjeździe Yale' a miał poczucie życiowej klęski. Jeżeli mój brat wyjedzie po raz drugi, również ja uznam, że poniosłem klęskę. Samanto, czy potrafisz to zrozumieć?

Pokiwała głową, nie ufając swemu głosowi.

- Rodzina jest bardzo ważna, Samanto. Żyjemy na tym świecie między innymi po to, żeby ją założyć. Bez niej życie byłoby jedynie smutną, ponurą egzystencją. - Odwrócił się i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Samanta stała jak wryta. Wayland miał rację. Życie bez rodziny było bardzo smutne. Po roku spędzonym w samotności doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

Yale zaproponował, że kupi jej dom. Nie groziło jej pozostanie bez środków do życia. Nie musiała poświęcać swoich zasad.

Zaraz potem pomyślała o tym, jak ostatniej nocy Yale opisał jej Penhurst, londyńską rezydencję księcia. Przypomniała sobie, że może być w ciąży ... nie chciała, żeby dziecko zostało wzgardzone przez wuja, potężnego

księcia Ayleborough.

Nie chciała też znów zostać sama.

Wayland zwrócił się do niej tonem prośby, jednak jego słowa w istocie były księżęcym rozkazem. Był mężczyzną, któremu nie należało się przeciwstawiać.

Powoli uniosła ręce i zaczęła wyciągać szpilki z włosów, które po chwili spłynęły jej na ramiona. Nie mając lustra, splotła jej w warkocz ... i poczuła się bardziej sobą - prostą Samantą Northrup, niechcianą w wikarówce córką pastora.

Włożyła rękawiczki, sięgnęła po pelerynę i znoszony kapelusz, po czym wyszła z pokoju.

Konie niecierpliwie tupąły nogami. Yale dosiadał Bestii.

Oddechy ludzi i zwierząt tworzyły małe obłoczki pary w mroźnym powietrzu. Fenley podszedł do niej i pomógł włożyć pelerynę.

- Sam, zaczynałem już się obawiać, że nie jedziesz z nami! - powitał ją Yale.

Księżę siedział już w powozie. Zawiązała pod brodą wstążkę kapelusza.

- Oczywiście, że jadę z wami. A gdzie miałabym się podziać? - Jeśli myślała, że Yale nie zauważy odcienia ironii w jej głosie, była w błędzie.

Yale podjechał do niej i zeskoczył z konia.

- Ty i Wayland bardzo długo zbieraliście się do wyjścia. - Dotknął jej policzka. - Czy coś się stało?

Przez chwilę miała ochotę o wszystkim mu powiedzieć ... ale pomyślała, że to nie ma sensu. Osiągnęłaby jedynie to, że Yale zwróciłby się przeciwko swojemu bratu.

- Musiałam zmienić uczesanie.

Uśmiechnął się i delikatnie przesunął dłonią wzdłuż jej warkocza.

- Lubię, jak jesteś uczesana tak jak wtedy, kiedy obudziłem się po chorobie. Gdyby to ode mnie zależało, powinnaś czesać się tak cały czas.

Czule pogładził ją po szyi, po czym cofnął rękę. Czowała mrowienie wszędzie tam, gdzie ją dotknął.

- Jedźmy już! - krzyknął Wayland z okna powozu. - Chcę, żebyśmy znaleźli się w Londynie przed północą. Niepotrzebnie tracimy czas.

- Nie zwracaj na niego uwagi. Coś go dzisiaj napadło - powiedział Yale na tyle głośno, by jego słowa dotarły do uszu Waylanda.

Księżę chrząknął ze złością i głośno zamknął okno. Yale otworzył drzwi i pomógł Samancie wsiąść.

Przystanęła na stopniu.

- Nie pojedziesz z nami? - zapytała, świadoma tego, że Wayland z uwagą słucha ich rozmowy.

Yale przyglądał się jej przez chwilę. Żałowała, że nie umie czytać w jego myślach.

- Nie - odpowiedział pogodnym tonem. - Lubię rozkoszować się świeżym powietrzem. Pozwala mi patrzeć na wszystko z odpowiedniej perspektywy.

Chciała go zapytać, co miał na myśli, ale zabrakło jej odwagi. Zajął miejsce w powozie. Po niej wsiadł jeszcze Fenley i Yale dał stangretom znak, że czas ruszać.

Atmosfera w powozie bardzo różniła się od sympatycznego nastroju bezpośrednich pogawędek z poprzednich dni. Samanta siedziała w kącie, zatopiona w myślach. Przez chwilę żałowała, że nie jest mężczyzną. Wiele dałaby za to, by nie być materialnie zależną od innych, by nie czuć, że każda okruszyna chleba, każda nitka ubrania, wszystko, czego dotyka, zostało jej łaskawie wydzielone.

Ojciec często powtarzał, że jest nazbyt dumna - rzeczywiście bardzo cierpiała z tego powodu. Jako żona w świetle prawa nie uchodziła za osobę mogącą stanowić o swoim losie; była własnością męża. Tymczasem mąż jej nie chciał... zależało mu tylko na jednej rzeczy.

Przez chwilę zastanawiała się, czy to przypadkiem Yale nie namówił brata do zwrócenia się do niej z nieco dzienną prośbą, odrzuciła jednak tę możliwość. Kłótnia, którą podsłuchiwała, miała zbyt wielki ładunek emocjonalny, by mogła zostać wyreżyserowana.

Co gorsza, trochę brakowało jej bliskości, jakiej wcześniej zaznała z Yale'em. Zamknawszy oczy, przypomniała sobie to wspaniałe uczucie połączenia z silnym ciałem Yale'a. Kołysanie powozu i wspomnienie nieprzyzwoitych uwag Waylanda przywołało na pamięć chwilę; o których raz na zawsze należało zapomnieć.

Wątpliwości i nadzieje zdawały się kręcić w jej głowie jak obracające się koła powozu. W końcu zapadła w sen.

Zatrzymywali się kilka razy. W miarę zbliżania się do Londynu, rosło ożywienie Waylanda, który nie mógł doczekać się spotkania z rodziną.

Wypatrzwszy w jednej z mijanych wiosek sklep z kapeluszami, polecił Fenleyowi wysiąść z powozu i kupić Yale'owi przyzwoity kapelusz.

- Nie może wjechać do Londynu z odkrytą głową.

Fenley pośpieszył, by spełnić jego prośbę. Yale uniósł wzrok ku niebu i zaprowadził Bestię do wodopoju.

- powinieś pójść z Fenleyem i przymierzyć kapelusz - nalegał Wayland.

Yale nie zwrócił uwagi na jego słowa.

Fenley kupił elegancki cylinder. Kiedy wrócił, Yale siedział już na koniu. Sięgnął po kapelusz, serdecznie podziękował bratu za prezent, po czym

wcisnął cylinder na głowę tak mocno, że zakrył brwi, i tak wyjechał z wioski.

- Co za błazen - powiedział pod nosem Wayland, zapukał w ściankę powozu i ruszyli w dalszą drogę.

Było już ciemno, kiedy woźnica obwieścił, że widać już światła Londynu.

Nie zważając na chłód i wilgoć, Samanta otworzyła okno i wychyliła się, ciekawa pierwszego wrażenia z metropolii. Powóz zatrzymał się na niewielkim wzniesieniu. W oddali widać było setki, tysiące punkcików świetlnych. Powietrze pachniało dymem.

Yale zatrzymał Bestię obok powozu. Nałożył teraz nieszczęsny cylinder tak jak należało, nieznacznie na bok, zawadiacko. Prezentował się bardzo przystojnie.

- Sam - powiedział ściszym głosem - oto Londyn, stolica cywilizowanego świata. - W świetle powozowych lamp jego policzki miały złocistą barwę. Wyglądał bardzo poważnie ... i bardzo urodziwie.

- Nie masz się czego obawiać - zapewnił ją, niewłaściwie odczytawszy jej milczenie. - Bądź sobą, bądź taka dzielna jak zawsze, a cały Londyn padnie ci do stóp.

- Chciałabym w to wierzyć - szepnęła.

- Zrobię, co tylko w mojej mocy, żeby tak właśnie się stało.

Na chwilę zatrzymał wzrok na jej ustach i Samanta pomyślała, że gdyby teraz chciał ją pocałować, pozwoliłaby mu na to.

Lecz kiedy nieznacznie wychylił się z siodła, natychmiast się cofnęła, świadoma tego, że nie są sami.

Jeśli Yale to zauważył i jeśli rzeczywiście miał zamiar ją pocałować, nie dał tego po sobie poznać, tylko ruszył przodem.

Powóz pojechał za nim.

Samanta cofnęła głowę i uniosła okienko.

- Wciąż chcesz się oszukiwać, że on nic do ciebie nie czuje? - usłyszała głos Waylanda.

Nie odezwała się.

Proszę cię tylko, żebyś spróbowała, nic więcej. Dla dobra rodziny.

Czy ktokolwiek odmówił kiedyś czegoś księciu, zastanawiała się z goryczą, zbliżając się do Londynu i do nowego rozdziału w swoim życiu.

## 12

Wszedłszy do wykładanego marmurem westybulu w Penhurst, miejskiej rezydencji księcia Ayleborough, Samanta natychmiast zapomniała o zmęczeniu.

Wnętrze było tak wspaniałe, jak opowiadał Yale. Olbrzymi świecznik na środku sufitu rzeczywiście składał się z setek świec. W tej chwili nie paliła się jednak żadna z nich. Zapalono za to świece w kilkunastu kinkietach, których lustrzane tarcze odbijały światło.

Złote ornamenty na suficie stanowiły ramy klasycznego malowidła utrzymanego w żywych barwach. Samanta, niczym wiejska dziewczyna, z otwartymi ustami wpatrzyła się w puciołowatych satyrów, goniących w lesie długowłose nimfy. Las był soczyście zielony, pełne wargi nimf czerwone i kuszące, nagie piersi ukazane w całej okazałości.

- Mój pradziadek miał poczucie humoru - szepnęła jej do ucha Yale.

Poczwała, że płoną jej policzki.

- Nigdy nie widziałam czegoś takiego. Nie powiedziałeś mi o tym.

- Malowidła na sufitach kosztowały go prawie tyle co reszta domu.

Moja matka ich nienawidziła, szczególnie właśnie tego, i z chęcią kazałaby je zamalować, gdyby ojciec jej na to pozwolił. Ale na szczęście żaden mężczyzna o zdrowych zmysłach nie zgodziłby się zamalować tych piękności. Nawet ojciec.

Powiedział to szczerze, bez zastanowienia, a jego wyraźne zafascynowanie kobiecym ciałem wzmogło w Samancie poczucie zaniepokojenia przebywaniem w tak bliskiej obecności tak urodziwego mężczyzny.

Mężczyzny, który pokazał jej, na czym polega rozkosz w łóżku.

- Witam w domu Waszą Łaskawość i Fenleya - powiedział osobnik, który, sądząc po ubiorze i władczym tonie głosu, zapewne był ochmistrem. Yale miał rację, mówiąc o tym, że służący w Penhurst zachowują się tak, jakby sami mieli służących. Już po chwili dookoła zaroilo się od pokojówek i lokajów, którzy wzięli od podróżnych okrycia i zaczęli wnosić bagaże.

- Cieszę się, że znów jestem w domu, Timothy - powiedział Wayland. - Przyjechałem z gośćmi. Zajmij się ich bagażami.

- Dobrze, Wasza Łaskawość.

Nagle skądś dobiegł ich radosny okrzyk.

- Papa!

Mały, około sześciolatek chłopiec zbiegał z wyłożonych dywanem krętych schodów. Przystanął na trzecim stopniu, by stamtąd rzucić się w



stronę Waylanda, który złapał dziecko w ramiona.

- John, synku - powiedział Wayland i mocno przytulił chłopca, nie zważając na obecność zgromadzonych.

- Bardzo się cieszymy, że wróciłeś - powiedziała kobieta, stojąca u szczytu schodów. Wszyscy spojrzeli w stronę Marion, księżnej Ayleborough. Była wysoka, dorodną niewiastą o jasnych włosach i bystrych niebieskich oczach. Za nią stał drugi chłopiec, około dziewięcioletni. Samanta rozpoznała go - był to Matthew, markiz Danforth, najstarszy syn i dziedzic Waylanda.

Wayland wbiegł na schody po dwa stopnie naraz.

- Ja też bardzo się cieszę, że jestem w domu. - Ucałował dłoń żony. Był to grzecznościowy gest, lecz księżę dotykał dłoni ustami dłużej, niż przewidywała etykieta. Mąż i żona porozumieli się bez słów; Samanta poczuła ukłucie zazdrości.

Zerknęła na Yale'a. Nie zwrócił nawet uwagi na chwilę małżeńskiej czułości. Z rozbawieniem przyglądał się Matthew i Johnowi.

Wayland postawił Johna obok Matthew i teraz mały John naśladował poważny sposób bycia brata. Matthew osadził go kuksańcem w zebra. John zatoczył się, niecierpliwie czekając, aż ojciec znów poświęci mu chwilę uwagi.

Samanta zastanawiała się, o czym teraz myśli Yale. Wayland oderwał wzrok od żony i spojrział na starszego syna.

- Matthew.

Chłopiec pochylił głowę i uściśnął wyciągniętą dłoń ojca.

- Ojciec. - Mimo uroczystego charakteru chwili, nie potrafił powstrzymać się od przyjemności rzucenia triumfalnego spojrzenia młodszemu bratu. John wygiął wargi w podkówkę.

- Czy w czasie mojej nieobecności opiekowałeś się mamą i braćmi? - zapytał Wayland.

- Tak, ojciec - odpowiedział chłopiec.

- To dobrze. Jestem z ciebie dumny. - Wayland położył dłoń na głowie syna, po czym mocno go przytulił. Chłopiec uśmiechnął się szeroko.

John pociągnął ojca za poły płaszcza.

- Tato, przywiozłeś jakieś prezenty?

- Nie teraz - skarcił go Wayland. - Najpierw muszę usiąść choć na chwilę. Przecież znasz reguły. - Przeniósł wzrok na żonę. - Jak się miewa Charles?

- Troszkę kaprysi - odpowiedziała Marion. - Wyrzyna mu się ząbek. Niania jest bardzo zmęczona, musiała siedzieć przy nim całą noc, a dzisiaj nawet się nie zdrzemnął. Dopiero niedawno zasnął; zniosłyśmy go na dół. Ostrzegła mnie, żebyś go nie budził.

- Dobrze - obiecał. - A teraz niespodzianka. - Objąwszy ją, poprowadził

na dół ku Samancie i Yale'owi. - Przygotuj się. Będziesz zaskoczona. - Przystanął przed Yale'em. - Oto i moja niespodzianka.

Marion uśmiechnęła się do Yale'a i Samanty.

- Przywiozłeś gości. Bardzo się cieszę. Witajcie w Penhurst Pani. Witchell przygotowuje dla was pokoje.

- Marion, dobrze się przyjrzyj - poprosił Wayland. - To nie są zwyczajni goście. Nie poznajesz ich?

Przyjrzała się im i pokraśniała.

- Panna Northrup ... ze Sproule, nieprawdaż? Samanta wykonała głębokie dygnięcie.

- Tak, Wasza Łaskawość, chociaż jestem zaskoczona, że pani mnie pamięta.

Marion wyciągnęła rękę w powitalnym geście.

- To bardzo radosna niespodzianka. Mam nadzieję, że będzie się pani u nas podobało.

- Dziękuję, Wasza Łaskawość.

- Tak, tak - powiedział ze zniecierpliwieniem Wayland. - Ale to nie ona jest tą niespodzianką. Przyjrzyj się jemu. Chłopcy, którzy tymczasem zstąpili ze schodów, stanęli przy matce i z zaciekawieniem patrzyli na Yale'a, zadzierając głowy.

Marion pokręciła głową.

- Bardzo mi przykro. Wydaje mi się pan znajomy, ale nie wiem, kiedy i gdzie pana spotkałam.

- To mój brat, Yale - szepnął jej Wayland do ucha.

- Yale! - Marion omal nie upadła. Zakłopotana, przenosiła wzrok z Yale'a na męża i z powrotem. - Jak to możliwe? Powiedziano nam ... myśleliśmy ... nie wiem ...

- To on - zapewnił ją Wayland.

Marion spojrzała na Yale'a i postąpiła krok w jego stronę.

Łagodnym, macierzyńskim gestem dotknęła jego ramię, policzków.

- Żyjesz.

Yale ucałował jej dłoń.

- Tak, żyję i mam się dobrze.

Ze łzami w oczach Marion wzięła go w ramiona.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo nam ciebie brakowało. Oplakaliśmy cię dwa razy. Raz, kiedy wyjechałeś, i drugi raz, kiedy usłyszeliśmy, że zginąłeś w czasie sztormu. Nie mogę uwierzyć w to, że znów jesteś z nami.

- Wiedziałem, że to będzie wielka niespodzianka - powiedział z satysfakcją Wayland. - Mogłem wysłać wiadomość, ale wolałem sam przekazać ci tę wiadomość. Chciałem widzieć wyraz twojej twarzy.

Marion otarła łzy spływające po policzkach.

- Powinam zrobić ci awanturę za to, że tak mi go przedstawiłeś - zwróciła się do męża, a potem wyciągnęła ręce do synów. - Matthew, Johnie, przywitajcie się z wujkiem.

Chłopcy niepewnie podeszli do Yale'a. Byli tak poważni, że Samanta miała ochotę serdecznie ich przytulić.

Nawet służący przystanęli, by obserwować dramatyczną scenę. Niektóre pokojówki ukradkiem ocierały łzy fartuchem.

Matthew wyciągnął rękę tak, jak czynił to jego ojciec. Yale ujął dłoń bratanka. Kąciki ust zadrgały mu podejrzenie, ale ukrył uśmiech i przykładnie skinął głową.

- Miło mi pana poznać - powiedział Matthew.

- A mnie miło jest poznać ciebie, lordzie markizie - rzekł Yale.

Następnie John, naśladując brata, podał Yale'owi dłoń.

- Cieszymy się, że nie umarłeś - powiedział z dziecięcą szczerością. Yale roześmiał się szczerze.

- Ja też się z tego cieszę - rzekł. - Ale Wayland i ja mamy jeszcze jedną niespodziankę.

- Nie sądzę, żebym była w stanie znieść jeszcze jedną taką wiadomość jak ostatnia - stwierdziła Marion. Wciąż płakała i ocierała łzy wierzchem dłoni.

- Ale tym razem będzie to radosna wiadomość - obiecał Yale, lekko wypychając Samantę do przodu. - Panna Northrup została moją żoną.

- Jesteś żonaty?! - zawołała Marion, zanim zdołała się opanować, i splonęła rumieńcem. - Przykro mi, że to tak zabrzmiało, panno Northrup ...

- Samanto - poprawił Wayland.

- Tak, Samanto - natychmiast powtórzyła ciepłym głosem Marion. - Nie spodziewałam się ujrzeć Yale'a, a tu jeszcze dowiaduję się, że jest żonaty. Ale to doskonała wiadomość. - Objęła Samantę. - Witaj w naszej rodzinie - szepnęła.

W rodzinie ...

Te słowa sprawiły, że oczy Samanty zaszyły łzami. Jakby czytając w jej myślach, Wayland popatrzył na nią wymownie ... Natychmiast zrozumiała, co chce jej przekazać. Nie miał zamiaru pozwolić Yale'owi na wyjazd i oczekiwał, że Samanta o to zadba.

- Chodź - powiedziała Marion, biorąc ją pod rękę. - Mam dla was kanapki i wino. Wayland zawsze jest głodny, kiedy wraca z podróży, prawda, kochanie?

- Chciałbym zaprowadzić chłopców do pokoju dzieciennego i zajrzeć do Charlesa. Dołączę do was.

- Tylko nie obudź Charlesa - przypomniała mu surowym tonem.

- Nie obudzę - obiecał, kierując się z synami na schody. - Kto chce się

przejechać na barana?

- Ja! - natychmiast zgłosił się John.

- Jestem już za duży na taką zabawę - prychnął Matthew.

- W takim razie twoja strata - odpowiedział Wayland i pochylił się, żeby John mógł mu wskoczyć na plecy. Spojrzał na Mathew. - John i ja ścigamy się z tobą, kto pierwszy dobiegnie do pokoju!

Najwyraźniej Matthew nie był za stary na to, by bawić się w wyścigi, bo bez słowa zaczął wbiegać po schodach. Wayland z Johnem na plecach popędził za nim.

Yale, który odprowadzał ich wzrokiem, uniósł brwi.

- Czy ten pan, który udaje konia, to mój brat?

Marion roześmiała się.

- Szaleje na punkcie swoich synów. Codziennie ich odwiedza tylko po to, żeby się z nimi pobawić. Mówię mu, że Matthew jest już w tym wieku, że powinien zostać wysłany do Eton, ale Wayland nalega, żeby jeszcze przez rok został w domu.

- Ma zupełnie inne podejście niż jego ojciec.

Marion przytaknęła.

- Oboje chcemy dać naszym dzieciom więcej uczucia, niż dali nam nasi rodzice. Oczywiście większość naszych przyjaciół uważa, że spędzamy zbyt wiele czasu z chłopcami ... ale przecież oni tak szybko rosną. Będzie nam ich brakowało, kiedy się usamodzielnią.

Po tych słowach wydała ochmistrzyni polecenie przygotowania pokoi dla gości.

- Samanto, czy masz służącą?

- Nie - odpowiedział Yale. - A ja nie mam kamerdynera.

- To nie problem - odpowiedziała Marion. - Pani Witchell zaraz przydzieli wam kogoś ze służby.

Poszli do salonu, do którego prowadziły drzwi z głównego korytarza.

Salon był urządzony z jeszcze większym przepychem niż westybul. Na ścianach, wyłożonych genueńskim aksamitem, wisiały ogromne portrety przodków. Malowidło na suficie przedstawiało półnagie dziewczęta na huśtawce i urodziwych mężczyzn, klęczących u ich stóp.

Służąca wniosła tacę z maleńkimi kanapkami i podała Samancie, która z wdzięcznością przyjęła poczęstunek. Tego dnia Wayland pozwolił im zatrzymać się tylko w celu dokonania zmiany koni.

- Nie mogę przestać ci się przyglądać, Yale - powiedziała Marion. - Wyjechałeś stąd jako chłopiec, a wróciłeś jako mężczyzna.

- Kiedy stąd wyjeżdżałem, wydawało mi się, że jestem bardzo dorosły.

- Rozumiem - powiedziała ze smutkiem. - Tak się cieszę, że cię widzę. Powiedz mi, gdzie się podziewałeś? - Podała Yale'owi kieliszek wina. - I jak

poznałeś Samantę?

- Byłem na Dalekim Wschodzie, a Samantę poznałem w Sproule, gdzie uratowała mi życie - odpowiedział przykładnie.

Oczy Marion zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. - Opowiedz mi o wszystkim - poprosiła.

- Przyjechałem do Sproule i zachorowałem na gripę. Mam chyba rozrzedzoną krew po tylu latach mieszkania w tropikalnym klimacie i angielski chłód omal mnie nie zabił.

Marion usiadła we wdzięcznej pozie na wyściełanej sofie i dała Samancie znak, by zrobiła to samo.

- Pielęgnowałaś go? - zapytała.

Przysiadłszy na brzegu sofy, Samanta chrząknęła. Trudno było jej odnaleźć się wśród ludzi, którzy przez lata byli dla niej jak bohaterowie książek.

- Tak, Wasza Łaskawość.

- Pamiętam, jak troskliwie zajmowałaś się starym księciem. Proszę, mów mi po imieniu. Wayland i ja nie chcemy przestrzegać form w najbliższej rodzinie. Yale, Wayland będzie musiał nadać ci tytuł. Lord Yale to za mało.

- W zupełności mi to wystarcza.

- Naprawdę? To zdumiewające. Jesteś chyba jedynym człowiekiem w rodzinie, któremu to wystarcza. Wayland ma urwanie głowy z innymi krewnymi - wyznała. - Wszyscy nieustannie czegoś od niego chcą. Ale proszę, opowiadaj dalej, Yale'u. Co się stało, kiedy doszedłeś do siebie i zorientowałeś się, że Samanta się tobą opiekowała? Czy to była miłość od pierwszego wejrzenia?

- Tak - odpowiedział z galanterią Yale. Samanta piła właśnie wino i omal się nie zakrztusiła.

- Małżeństwo z miłości - powiedziała Marion z radosnym westchnieniem.

Samanta wstała, czując potrzebę wyjaśnienia sytuacji, lecz Yale ją uprzedził.

Zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, stanowczym tonem potwierdził:

- Tak, jesteśmy małżeństwem z miłości. - Otoczył Samantę ramieniem i delikatnie uściśnął jej ramię.

- To takie romantyczne - powiedziała Marion, a w jej oczach znów rozbłyły łzy szczęścia.

Samanta duszkiem opróżniła kieliszek. Zegar na kominku wybił dwudziestą drugą. Marion pokręciła głową.

- Ja was tu zagaduję, a pewnie jesteście bardzo zmęczeni.

Chodźcie, zaprowadzę was do pokoi. Pani Witchell na pewno zdążyła je już przygotować.

- Kim jest pani Witchell? - zapytał Yale, wychodząc za Marion z salonu.

- Ochmistrzynią.

- A co stało się z panią Limkin?

- Przed pięcioma laty została tknięta apopleksją. Biedaczka, niedługo potem zmarła: - Marian poprowadziła ich na schody. Umieściłam was w apartamencie wuja Roscoe i ciotki Louise. Po ich śmierci zupełnie zmieniliśmy jego wystrój.

Yale przystanął.

- To oni nie żyją? - zapytał zmienionym głosem, który zwrócił uwagę Samanty.

- I to już od wielu lat - powiedziała Marion. - Niedługo po twoim wyjeździe Roscoe bardzo podupadł na zdrowiu. Lekarze nie wiedzieli, co mu naprawdę dolega i nie potrafili go wyleczyć. To był bardzo smutny okres. Którejś nocy cichutko zasnął na wieki. Louise zmarła w niecały rok po jego śmierci. - Spojrzała na Samantę. - Słuchaj uważnie, Samanto. Mieli siedemdziesiąt parę lat, a zachowywali się jak papużki nierozłączki. Myślę, że Louise zmarła z żalu po stracie męża.

Odwróciła się i pokonała ostatnie stopnie schodów, wiodących do korytarza biegnącego przez całą długość domu. Hol oświetlały świece w mosiężnych kinkietach. Fakt, że księżę mógł palić tyle świec, na ile tylko miał ochotę, zrobił na Samancie większe wrażenie niż grube dywany i malowidła na sufitach.

W tej okazałej rezydencji nawet drzwi były rzeźbione we wzory odpowiadające ornamentom na suficie, a ozdobne gałki sprawiały wrażenie wykonanych ze złota.

Słyszała, że posiadłość księcia Northumberland, Braehall, była jeszcze wspanialsza ..

- Wayland i ja chcieliśmy wzorować nasze małżeństwo na ich przykładzie - powiedziała miękko Marion do szwagra.

- Domyślam się, że nie chcieliście powielić modelu małżeństwa ojca - odpowiedział.

Ze smutkiem pokiwała głową.

- Niestety, twój ojciec nie był szczęśliwy. Nasze małżeństwo zostało zaaranżowane, ale mieliśmy dużo szczęścia. Zakochałam się w Waylandzie w chwili, gdy na niego spojrzałam. - Uśmiechnęła się do swoich wspomnień. - Nie pytasz o siostrę - zauważyła, płynnie zmieniając temat.

- O, właśnie, jak miewa się Twyla? - zapytał bez entuzjazmu.

Marion roześmiała się.

- Prawie nie zmieniała się przez te lata. - Popatrzyła na Samantę. - Twyla zawsze ma swoje zdanie na każdy temat i żadnych oporów, żeby dzielić się

nim ze wszystkimi. Zaraz rano poślę do niej list i o wszystkim ją powiadomię. Nie chcę, żeby została zaskoczona twoją obecnością tak jak ja. Wayland chyba przez całą drogę ze Sproule zastanawiał się, jaka będzie moja reakcja na twój widok. Uwielbia mnie zaskakiwać.

Przystanęła przed jedynymi drzwiami. Zanim je otworzyła, powiedziała:

- Jutro powinniśmy spotkać się wszyscy na obiedzie i przedstawić Samantę całej rodzinie. Co o tym sądzisz, Yale'u?

Poruszył się niespokojnie.

- Zrobimy, jak zechcesz.

- Dobrze, w takim razie jutro wydajemy rodzinny obiad - powiedziała Marion i otworzyła drzwi.

Weszli do sypialni utrzymanej w kolorach zielonkawoniebieskim i brzoskwiniowym. Palły się w nim świece, a w kominku płonął ogień. Samanta przeszła przez dywan. Był tak gęsty i puszysty, że miała ochotę zdjąć pantofle i pończochy i dotknąć go bosymi stopami. Łoże z jedwabnymi zasłonami mogło pomieścić cztery osoby.

- To wspaniały pokój.

Spojrzała na sufit. Z ulgą stwierdziła, że malowidło przedstawia boginie, wylegające się o zachodzie słońca.

- Jest spokojniejszy, nieprawdaż? - powiedziała Marion, jakby czytając w myślach Samanty.

- Podoba mi się bardziej niż tamte.

- Od razu tak pomyślałam - zauważyła Marion z uśmiechem. - Jest tu też łazienka. - Skinieniem głowy wskazała drzwi pomiędzy masywną rzeźbioną szafą a łóżem. - A tu jest salonik, łączący ten pokój z pokojem Yale'a.

Otworzyła drzwi do salonu; ich oczom ukazał się pokój z sofą o wysokim oparciu, stołem i dwoma wyściełanymi fotelami, które sprawiały wrażenie bardzo wygodnych.

Marion wskazała okno.

- Okno wychodzi na ogród. To niewielki pokój i nie ma tu kominka, ale jest bardzo przytulny i spokojny. Pokażę ci twoją sypialnię, Yale'u.

Otworzyła drzwi po drugiej stronie saloniku, dokładnie naprzeciwko drzwi do pokoju Samanty.

Samanta udała się za nimi, nie potrafiąc pokonać zaciekawienia. Pokój Yale'a był bardzo podobny do jej sypialni - stało w nim ogromne łóżko z czterema kolumnami i zasłonami, szafa, biurko i krzesło, jednak utrzymany był w jednolitej niebieskiej tonacji. Na suficie grupa tłustych, rozleniwionych satyrów wylegiwała się pod drzewami o grubych gałęziach.

- Doskonale tu pasują - mruknęła pod nosem, jednak Yale ją usłyszał i

natychmiast w jego oczach pojawiły się figlarne błyski.

- Przyjmuję to za komplement - powiedział.

Zanim zdołała mu odpowiedzieć, Wayland zapukał do drzwi i wszedł, nie czekając na zaproszenie.

- Wszystko w porządku?

- Jak najlepszym - odpowiedział Yale.

Wayland podszedł do żony. Nie odezwali się do siebie ani słowem, ale Samanta czuła, że nie jest im to potrzebne. W ich spojrzeniach kryło się coś trudnego do określenia, coś wyjątkowego i ekscytującego, wyrażającego doskonale porozumienie. Poczwała się trochę jak intruz.

Spojrzała na Yale'a, zastanawiając się, czy zauważył to samo co ona.

Nie zwracając uwagi na Marion i Waylanda, ziewnął przeciągle.

Natychmiast odpowiedziała ziewnięciem.

- Byłeś u Charlesa? - zapytała Marion.

- Tak - odpowiedział zachwycony Wayland. - Na dźwięk mojego głosu obudził się i uśmiechnął do swego taty. Jeszcze nigdy nie widziałem go w złym humorze.

- Wayland, obiecałeś go nie budzić.

- Nie budziłem go. Sam się obudził.

- Nie wierzę ci - odpowiedziała, bynajmniej nie zagniewana.

Odgarnęła niesforny kosmyk z jego czoła.

- Położyłeś go do łóżeczka?

- Biedulek - rzekł Wayland. - To nie były ząbki. Wystarczyło mu jedno dotknięcie ojca i natychmiast zasnął.

- Wayland, przecież to małe dziecko - rzekł Yale, przerywając małżeńską rozmowę. - Nie ma jeszcze pojęcia o bożym świecie.

- On mnie dobrze zna.

Yale prychnął.

- Niemowlęta nie mają jeszcze tak rozwiniętego mózgu, żeby odróżniać jedną osobę od drugiej.

Marion natychmiast zaprotestowała, a Wayland powiedział z dumą:

- Wszyscy moi synowie rozpoznawali mnie od samego początku.

Yale potrząsnął głową.

- Zwariowałeś na punkcie swoich dzieci, braciszku. Niemowlaki to niemowlaki. Idę o zakład, że wezmę twojego Charlesa na ręce, trochę go pokolyszę i uzna mnie za ojca tak samo jak ciebie.

Marion aż się zjeżyła, lecz Wayland uspokoił ją, kładąc dłoń na jej ramieniu.

- Nie spieraj się z nim, kochanie. Już Samanta pokaże mu, jak bardzo się myli. Zapamiętaj moje słowa, oszaleje z radości po narodzinach pierwszego dziecka tak samo jak ja.



Delikatnie skierował żonę w stronę drzwi.

- Powinniśmy już wyjść i dać im odpocząć. - Zatrzymał się przed Samantą i położył dłonie na jej ramionach.

- Witaj w Penhurst... siostró - wyszeptał jej do ucha i po bratersku pocałował w policzek.

Siostra ...

Bardzo brakowało jej tego, co mógł jej zapewnić. Dzieci, towarzystwa rodziny. Męża.

- Niedługo przyjdą tu pokojówka i kamerdyner - powiedziała Marion. - Poszli do kuchni po wodę. Kuchnia jest dość daleko od sypialni. Jeśli będziecie czegoś potrzebować, wystarczy zadzwonić albo przyjść do naszych pokoi na końcu korytarza po prawej stronie. Pokój dziecienny jest naprzeciwko.

- Dziękuję - wykrztusiła Samanta tuż przed tym, jak Wayland zdecydowanym ruchem zamknął drzwi. Została sama z Yale'em.

Byli sami w sypialni.

Przez chwilę przypatrywali się sobie w milczeniu, po czym Yale zapytał:

- Co ci powiedział mój brat?

Przestraszyła się tego pytania i poczuła pustkę w głowie.

Czuła, że wtrącanie się Waylanda w ich sprawy nie przypadłoby Yale'owi do gustu.

- Życzył nam miłego pobytu w Penhurst - Oblała się gorącym rumieńcem. Dobrze wiedziała, co Wayland naprawdę miał na myśli. Przypominał o jej obowiązkach względem rodziny i o tym, że jest odpowiedzialna za to, by Yale został w Anglii.

Podał jej słowa w wątpliwość głośnym mruknięciem.

- Nie wierzysz mi? - Zaczęła się wycofywać w stronę salonu.

- Rumienisz się, kiedy czujesz się winna.

Samanta zakryła policzki dłońmi.

- To przez ten ogień na kominku. Tu jest bardzo ciepło.

Kąciki jego ust wygięły się w uśmiechu, który mówił jej, iż Yale dobrze zdaje sobie sprawę, że go oszukuje.

- Chyba położę się do łóżka. - Weszła do salonu. Yale poszedł za nią.

- Dobranoc - powiedziała.

Nie odpowiedział, podniósł zielony szklany przycisk do papieru ze stołu przy sofie.

- Zupełnie o tym zapomniałem.

- A co to jest?

- Należał do mojego wuja Roscoe. Kiedy byłem mniej więcej w wieku Johna, wuj powiedział, że w tej kuli są zakłęte duchy i że jest to bardzo niezwykły przedmiot. Zawsze obwinał duchy za wszystko, co się działo nie

po jego myśli. Namówił mnie do tego, żebym chuchał na kulę i pocierał ją na szczęście, kiedy czegoś się bałem i musiałem sobie dodać odwagi. Przesunął palcem po gładkim szkłe. - Wierzyłem w te jego historyjki o duchach. - Uśmiechnął się do niej. - Sam dwa razy zwałem winę na duchy. Raz, kiedy stłukłem ulubiony wazon matki, a drugi raz, kiedy wpuściłem psy myśliwskie do salonu w Braehall, ponieważ bałem się, że na dworze jest dla nich zbyt mokro i zimno. Za każdym razem matka wpadała w furję, ale kiedy mówiłem jej o duchach, jakimś cudem unikałem zasłużonej kary.

Rozejrzał się po pokoju.

- Wszystko wydaje mi się takie dziwne. Niby jestem w tym samym domu, a mam wrażenie, że tak nie jest. Spodziewałem się tu zastać wszystko w takim stanie jak przed jedenastoma laty i właściwie wszystko jest tu takie samo ... ale jednak inne.

- Jedenaście lat to długi okres nieobecności.

- Tak. Ale nie czuję się tak, jakbym to ja się zmienił. Wydaje mi się za to, że zmienili się wszyscy inni. Myślałem, że tutaj czas stanął w miejscu, że kiedy wrócę, spotkam się z Roscoe i Louise. - Pokręcił głową. - I kto by pomyślał, że mój brat tak zgłupieje na punkcie swoich dzieci?

- Uważasz, że zgłupiał? Ja myślę, że to cudowne widzieć mężczyznę, który jest tak dumny ze swoich synów.

Odstawił kulę na stół.

- Sam, chciałbym spędzić tę noc z tobą.

Przez chwilę wydawało jej się, że źle go rozumiała.

- Dlaczego? - Było to jedyne słowo, jakie zdołała wydobyć ze ściśniętego gardła.

Uśmiechnął się krzywo.

- Dlatego.

Poczuła dziwną miękkość w kolanach i chwyciła gałkę u drzwi dla zachowania równowagi.

- Mam wrażenie, że nie chodzi ci o spanie na podłodze ... - Dzięki Bogu, głos jej nie zadrżał.

Podszedł do niej.

- Nie.

Samanta cofnęła się. Oparł rękę o drzwi.

- Powrót do domu dzieciństwa przywołał tak wiele wspomnień. - Czuła na szyi jego oddech. - Chciałbym, żeby ktoś był ze mną tej nocy. Czy to coś złego?

Nie, pomyślała.

- Nie wiem - wykrztusiła z trudem. Nie umiała zebrać myśli, kiedy stał tak blisko niej i niemal widziała swoje własne odbicie w jego ciemnych oczach. Zwilżył wargi. Domyśliła się, że ma zamiar ją pocałować. Było to

niezmiernie kuszące, a jednak ...

Przemknęła pod jego ramieniem, wbiegła do swojej sypialni i zamknęła drzwi, zanim zdołał zareagować.

Oparłszy się plecami o drzwi, wstrzymała oddech. Serce waliło jej w piersi jak oszałałe. Co Yale teraz zrobi?

Nasłuchiwała ... Po kilku minutach usłyszała, że zamknęły się drzwi do jego sypialni.

Nie podjął żadnych działań.

Rozczarowana, czuła się tak, jakby otrzymała wyrok w zawieszeniu.

Pukanie do drzwi jej pokoju zabrzmiało jak wystrzał z broni.

Samanta podskoczyła i zaraz zganiała się w myślach za brak opanowania. To była jej służąca Emily, łagodna starsza kobieta przyniosła dzban ciepłej wody.

Samanta umyła twarz, żałując, że nie jest w stanie poradzić sobie ze swoimi problemami.

- Sprawia pani wrażenie zdenerwowanej, milady - powiedziała Emily. - Proszę usiąść na krześle, wyszczotkuję pani włosy.

Jej pomoc okazała się nieoceniona. Samanta poczuła, jak stopniowo opuszcza ją zmęczenie.

- To było cudowne, Emily. Bardzo ci dziękuję.

- Dziękuję, milady. - Służąca pomogła jej ubrać się w spłowiełą flanelową koszulę nocną i Samanta weszła do łóżka. Była pewna, że zaśnie, ledwie przyłoży głowę do poduszki, jednak sen nie nadchodził.

Długo po tym, jak Emily odeszła, leżała, wpatrując się w jedwabny baldachim w kolorze brzoskwini. Zastanawiała się, czy Yale śpi. Pomyślała, że na pewno już zasnął. Nie miał refleksyjnej natury i nie sprawiał wrażenia człowieka nękanego wyrzutami sumienia.

Minuty mijały wolno jak godziny.

Dlaczego nie pozwoliła, by Yale spał z nią w jednym łóżku?

Przecież tego właśnie chciał Wayland. Jako żona Yale'a, miała obowiązek dzielenia z nim łoża.

Nie miała wyrzutów sumienia, że spał na podłodze w gospodach, więc dlaczego teraz wszystko się zmieniło i czuła się winna?

Bez trudu odpowiedziała sobie na to pytanie. Czuła się winna, ponieważ marzyła o tym samym co Yale ... tyle że z zupełnie innych powodów.

Chciała mieć rodzinę. Widok Waylanda i jego synów sprawił, że poczuła gwałtowną potrzebę posiadania dzieci. Przedtem bardzo zazdrościła kobietom, którym pomagała przy porodach. Teraz pragnęła własnego dziecka. Było nawet prawdopodobne, że jest brzemienna ... chociaż wcale nie czuła się inaczej niż przed ślubem.

Była pewna, że ta wielka tęsknota wynika z pustki, jaką czuła w sobie od dawna, a której natury nie potrafiłaby nawet opisać.

Pragnęła miłości.

Lecz Yale jej nie kochał. Miał zamiar ją porzucić.

Nawet jeśli wyjedzie, będzie miała ich wspólne dziecko, które obdarzy miłością. Wayland i jego rodzina na pewno nie odwrócą się od niej, jeśli będzie matką dziecka Yale'a.

Mimo wszystko sumienie nie dawało jej spokoju. Wydawało się nieugięte i przewrotne ... dokuczało jej teraz, kiedy na myśl o pieszczotach Yale'a oblewała ją fala gorąca.

O pieszczotach, o pocałunkach ... O tym, że byli jednością.

Wstała i cicho podeszła do drzwi. Otworzyła je, wśliznęła się do salonu. Zasłony były rozsunięte i światło księżyca padało na sofę i zielony przycisk do papieru.

Duchy. To pewnie one były odpowiedzialne za to jej szaleństwo.

Wiedziała, że postępuje niewłaściwie, źle ... a jednak nie była w stanie się wycofać. Podeszła do drzwi pokoju Yale'a.

Przez chwilę zastanawiała się, czy ma zapukać, ale odrzuciła ten pomysł, jako że Yale najprawdopodobniej spał.

Nie chciała go budzić. Jeśli nie śpi, to w porządku ... a jeśli już zasnął, wróci do swego pokoju.

Ostrożnie, jakby miała dotknąć rozżarzonego żelaza, położyła dłoń na gałce i powoli ją przekreśliła.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie.

W sypialni Yale'a zasłony również były rozsunięte, jednak pokój był ciemniejszy niż jej sypialnia z powodu niebieskiej barwy ścian i zasłon. W świetle księżyca bez trudu dostrzegła brzeg łóżka.

Ogień w kominku dogasał. Podmuch zimnego powietrza niemile owiał jej stopy.

Przystanąła, spodziewając się, że usłyszy równy, głęboki oddech Yale'a.

- Sam?

Jego głos dobiegł ją gdzieś z ukrytej w mroku części łoża.

Usiadł; światło księżyca oświetliło jego tors, twarz pozostała w cieniu.

- Sam, co ty tu robisz?

Otworzyła usta, lecz głos uwiązł jej w gardle.

- Czy coś się stało? - zapytał, poruszywszy się tak, jakby zamierzał wyjść z łóżka.

Samanta nie wiedziała, co powinna zrobić w takiej sytuacji.

Ale ponieważ posunęła się za daleko, żeby móc się teraz wycofać, ponieważ igrała z losem i los dokonał za nią wyboru, zdjęła nocną koszulę,

---

odrzuciła ją i stanęła przed nim naga. Chłodne nocne powietrze przyprawilo ją o drzenie. Stała przed Yale'em bezbronna ... i przerażona swą zuchwałością.

W pokoju panowała cisza, którą przerwał jego głos.

- Chodź do mnie.

## 13

Najtrudniejszy był pierwszy krok. Samanta miała wrażenie, że jej stopy zmieniły się w bryły ołowiu.

Twarz Yale'a wciąż pozostawała w cieniu, dostrzegała jedynie błysk jego oczu.

Uderzyła kolanami o krawędź łoża, zanim zdążyła się zorientować, że jest już u celu. Zachwiała się, lecz w porę złapała równowagę i nie upadła na łóżko.

Stała teraz przy łóżku, niezdecydowana.

Yale odsunął kołdrę, wskazując jej miejsce. Był nagi. Dostrzegła jego udo i wyobraziła sobie całą resztę. Poczowała suchość w ustach.

Skoro się nie poruszyła, Yale przesunął się w jej stronę i znalazł się w świetle księżyca. Kołdra opadła, ukazując to, czego Samanta się domyślała - był już gotowy.

Wyraz napięcia malujący się na jego twarzy sprawił, że stała jak urzeczona, gdy delikatnie dotknął jej piersi i pogładził kciukiem brodawkę, która natychmiast stwardniała.

Opuściła wzrok i spojrzała tam, gdzie jej dotykał. Jego ciemna karnacja kontrastowała z mleczną bielą jej skóry. Miała wrażenie, że w pokoju zrobiło się bardzo gorąco i duszno.

Wstrzymała oddech, czekając na jego następny krok.

Zaskoczył ją pytaniem.

- Co tu robisz?

Zamrugła i spojrzała na niego. Wpatrywał się w nią z napiętą uwagą.

Szukała właściwej odpowiedzi.

- Nie chciałam być sama.

Zdziwiła ją szczerłość własnych słów. Czowała swą całkowitą bezbronność.

Odpowiedział jej niski, gardłowy pomruk. Yale wyszedł z łóżka i objął ją ramionami, mocno przytulając do siebie, a potem uniósł za pośladki, by poczuła, jak bardzo jej pragnie. Zamknął jej usta gwałtownym, namiętym pocałunkiem, świadczącym o tym, że czekał już zbyt długo i teraz już nie jest w stanie się powstrzymać.

Położył Samantę na łóżku, z głową na poduszce.

Przeniósł usta na jej pierś. Samanta jęknęła i chwyciła go za włosy. Wzniecał w niej żar, który czuła w całym ciele.

Rozchyliła nogi w zapraszającym geście. Była już wilgotna i marzyła o tym, żeby go przyjąć. Kiedy pogładził ją po udzie, a potem dotknął istoty jej

kobiecości, zwarła nogi, chcąc, by się w niej znalazł.

Pocałował ją w szyję i wyszeptał do ucha:

- Tak długo na to czekałem. - Włożył w nią palce. Miała ochotę krzyknąć z rozkoszy.

A jednak coś było nie tak. Mimo że pragnęła go aż do bólu, drgnęła i odsunęła się.

Znieruchomiał.

- Sam, co się dzieje? Zadałem ci ból?

Nie odpowiedziała. Co mogła mu powiedzieć? Sama nie rozumiała swojego postępowania.

Popatrzyła na niego zakłopotana i nagle dotarło do niej. .. Boże!

Uświadomienie sobie tej prawdy poraziło ją niczym błyskawica.

Kochała go.

To właśnie z tego powodu pokonała dystans dzielący ich pokoje. W którymś momencie ich podróży ze Sproule do Londynu, a może nawet jeszcze w wiosce, zakochała się w Yale'u. Było to teraz tak oczywiste, że dziwiła się, iż wcześniej się tego nie domyśliła.

Niestety, on jej nie kochał.

Ta myśl napełniła ją wielkim smutkiem.

- Sam? - zwrócił się do niej poirytowanym tonem. Usiadł i odsunął się od niej. - Nie chcesz tego, tak?

Pokręciła głową; łzy nabiegły jej do oczu. Złapał jedną łzę na koniuszek palca.

- W takim razie dlaczego tu przyszedłeś?

Samanta nie była w stanie udzielić jednoznacznej odpowiedzi.

Leżąc w swoim łóżku, była pewna, że myśli rozsądnie i racjonalnie, ale teraz te rozmyślenia wydały jej się pozbawione sensu, szalone, chore.

Skoro jej nie kochał, jej oddanie miało w sobie coś z prostytucji. Ogarnęło ją także inne, silniejsze uczucie: strach.

Jeszcze żaden mężczyzna nie przyprowadził jej o taką miękkość w kolanach, nie zawładnął całkowicie jej wyobraźnią nie wprowadził w zakłopotanie spokojnym słuchaniem wynurzeń na temat dręczących ją wątpliwości.

Yale'owi udało się to bez najmniejszego wysiłku.

A kiedy ją pocałował, miała wrażenie, że na niebie rozbłyły tysiące gwiazd.

Ostrzegł ją wprawdzie, żeby się w nim przypadkiem nie zakochała ... ale nie wzięła sobie tych słów do serca.

Teraz, kiedy ją porzuci, będzie czuła tym większy ból.

Dlaczego była taka nierozsądna? Leżąc naga obok niego, czuła się jak nierządnicą. Na jej miejscu mogła znajdować się każda inna kobieta.

Z trudem zaczerpnęła tchu.

- Psiakrew! - zaklął Yale i wyszedł z łóżka. - Dlaczego tu przyszedłeś? - domagał się odpowiedzi. Wciąż był podniecony. Spojrzał w dół, zaklął jeszcze szpetniej, sięgnął po prześcieradło i owinął je dookoła bioder.

Samanta zakryła swą nagość drugim jedwabnym prześcieradłem. Wciąż drżała na całym ciele, pobudzona jego pieszczotami. Policzki jej płonęły.

Yale przeczesał włosy palcami. Stał teraz w świetle księżyca; mogła dostrzec rysy jego twarzy.

- Co ty wyprawiasz, Samanto? I dlaczego?

- Co ja wyprawiam? Nie rozumiem, o co ...

- Och, jestem pewien, że doskonale wiesz, o co mi chodzi - przerwał jej ze złością. - Doskonale wiesz, co wyprawiasz, a ta zabawa polega na robieniu ze mnie głupca! Cały tydzień szalałem z pożądania, a teraz wchodzisz tutaj, zdejmujesz ubranie i prawie że domagasz się, żebym cię wziął. I zaraz okazuje się, że wcale nie chcesz tu być. Coś zaczęłaś, ale zmieniłaś zdanie.

To było gorsze, niż przypuszczała. Czuli się jak oszustka pozbawiona honoru.

- Dobrze, skończmy to, co zaczęliśmy. Wracaj do łóżka. Jestem gotowa.

- Sam, a niech cię wszyscy diabli! - Wielkimi krokami przemierzył pokój, co chwila odkopując prześcieradło, które plątało mu się między nogami. Zdawszy sobie sprawę, jak śmiesznie musi to wyglądać, usiadł w fotelu przy oknie.

Uklękła.

- Nie rozumiem, dlaczego jesteś taki zły - powiedziała, czując dziwne ściskanie w gardle.

Przewiercił ją wzrokiem.

- Czy to Wayland cię do tego namawiał?

Jego celny strzał zastał ją zupełnie nieprzygotowaną i zbyt późno zorientowała się, że odpowiedź miała wypisaną na twarzy. Jakikolwiek zaprzeczenia miały się z celem.

Roześmiał się gorzko i opadł na oparcie fotela.

- Wcale nie jestem tym zaskoczony. Mój drogi braciszek! . Zaczął od niewinnych aluzji ... wyrażał się nieco lekceważąco o Rogue Shipping i mojej pozycji w świecie. Oczywiście, nie chciał mnie obrazić, próbował tylko dać do zrozumienia, że nie powodzi mi się aż tak doskonale, jak mi się wydaje. Ale dzisiejszego ranka przystąpił do zdecydowanego ataku.

- To właśnie dlatego się pokłóciliście?

- Tak. Stwierdził, że już najwyższy czas, żebym przypomniał sobie o swoich obowiązkach i przestał udawać, że jestem człowiekiem interesu. Boże,



zupełnie jakbym słyszał ojca.

Przez chwilę wpatrywał się w Samantę.

- Wcale nie jestem zdziwiony, że spróbował posłużyć się tobą. To on cię do tego namówił i właśnie dlatego tu przyszłaś, prawda?

- Tak. - Wypowiedziała to słowo nie bez trudu. Pokiwał głową.

- Jestem w Anglii niecałe dwa tygodnie, a już opadli mnie hipokryci. - Wyprostował się. - Ale nie spodziewałem się, że ty będziesz wśród nich, Sam. Myślałem, że dobrze się rozumiemy. Wierzyłem w twoją uczciwość.

Jego słowa wzbudziły w niej poczucie winy. Postanowiła się bronić.

- Zarzucasz mi nieuczciwość? To przecież ty poślubiłeś mnie pod przybranym nazwiskiem!

- A ty nie zamierzasz mi tego nigdy wybaczyć, tak? Powiedz mi, Sam, jak Waylandowi udało się namówić cię, żebyś się na mnie rzuciła? Przekupił cię? Obiecał ci pieniądze? A może dom okazał się niż ten, na jaki mnie będzie stać? No, powiedz.

Mogłem ci zaproponować to wszystko i jeszcze więcej każdej z tych nocy, kiedy spałem na podłodze, udając zakonnika.

- Powiedział, że to jest mój obowiązek.

- Twój obowiązek? - powtórzył głucho. Wstał. - Nie chcę cię widzieć w moim łóżku, jeśli masz robić to z Poczucia obowiązku. Nie chcę żadnej córki pastora, płaczącej z Poczucia winy, kiedy dyszę nad nią jak chutliwy wieśniak. Mam jeszcze swój honor, Sam, niezależnie od tego, co na ten temat sądzi mój brat i pozostali członkowie rodziny.

Ogarnęło ją Poczucie wstydu.

- Yale, proszę, posłuchaj. To nie jest tak jak myślisz. Chciałam tylko ...

- Urwała, zanim zdradziła swe najgłębsze pragnienie. Chciała mieć dziecko. Ale gdyby mu to powiedziała, uznałby to za jeszcze przemyślniejszy podstęp, a potem nigdy już by jej nie uwierzył.

Nie mogąc mu o tym powiedzieć, nie odezwała się.

Rysy jego twarzy stężyły. Bez słowa podszedł do szafy i zaczął się ubierać.

- Co robisz? - zapytała.

- To chyba oczywiste.

- Ale dlaczego ... Gdzie idziesz?

- A czy to ma jakieś znaczenie? - Ze złością włożył buty.

- Yale - szukała odpowiednich słów. - Przepraszam. Nie rozumiem.

- Zostawmy już ten temat, Samanto. Już nic nie mów, nie chcę słyszeć ani słowa. - Otworzył drzwi i wyszedł.

Miękki dywan stłumił odgłos jego kroków. Samanta wstrzymała oddech. Oczami wyobraźni widziała, jak zstępuje ze schodów, przemierza westybul i otwiera drzwi. Miała wrażenie, że słyszy, jak zatrząskuje je za

sobą.

Wyszedł.

Tego właśnie się obawiała. Zostawił ją.

Samanta położyła się na jego łóżku, wtuliła twarz w poduszkę i wybuchnęła płaczem.

Yale nie zastanawiał się, dokąd zmierza. Wyszedł z domu brata i skręcił w pierwszą ulicę w lewo, doszedł do jej końca, po czym znów skręcił, tym razem w prawo. Minąwszy kolejny kwartał, szedł przed siebie. Zapomniał o pelerynie i cylindrze, ale nie czuł zimowego chłodu.

Niesforna część jego ciała wciąż sprawiała mu kłopot. Fakt, że tak bardzo pożądał Samanty, przyprawiał go o tym większą wściekłość.

Samanta! Przeklinał dzień, w którym ją spotkał. Doprowadzała go do szaleństwa. W jednej chwili była wzorem cnót, by w następnej, spełniając prośbę rodziny, proponować mu swe usługi jak nałożnica w haremie.

A jednak, pomyślał z gniewnym parsknięciem, i tak nie udało jej się oszukać swej prawdziwej natury. Wcale go to nie zaskoczyło. Nadawała się na prostytutkę tak jak on na żebraka ... i był już najwyższy czas, żeby Wayland i inni książęta Ayleborough to zrozumieli!

Najgorsze w tym wszystkim było to, że wciąż bardzo jej pragnął. Nigdy nie zapomni godzin spędzonych z nią w łóżku. Była równie namiętna jak on ... oczywiście wtedy, gdy nie miała poczucia winy!

Po półgodzinnym spacerze w końcu zaczął się uspokajać.

Musiał pogodzić się z faktem, że pragnął Samanty jak żadnej innej kobiety. Pożądał jej aż do bólu.

Wolałby raczej, by go dręczono i ćwiartowano, niż czuć się tak jak teraz. Och, było tak wiele cech, które w niej podziwiał. Potrafiła doprowadzić go do szału, za chwilę uroczymu się przeciwstawiała, a jeszcze po chwili bezbłędnie odnajdywała drogę do jego serca.

Omam nie potknął się o swoje własne nogi. Przystanął. Co też mu przyszło do głowy?

Przecież jego serce pozostawało wolne. Był samodzielny i niezależny od innych, od ojczyzny i rodziny, która go wychowała.

A jednak. .. chciał być z Samantą.

W pewien sposób miło wspominał i te noce, kiedy spał na podłodze koło jej łóżka, czując się po trosze jak szlachetny rycerz ...

Boże, do czego doszło! Jeszcze kilka dni w towarzystwie Samanty, a będzie beznadziejnie zakochany!

Miał ochotę ryczeć z wściekłości. Ruszył przed siebie rażnym krokiem.

Nie, to niemożliwe, żebym był zakochany, pomyślał. Miłość jest jak burza z piorunami, a przecież w obecności Samanty nie przeżywał aż tak gwałtownych emocji ... no, może coś tam było, poprawił się w myślach,

wspomniawszy scenę w sypialni.

Miłość sprawiała, że kobiety i mężczyźni wpatrywali się w siebie z czułością, tymczasem on często kłócił się z Sam. Musiał jednak przyznać, że jej temperament przyprawiał go o żywsze krążenie krwi i niezmiernie go intrygował.

Lecz miłość to uczucie ulotne, niezależnie od tego, co na ten temat mówią poeci. Yale nie wyobrażał sobie spędzenia całego życia u boku jednej kobiety. Nareszcie! W końcu udało mu się znaleźć wytłumaczenie swego stanu ducha.

Oczywiście teraz nie miał ochoty na nikogo innego. Pragnął jedynie Samanty.

- Podła Sam - powiedział cicho.

Wayland wszystkiego się domyślał. W jakiś dziwny sposób starszy brat zauważył, że Samanta jest jedyną osobą, którą Yale stara się zadowolić.

Będzie musiał staranniej skrywać swoje uczucia. Będzie ją ignorował. A jeszcze lepiej zrobi, jeśli wyjedzie na swoją plantację przypraw na Cejlonie. Cokolwiek postanowi, nie dopuści do tego, by domyśliła się, jak silnym darzy ją uczuciem. Nie może się o tym dowiedzieć. Nigdy, przenigdy.

W rzeczywistości sam dopiero zaczynał zdawać sobie sprawę, jak głębokie jest to, co czuje do tej kobiety.

Było jak ocean!

Yale zatrzymał się. Skąd też przyszło mu do głowy takie poetyckie porównanie? Nie cierpiał poezji! Unikał poetów! A jednak przez chwilę myślał ich kategoriami.

Poczuł się nagle zmęczony życiem i w przedziwny sposób pokonany - oba te uczucia były mu dotąd obce.

Groziło mu zakochanie się w Samancie bez wzajemności.

Traktowała to małżeństwo jedynie jak obowiązek i czuła się odpowiedzialna za męża.

Nie chciał być jej obowiązkiem, pragnął być kochankiem.

Chyba właśnie o to mu chodziło. Gdyby byli kochankami, szybko by się nią znudził i powrócił do normalnego stanu. Istniała taka możliwość.

Powoli zaczął rozglądać się dookoła. Nie wiedział, jak daleko zaszedł, nie miał też pojęcia, która może być godzina.

Ulice były bardzo ciemne. Zbyt ciemne. Tylko gdzieniegdzie zza brudnych szyb połyskiwało mdłe światelko. Powietrze przesycone było zapachem śmieci i odchodów. Gdzieś w oddali zaszczekał pies, a potem rozległ się kobiecy śmiech; oba odgłosy dziwnie podobne.

To nie był Londyn z jego wspomnień. Przypominał raczej najbiedniejsze dzielnice Kalkuty.

Szedł teraz wolniej, przeczuwając niebezpieczeństwo.

Ktoś pchnął go w plecy; potknął się. Walcząc o złapanie równowagi, znalazł się w ciemnym załomie muru. Zauważył, że czyjaś mała rączka sięga po jego portfel.

Złodziej!

Upadł na ziemię. Usłyszał odgłos oddalających się kroków.

Wspólnik złodzieja przeskoczył nad Yale'em i popędził wąską 'uliczką w tym samym kierunku co kieszonkowiec.

Yale zaklął. Włóczył się po różnych podejrzanych miejscach od Bombaju po Makau i nigdy nie został napadnięty. Nie przyjechał do Londynu po to, by go tu okradano.

W mgnieniu oka zerwał się na nogi i ruszył w pościg za złodziejami. Potknął się o jakieś skrzynki, ale udało mu się złapać równowagę i już po chwili kontynuował pogoń. Uliczka dochodziła do szerszej ulicy.

Bał się, że mu uciekli.

- Facet nas ściga! - usłyszał nagle. - Rozdzielamy się! Złodzieje rozbiegli się w przeciwnych kierunkach. Założywszy, że krzyczał ten, który go okradł, popędził za nim.

Wysiłek fizyczny i dreszczyk emocji podziały oczyszczająco na jego umysł. Niemal bez wysiłku pokonywał dystans dzielący go od ściganego.

Chłopak przebiegł szeroką ulicę i wpadł do parku. Światło księżycy jak latarnia morska oświetlało koszulę uciekającego. Gdy kieszonkowiec skierował się w stronę gęsto rosnących drzew, Yale rzucił się do przodu i go złapał. Z głuchym stęknieniem upadli na ziemię. .

Yale podniósł chłopaka za kołnierz koszuli i obrócił do siebie. Miał przed sobą dziecko z szeroko otwartymi oczami, w których czał się strach.

Dziecko - złodzieja, napomniał się w myślach, ochłonawszy ze zdumienia.

- Oddaj mój portfel!

- N ... nic nie wiem o żadnym portfelu.

Yale potrząsnął nim mocno.

- Mój portfel, już!

Chłopak szcekał zębami; Yale nie wiedział, czy z zimna, czy ze strachu. Dzieciak miał na sobie jedynie cienką koszulę, spodnie i postrzępione paletko.

Pociągnął chłopca w stronę światła i uszczypnął pod żebrami.

- Nawet w Indiach nie widziałem takiego chudzielca.

- S ... sir, p ... proszę mnie p ... puścić.

- Najpierw muszę dostać portfel. - Wyciągnął rękę.

- Amie go wziął - powiedział chłopak. - Dałem mu go, kiedy uciekaliśmy. Tam, gdzie pan wpadł na skrzynki.

- A gdzie jest Amie?

- Nie wiem.

Yale pochylił się i spojrzał mu prosto w oczy.

- Dobrze wiesz.

- Nie, nie! Przysięgam.

- Powiesz to policji.

- Nie! - krzyknął chłopiec, teraz już przerażony nie na żarty. - Nie może mnie pan zaprowadzić na policję. Jeśli pan to zrobi, pójdę do więzienia albo będę zesłany.

- To dobre wyjście. - Yale był bezlitosny.

- Ale moja siostra ... - W oczach chłopca rozbłyły łzy. - Beze mnie ona umrze z głodu. Tylko ja się nią opiekuję. Mama powiedziała, że muszę się nią opiekować.

- A gdzie jest teraz twoja mama? - Nie wierzył ani jednemu słowu złodziejaska i jeszcze raz nim potrząsnął dla wywołania odpowiedniego wrażenia.

- Nie żyje, proszę pana. Zachorowała na gripę i umarła. To zwróciło uwagę Yale'a.

- Niedawno?

- Nie. Rok temu. Teraz ja muszę utrzymywać siostrę.

- Kradnąc?

- To lepsze niż czyszczenie kominów.

- Nie zgadzam się z tobą.

- Naprawdę próbowałem. Byłem kominiarczykiem. Ale kominiarze są podli, i kiedyś ugrzęzłem w kominie, a kominiarz chciał mnie tam zostawić. Człowiek, dla którego pracowaliśmy, zaczął rozpalać ogień. Kominiarz dostał już swoją zapłatę i nie obchodziło go, czy się spalę, czy nie.

Yale zmarszczył czoło. Słyszał już o kilku przypadkach śmierci kominiarczyków podczas pracy.

- Ile lat ma twoja siostra?

- Osiem.

- Umiesz poprawnie się wyrażać. Czy twoja mama Cię uczyła?

- Była Szwaczką. Tata był urzędnikiem i pracował w firmie G.G. Dobbins i Syn. Kiedyś spadł z drabiny i potłukł sobie głowę.

- Zginał?

- Po tym wypadku pomieszało mu się w głowie i niedługo potem umarł. Mama powiedziała, że to był bardzo dziwny wypadek. Nie pamiętam tego. Byłem wtedy bardzo mały.

- Ile lat masz teraz? - zapytał Yale, myśląc, że najwyżej dziesięć.

- Dwanaście. Jestem już dorosły.

- Na tyle dorosły, że kradniesz portfel, a potem płaczesz - powiedział ironicznie Yale.

Te słowa przypomniały chłopcu o grożącym mu niebezpieczeństwie.

- Proszę, niech pan mnie nie zabiera na policję.

- A oddasz mi portfel?

Chłopak miał zapadnięte policzki. Yale często widywał głodujących na Dalekim Wschodzie, ale nie spodziewał się takich obrazków na ulicach Londynu.

Chłopak pokręcił głową.

- Nawet gdybym wiedział, gdzie jest Amie, nie pójdę tam. Amie i inne chłopaki zabiją mnie, jeśli będę chciał im odebrać portfel. Nie dożyję rana.

Przez chwilę Yale myślał, że chłopak ma skłonność do dramatyzowania sytuacji, ale gdy popatrzył w jego oczy, dostrzegł w nich prawdziwy strach.

- Jak masz na imię? - zapytał.

Chłopiec nie miał zamiaru się przedstawić i zrobił to dopiero, gdy Yale porządnie nim potrząsnął.

- Terrance.

- Terrance - powtórzył Yale. - To imię nie pasuje do złodzieja.

- Nie jestem złodziejem, proszę pana - powiedział chłopiec i dwie duże łzy stoczyły mu się po policzkach. - Zacząłem kraść ze względu na moją siostrę. Jeśli nie będzie miała co jeść i nie znajdę dla niej jakiegoś ciepłego kąta, umrze.

Łzy toczące się po policzkach chłopca przypomniały Yale'owi łzy w oczach Samanty ... poczuł się tak, jakby ponosił winę za nieszczęścia małego.

Rozsądek mówił mu, że nie powinien wierzyć ani jednemu słowu Terrance'a, ale wrażliwość, którą obudziła w nim Samanta, kazała mu zastanowić się nad sytuacją. Doszedł do wniosku, że jeśli chłopak mówi prawdę, nie powinien zostawić go bez pomocy.

Ujął podbródek chłopca i popatrzył mu w oczy.

- No cóż, Terrance, straciłem portfel i jestem w podłym nastroju. Chodźmy do twojej siostry.

Terrance natychmiast zaczął się szarpać i wrywać.

- Nie! Nie może pan tego zrobić! Ona nie jest niczemu winna. To mała dziewczynka, która jeszcze nikomu nie wyrządziła żadnej krzywdy. Niech pan mnie zaprowadzi na policję, ale ją proszę zostawić, błagam pana.

Yale szarpnął ramię Terrance'a.

- Nie mam zamiaru zrobić krzywdy twojej siostrze, ale uważam, że nie można być złodziejem.

- Naprawdę próbowałem. Ale gdybym nie kradł, umarłbym z głodu.

Yale przykucnął.

- A gdybym znalazł ci jakąś pracę i miałbyś pod dostatkiem jedzenia, tobyś nie kradł?

- Nie, na pewno nie.

Yale przyjrzał mu się uważnie, po czym powiedział:

- No dobrze. Wierzę ci. - Rzeczywiście tak było. - A teraz zaprowadź mnie do swojej siostry.

Terrance znieruchomiał.

- A co pan chce z nami zrobić?

- Dowiesz się w swoim czasie. Ale obiecuję ci, że na pewno będzie ci tam lepiej niż tu, gdzie teraz mieszkasz.

Terrance zamyślił się, uważnie przyglądając się Yale'owi, po czym skrzyżował przeraźliwie chude ramiona.

- Alice i ja pójdziemy z panem, ale jeśli zobaczą, że pan coś kombinuje, to przysięgam na grób mojej matki, że tego nie daruję!

Słyszac te poważnym tonem wypowiedane słowa, Yale miał ochotę się uśmiechnąć, lecz zdał sobie sprawę, że chłopak jest bardziej dojrzały niż większość znanych mu mężczyzn.

- Zobaczysz, że mam uczciwe zamiary - zapewnił go. Terrance ruszył, Yale poszedł za nim. Szli drogą, którą tu przybiegli; Yale ze współczuciem myślał o ośmioletniej dziewczynce, mieszkającej w tej dzielnicy ludzkiej nędzy.

Obudziwszy się następnego ranka, Samanta czuła oszołomienie i zmęczenie. Niebo zasnuwane było ołowianymi chmurami. Zanosilo się na deszcz. Zastanawiała się, która może być godzina.

Usiadła na łóżku Yale'a. Gdzieś w głębi duszy miała nadzieję, że ujrzy go śpiącego na podłodze albo w fotelu. Lecz nigdzie go nie było, a ona leżała na łóżku naga.

Powróciły bolesne wspomnienia minionej nocy. Yale wyszedł z domu, zostawił ją.

Poczuła bolesny ucisk w żołądku. Była wściekła, że niepokoi się o mężczyznę, którego nic a nic nie obchodziła. Przerażała ją myśl o tym, że będzie musiała tłumaczyć Waylandowi, dlaczego jego brat włóczył się gdzieś po nocy.

Wyszła z łóżka, podniosła koszulę nocną z podłogi i błyskawicznie ją włożyła.

I wtedy usłyszała... chrapanie. Było to właściwie cichutkie pomrukiwanie, dochodzące spoza sypialni. Ostrożnie otworzyła drzwi do salonu.

Wszystko wyglądało tam tak jak poprzedniej nocy, tylko drzwi do jej sypialni były nieznacznie uchylone. Nie mogła sobie przypomnieć, czy je zamknęła.

Zaniepokojona, przywołała dzwonkiem służącą. Czuła, że coś jest nie w porządku, a nie chciała sarna stawiać czoła sytuacji.

Teraz, wiedząc już, że lada chwila nadejdzie pomoc, odważnie podeszła na palcach do drzwi i otworzyła je szeroko. W chwilę później omal nie roześmiała się, czując ogromną ulgę.

Yale spał, rozciągnięty na środku pościelenia. Kołdra leżała na podłodze w nogach łóżka. Zdjął surdut, lecz był ubrany w koszulę i spodnie. Miał gołe stopy.

To dziwne, ale bose stopy na dłużej przyciągnęły wzrok Samanty; wydały jej się bardzo atrakcyjne, prawie tak fascynujące jak zarost na szczupłej twarzy i zmierzwiłone włosy. Mimo że Yale miał szerokie bary, prezentował się niemal chłopięco.

Chrapał, rozkosznie pogrążony we śnie.

Przyciągał ją jak magnes; podeszła do niego i odgarnęła mu włosy z czoła. Uwielbiała go dotykać.

Przez chwilę zastanawiała się, czy go nie obudzić, ale postanowiła tego nie robić. Lubiła na niego patrzeć, kiedy spał.

Niestety, niedługo się obudzi i będą musieli porozmawiać na tematy, których wolałaby nie poruszać.

Usłyszała delikatne pukanie do drzwi. Emily.

Otworzyła i położyła palec na ustach. Widząc męża Samanty rozciągniętego na łożu, służąca zakryła usta, tłumiąc chichot.

Samanta dała ruchem głowy znak, by Emily udała się za nią do salonu. Czowała rosnące zdenerwowanie. Służący uwielbiali plotkować i była niezadowolona z tego, że wszyscy w Penhurst będą wiedzieli, w którym łóżku jej mąż spędził noc.

Emily pokiwała głową, ale zaraz pokazała, że musi wziąć suknię Samanty. Cichutko podeszła do szafy i posłała swej pani pytające spojrzenie. Samanta wskazała swą suknię ślubną, która dodawała jej pewności. Miała nadzieję, że w tej sukni łatwiej będzie jej znieść trudy dnia.

Sięgnęła po szcztokę i skierowała się do drzwi. Emily pośpieszyła za nią, omal nie wpadając na kołdrę na podłodze. Spojrzała w dół i wydała okrzyk przerażenia.

- Co się stało? - zapytała Samanta.

Emily upuściła suknię.

- Ktoś leży pod tą kołdrą, milady. - Przesunęła się w stronę drzwi.

Yale otworzył oczy.

- Co to był za hałas? - zapytał kwaśno.

- Tu ktoś leży! - zawołała Emily. „Ktoś” właśnie poruszył się pod kołdrą; służąca krzyknęła jeszcze raz i wybiegła na korytarz, wołając pomocy.

- Czemu ona tak się zachowuje? - zapytał Yale, unosząc się na łokciach.

Samanta miała wrażenie, że Yale nie całkiem się jeszcze obudził, więc



sama zdjęła kołdrę z „ktosia”.

A raczej „ktosiów”.

Zobaczyła dwoje skulonych, obejmujących się brudnych dzieci; przerażone, patrzyły na nią szeroko otwartymi oczami.

Samanta odetchnęła z ulgą. Spojrzała na Yale'a, który niepewnie drapał się po brodzie.

- Znalazłem je - powiedział, jakby to wszystko wyjaśniało. Wtedy właśnie do sypialni wpadli Wayland, Marion, lokaj i przerażona Emily. Wszyscy z wyjątkiem Samanty i Yale'a byli ubrani i gotowi do rozpoczęcia dnia.

- Co się tu dzieje?! - zagrział Wayland.

- Tutaj! - zawołała Emily, wskazując kołdrę w nogach łóżka. - Tutaj. Widziałam, jak coś się poruszyło.

Wayland zajrzał za łóżko.

- To dzieci - powiedział zmieszany i zwrócił się do Samanty. - Co te dzieci tu robią?

- To moi goście - oznajmił Yale, wyszedł z łóżka i przeciągnął się. - Prawdę mówiąc, Sam, przyprowadziłem dziewczynkę do ciebie, ale nie miałem sumienia cię budzić. Ona jest chora. Czy mogłabyś się nią zająć i ją wyleczyć?

- Chora? - powtórzył jak echo Wayland. - Na co?

- Oczywiście, mogę spróbować - powiedziała Samanta, nieco zbity z tropu błyskawiczną zmianą sytuacji.

Wayland postąpił krok.

- W żadnym razie! Nie możemy pozwolić, żeby te brudne dzieci zostały w tym domu... szczególnie jeśli są chore. Oszalałeś? Przecież mogą zarazić moich synów.

- Nie mogłem zostawić ich na ulicy - bronił się Yale.

- Och, Yale... - zaczęła Marion, lecz zaraz urwała i zwróciła się do Emily. - Idź i powiedz niani, żeby nie pozwoliła chłopcom wyjść z pokoju dziecinnego. Pośpiesz się!

Służąca poszła wypełnić polecenie. Wayland nie potrafił opanować gniewu.

- Yale, nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś. Postradałeś rozum? Ledwie zdążyłem uwierzyć, że się zmieniłeś, wycinasz taki numer! Gdzie ich znalazłeś, na miłość boską?

Yale oparł się o kolumnę łoża i uniósł podbródek.

- Złapałem tego chłopaka, kiedy ukradł mi portfel.

- Złodzieje! - Wayland aż poczerwieniał z oburzenia. Otworzył usta, lecz natychmiast je zamknął, jakby zabrakło mu słów. - Bates, natychmiast ich stąd wyrzuć! - polecił lokajowi.

---

Dziewczynka, wyraźnie młodsza od brata, cichutko krzyknęła z przerażenia i chłopiec otoczył ją ramieniem. Jednak kiedy lokaj ruszył w ich stronę, Yale zastąpił mu drogę.

- Nie waż się ich tknąć!

## 14

Bates zatrzymał się i niepewnie popatrzył na księcia.

Samanta wstrzymała oddech.

- To moi goście - powiedział Yale do brata. - Jeśli nie będą mogli tu zostać, wyjdę stąd razem z nimi.

- Boże - westchnął Wayland i dał Batesowi znak, by wyszedł z pokoju. Zaledwie za lokajem zamknęły się drzwi, wybuchnął: - A ja myślałem, że się zmieniłeś! Zaczynałem wierzyć, że zmądrzałeś. Co gorsza, stawiasz mnie w kłopotliwej sytuacji. Nie mogę trzymać tych ... - wskazał dwoje obdartych dzieci, jakby zapomniał słów - ludzi pod moim dachem. To się nie mieści w głowie.

- Wayland, przestań przemawiać z takim patosem - rzucił Yale. - To są dzieci, tylko i po prostu dzieci. Nie mają rodziców ani domu. Ty też byłbyś brudny i obdarty, gdybyś musiał żyć tak jak one.

- To ty niczego nie rozumiesz. Już zapomniałeś o tym, co się zdarzyło przed laty? W towarzystwie nikt już nie pamięta, dlaczego okryłeś się niesławą ... ale to nie potrwa długo, skoro tylko ludzie dowiedzą się o tym twoim wybryku. To naprawdę niesłychane zuchwalstwo.

- Nie marudź - rzekł Yale. - Jestem człowiekiem wolnym i robię to, na co mam ochotę. Jeśli przyjdzie mi ochota na niańczenie całej gromadki dzieci, będę to robił.

- Tak? A co na to powie Samanta? Nikt tak nie postępuje. Zwrócisz na siebie uwagę, a ludzie natychmiast przypomną sobie o skandalu.

- Och, tak, pomyślą, że jestem straszną czarną owcą, bo opiekuję się chorymi dziećmi. Co też zmaluję następnym razem? - przedrzeźniał brata Yale.

- Do diabła, Yale, przecież dobrze wiesz, o co mi chodzi.

- Wiem, braciszku. Masz na myśli to, że jestem tu mile widziany, dopóki przestrzegam twoich reguł. Jesteś taki sam jak twój ojciec.

- Tak? No cóż, teraz zaczynam rozumieć, jak to wszystko wyglądało z jego punktu widzenia!

Samanta stanęła pomiędzy braćmi.

- Bardzo was proszę, jeśli chcecie się kłócić, przejdźcie do drugiego pokoju. Te dzieci nie są niczemu winne, a teraz tylko je straszycie.

Po jej słowach mężczyźni spojrzeli na dzieci. Dziewczynka szlochała. Samanta przykłęka i przyłożyła dłoń do jej czoła. Mała była przeziębiona i miała niewielką gorączkę, ale poza tym chyba nic jej nie dolegało. Yale miał rację, że przyprowadził ją tutaj, do ciepłego pomieszczenia. Niewielkie

przeziębienie łatwo mogło rozwinąć się w chorobę zagrażającą życiu.

Marion ścisnęła ramię męża.

- Wayland, chyba trochę przesadziłeś.

Spojrzał na żonę, spochmurniał, po czym gwałtownie odwrócił się i ruszył do drzwi.

- Trzymaj swoich „gości” z dala ode mnie i od moich dzieci. Jak tylko wydobrzeją, mają opuścić mój dom~ - Położył rękę na klamce. - Ach, prawda. Marion i ja zdecydowaliśmy przedstawić was w towarzystwie. Zaczniemy od skromnego obiadu dla członków rodziny dziś wieczorem. Marion rozesłała już zaproszenia. W przyszłym tygodniu wydamy wielki bal na waszą cześć.

- Kazesz zabić tłustego cielca? - zapytał kpiąco Yale. Wayland zmrużył oczy.

- Radziłbym ci złożyć wizytę u krawca.

Yale skłonił głowę w pozornie uprzejmym, lecz w gruncie rzeczy kpiącym geście.

- Nie życzę sobie żadnego balu. A dzisiaj wieczorem możecie przedstawić Samantę. Moja rodzina i „towarzystwo” wypięli się na mnie przed laty i niech mnie diabli, jeśli będę chodził przed nimi na dwóch łapkach jak tresowany niedźwiedź.

Wayland szarpnął gałkę i otworzył drzwi.

- Wciąż bawisz się w buntownika? Chodź, Marion.

- Nie dodawszy już ani słowa, wyszedł z pokoju.

Marion została jeszcze na chwilę w sypialni.

- Zarządę, żeby dzieciom przygotowano łóżka na piętrze dla służących. Samanto, powiedz Fenleyowi, czego potrzebujesz, żeby wyleczyć dziewczynkę, on dopilnuje, żeby spełniono twoją prośbę. I jeszcze jedno - dodała, przystając w drzwiach. Poprosiłam, żeby krawcowa przyszła tu dzisiaj po południu. Jeśli nie będzie miała dla ciebie odpowiedniej sukni na wieczór, poszukamy czegoś w mojej szafie.

- Dziękuję, Wasza Łaskawość - powiedziała Samanta. Czowała wielką sympatię do Marion.

Księżna uśmiechnęła się i popatrzyła na Yale'a.

- Wayland naprawdę się cieszy, że tu jesteś - powiedziała i wyszła z pokoju.

Yale i Samanta zostali z dwojgiem wystraszonych dzieci.

Dziewczynka trzęsła się na całym ciełe.

- Nie bój się - powiedziała łagodnie Samanta. - Wszystko będzie dobrze. Jak masz na imię?

- Alice - odpowiedział za nią chłopiec.

- A to jest jej brat, Terrance - rzekł Yale, przysiadając na brzegu łóżka. Pomimo tak poważnej kłótni z bratem, wydawał się całkiem beztroski.

- Nie bój się, Alice. - Samanta zwróciła się do dziewczynki. - Książę i księżna dopilnują, żebyście mieli jedzenie i ciepłe łóżka. - Spojrzała na Terrance'a. - Wydawał się jej za młody na to, by popełnić przestępstwo. - Naprawdę chciałeś ukraść portfel milorda? - zapytała.

- Nie mógł w inny sposób zdobyć pieniędzy na jedzenie dla siostry. - Yale próbował bronić chłopca.

Lecz chłopak wiedział, co to honor.

- Tak, milady, ukradłem milordowi portfel - odpowiedział szczerze.

- A wiesz, że źle postąpiłeś? - Nie zwróciła uwagi na to, że Yale wymamrotał „O, Boże”. Postanowiła później zwrócić mu uwagę, żeby nie używał imienia Boga nadaremno.

- Tak, milady, wiem, i więcej tego nie zrobię. Chyba że ...

- Chyba że co? - zapytała Samanta.

- Chyba że będę musiał zdobyć jedzenie dla siostry.

Samanta pogładziła go po policzku.

- Rozumiem. A teraz chodźmy zobaczyć, co możemy zrobić, żeby szybko wyzdrowiała. - W stała i podeszła do kosza z lekarstwami, który stał obok ogromnej szafy. Wyjęła torebkę z kwiatem rumianku i maści potrzebne do przygotowania kataplazmów na piersi dziewczynki.

Zadzwoiła na Fenleya; pojawił się bardzo szybko.

- Fenley, to jest Terrance, a to jego siostra Alice. Dzieci, to jest pan Fenley. Zaprowadzi was do wygodnych, czystych łóżek i poda Alice ziołową herbatkę. Alice musi wszystko wypić. Kiedy się ubiorę, przygotuję okład. Terrance, jesteś odpowiedzialny za to, żeby Alice stosowała, się do moich poleceń.

- Wszystkiego dopilnuję, milady - obiecał solennie.

Samanta uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Fenley, dzieci są przeraźliwie brudne, a ja wierzę w to, że czystość to zdrowie. Proszę, żeby zostały wykąpane.

Dzieci wydały zdumione westchnienia.

- Nie mam zamiaru się kąpać - powiedział stanowczo Terrance.

- Będziesz musiał, jeśli chcesz tu zostać - ostrzegł go Yale.

- W takim razie nie mam wyboru - odpowiedział ponuro chłopiec. - Nie mogę tu zostawić siostry. - Sprawiał wrażenie tak głęboko nieszczęśliwego, że Samanta roześmiała się serdecznie.

- Pójdziecie z Fenleyem - zdecydowała.

- Zaniosę dziewczynkę - zaproponował Yale i wziął Alice w ramiona.

Odprowadzając ich wzrokiem, Samanta zdała sobie sprawę, że Terrance i Alice darzą Yale'a całkowitym zaufaniem i że on z pewnością ich nie zawiedzie. Prędzej opuściłby dom Waylanda, niż zgodził się na to, by dzieci zostały wypędzone na ulicę.

Samanta popatrzyła na suknię ślubną, która wciąż wisiała na wieszaku, i zaczęła się ubierać.

Cesała właśnie włosy, kiedy Yale otworzył drzwi, łączące jej sypialnię z salonikiem, i oparł się o framugę.

Skrzyżował ramiona na piersiach.

- Czy zgadzasz się z moim bratem, że musiałem oszaleć, żeby przyprzewodzić tutaj te dzieci?

Samanta przerwała szczotkowanie włosów.

- A czy moje zdanie liczy się choć trochę?

Zachnął się.

- Oczywiście.

Postanowiła odpowiedzieć mu szczerze.

- Dziewczynka rzeczywiście jest chora i potrzebowała schronienia. Ale to jest dom Waylanda, który ma prawo myśleć o swoich dzieciach. Przecież nie wiedział, na co choruje Alice, a wszystkie choroby tak szybko się przenoszą i rozprzestrzeniają. Dziecko Rymanów zmarło na chorobę, która wydawała się zwykłym przeziębieniem. Mogłeś narazić swoich bratanków na niebezpieczeństwo. Poza tym niepotrzebnie powiedziałeś Waylandowi, że chłopak ukradł portfel; to na pewno nie usposobiło go przychylnie do Terrance'a. Głęboko zaczerpnęła tchu dla dodania sobie odwagi. - Ale myślę, że dobrze zdawałeś sobie z tego sprawę, kiedy to mówiłeś.

Oczy Yale'a rozbłysły gniewem.

- Nie myślałem o tym ani przez chwilę. - Odszedł od drzwi. - Powinienem być spostrzec, że jesteś taka sama, jak członkowie mojej rodziny. Wszyscy zawsze interpretują moje postępowanie na niekorzyść - powiedział i wyszedł z pokoju.

Samanta odprowadziła go wzrokiem. Dlaczego zareagował tak gwałtownym wybuchem złości?

Zaświtało jej w głowie, że odkąd wyjechali ze Sproule, ciągle ją prowokował. Nagle poczuła, że ma tego serdecznie dość. Nie miała zamiaru ukrywać swego zdania, a jeśli jej opinie go denerwowały, nie powinien o nie pytać. Weszła do salonu i skierowała się prosto do drzwi, prowadzących do sypialni Yale'a.

Nie zapukała, sądząc, że i tak by nie odpowiedział. Weszła do środka. Yale, rozebrany do pasa, trzymał w ręku koszulę. Kamerdyner nalewał wodę do miednicy. Niespodziewane wejście Samanty tak go wystraszyło, że wylał wodę na podłogę.

Chciał natychmiast zabrać się do sprzątanego, lecz Samanta nie zamierzała czekać.

- Zostaw nas samych - poleciła. Służący szybko wyszedł z pokoju. Yale zamrugał, zaskoczony.

- To ty?

- Tak, to ja - odpowiedziała. - Mam ci parę rzeczy do powiedzenia.

Chciał coś wtrącić, lecz uniosła rękę, by jej nie przerywał.

- Ranek spędziłam na przyjmowaniu mieszkańców tego domu w koszuli nocnej. Znalazłam się w pozycji nie do pozazdroszczenia: pomiędzy braćmi, którzy nie potrafią spokojnie usiąść na pięć minut i porozmawiać jak ludzie cywilizowani, żeby dojść do zgody ...

- To nie takie proste. Dziela nas lata nieporozumień.

- Nic mnie to nie obchodzi - odpowiedziała, zbijając go z tropu. - Ale kiedy następnym razem będziesz pytał mnie o zdanie, masz stać i słuchać, co mam do powiedzenia, albo w ogóle nie zwracać mi głowy. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

- Sam ...

- Jeszcze nie skończyłam! - Wystąpienie wprawiło ją w tak bojowy nastrój, że zapomniała o dręczących ją niepokojach. Myślę, że twój brat trochę przesadza, ale widzę, że ciągle go prowokujesz. Dlaczego przyprowadziłeś tu te dzieci?

- Bo były chore.

- A pewnie też dlatego, że przeczuwałeś, że to nie spodoba się Waylandowi, prawda? - zapytała podejrzliwie.

- Nie myślałem o nim ani przez chwilę.

- A powinieneś być pomyśleć. To jego dom, a chociaż nie chciałabym, żeby biedactwa zostały wyrzucone na ulicę w taki ziąb, to przecież musiałeś wiedzieć, że go zdenerwujesz. Tak samo dobrze wiesz, czym możesz zdenerwować mnie.

- To nieprawda!

- Nieprawda?

Rozłożył ręce w bezradnym geście.

- Co ja takiego zrobiłem?

- Zacznijmy od początku, dobrze? - Zaczęła kolejno wyliczać jego winy, odginając palce. - Okłamałeś mnie ...

- Już ci to wyjaśniłem!

- Poślubiłeś mnie pod fałszywym nazwiskiem ...

- To wiąże się z tym kłamstwem, to jest to samo przewinienie, Sam, nie możesz liczyć go dwa razy.

- Kochałeś się ze mną - powiedziała, jakby gwałtownie ożywił jej pamięć - a potem powiedziałeś mi, że chcesz mnie opuścić.

Rzucił koszulę na krzesło.

- To nieuczciwe, Sam. Zawsze chciałem się tobą opiekować. Nie zważała na jego zaprzeczenia.

- Potem przywiozłeś mnie do Londynu, do swojej rodziny, i nie chcesz

wziąć udziału w dzisiejszym obiedzie, w czasie którego mam wszystkich poznać.

- Co? - Wykrzywił twarz w grymasie. - O czym ty mówisz? Chcesz mi powiedzieć, że wściekasz się dlatego, że nie mam zamiaru przyjść dziś na obiad?

- Wściekam się? Tak to nazywasz?

- Właśnie tak.

- Ale się mylisz! Ja po prostu jestem na ciebie zła!

- Samanto, chyba cię nie rozumiem. Kiedy chcę dzielić z tobą łóżę, zrzucasz mnie na podłogę ...

- A co to wszystko ma wspólnego z łóżkiem? - wycodziła przez zaciśnięte zęby.

- A potem wystarcza, żeby mój brat pstryknął palcami, i rozbierasz się w mojej sypialni...

- Yale, to był błąd. - Natychmiast pożałowała swoich skarg. - Nie powinnam była ...

- Masz rację. A potem trzymasz stronę mojego brata w sporze o Terrance'a i Alice.

- Wcale nie trzymam jego strony.

- Nie? - zapytał i chwycił się pod boki. - W takim razie czemu zawdzięczam ten wykład? W ciągu ostatnich kilku dni zaliczyłem już kilka.

Prychnęła.

- Przecież powiedziałam, że miałeś rację.

- Tak, ale potem oskarżyłaś mnie o to, że chciałem w ten sposób zdenerwować brata:

- Chciałam ci tylko dać do zrozumienia, że postąpiłeś właściwie, ale nie działałeś ze szlachetnych pobudek.

- Nie działałem ze szlachetnych pobudek! Boże, kobieto, wyprowadziłaś z równowagi nawet świętego!

- Nie używaj imienia Pana Boga swego nadaremno - powiedziała z powagą.

- Jezusie, Mario i Józefie święty - odpowiedział. - To już nie wystarcza, że spełniam dobry uczynek, tylko jeszcze muszę go spełniać z odpowiednich pobudek?! Chyba oszaleję! Nikt nie powie: „Dziękuję, Yale'u” ani „Dobrze się spisałeś” przedrzeźniał falsetem. - Nie, ponieważ motywy mojego postępowania uchodzą za podejrzanę. Mój brat ma ochotę wyrzucić te dzieci na ulicę, a ty uważasz, że to ja powinienem okazać zrozumienie!

- Nie rozumiesz, o co mi chodzi...

- Doskonale rozumiem! - Podszedł do Samanty i spojrzął jej prosto w oczy. - A wiesz, co naprawdę doprowadza mnie do szaleństwa?

- Co?



- To, że w tej chwili mam ochotę cię pocałować! Pewnie prychnęłaś na mnie jak kotka, ale coś mi mówi, że warto spróbować.

Samanta nie wierzyła własnym uszom.

- To właśnie cały ty. Staram się z tobą poważnie porozmawiać o istotnych sprawach, a ty myślisz o tym, żeby mnie pocałować! Nie mam na to ochoty.

- Bujasz.

- Nie kłamię.

- Nie sprzeczasz się ze mną.

- Nie chcę, żebyś mnie całował - powiedziała stanowczym tonem.

- Samanto, nie powinnaś była tego mówić.

Dostrzegłszy jego rozplamiony wzrok, rzuciła się do ucieczki, ale chwycił ją za ramiona, odwrócił do siebie i zamknął jej usta pocałunkiem.

Był to gwałtowny, gniewny pocałunek. Ona również dała upust swej złości, odpowiadając ciosem na cios. Ten pocałunek nie przypominał łagodnych, czułych pieszczot, był starciem silnych charakterów.

Yale pierwszy oderwał usta od jej warg.

- Nie lubisz ustępować, prawda?

Miała obrzmiałe, suche wargi; w uszach słyszała mocne bicie rozszalałego serca.

- A ty lubisz? - prowokowała. Spojrzenie Yale'a złagodniało.

- A jak myślisz? - Pochylił się, by znów ją pocałować, tyle że tym razem Samanta, wiedząc, że nie zniesie już kolejnego ataku, odepchnęła męża i uciekła.

Pobiegł za nią.

- Sam!

Wbiegła do swojej sypialni i zamknęła drzwi. Po chwili usłyszała, że zatrzasnął swoje.

Uniosła poduszkę i cisnęła nią o podłogę. Potem to samo zrobiła z pozostałymi poduszkami. Była na niego wściekła. Wydał jej się zbyt zuchwały, uparty i skupiony na sobie.

Słyszała, jak niespokojnie przechadza się po salonie.

Jeśli miał nadzieję, że Samanta otworzy drzwi, to bardzo się mylił. On pierwszy musi ją przeprosić, bo to ona była stroną poszkodowaną.

W pewnej chwili wydawało jej się, że słyszy jego kroki tuż przy drzwiach. Usiadła na łóżku; serce podeszło jej do gardła. Oczami wyobraźni widziała go nawet po drugiej stronie drzwi, gotowego lada chwila zapukać.

Lecz zaraz potem usłyszała oddalające się kroki. Drzwi jego sypialni otworzyły się i zamknęły. Zastygła w oczekiwaniu. Kilka minut później usłyszała, jak idzie korytarzem.

Samanta z trudem rozpoznała w lustrze bladą kobietę o dużych,

smutnych oczach. Nigdy dotąd nie doświadczała takiego natłoku myśli i uczuć.

Jeszcze przed tygodniem jej świat był prosty i wszystko było w nim albo dobre, albo złe. Teraz nie poznawała siebie i była pewna tylko jednego - że jest beznadziejnie zakochana w Yale'u.

Minęła jej cała złość do niego. Żałowała, że nie jest taka jak inne kobiety, które potrafiły nieustannie się śmiać, flirtować i ukrywać swoje prawdziwe uczucia. Niektóre miały wielu kochanków; ona tylko jednego, i coś jej mówiło, że inni mężczyźni mogą dla niej nie istnieć, że w jej życiu liczyć się będzie tylko Yale.

- Boże - westchnęła. - Jak można żyć ze złamanym sercem?

Yale wyszedł z domu, rozczarowany postawą wszystkich członków rodziny.

Czuł się jak w raju, całując Samantę. Pomyślał, że można stracić rozum, kiedy pocałunek smakuje tak wspaniale. Po raz pierwszy kobiecie udało się wprowadzić takie zamieszanie w jego życie.

Był gotów błagać ją o przebaczenie. Przez chwilę stał przed drzwiami jej sypialni, mając zamiar paść przed nią na kolana.

Na szczęście w porę wrócił mu rozsądek. Przecież Samanta go nie kochała. Wyraźnie dała mu to do zrozumienia.

On też jej nie kochał. Zbyt trudno było ją zrozumieć. Ta sztuka nie udałaby się chyba żadnemu mężczyźnie na świecie, a on miał już dość próbowania.

Co ciekawe, interesowała się nim bardziej wtedy, gdy myślała, że jest biedakiem, niż teraz, kiedy wiedziała, że jest majątnym człowiekiem z moźnej rodziny. Inne kobiety byłyby szczęśliwe, mając bogatego męża ... ale nie Sam.

Nikt jeszcze nie ośmielił się kwestionować szczerości jego intencji, tymczasem Samanta nie tylko się ośmieliła, ale - co gorsza - miała rację! Nie pomyślał o tym, że przyprawiając do domu brata chore dzieci, naraża zdrowie, a może nawet życie swoich bratanków.

Ta kobieta potwornie go denerwowała!

Wynajął konia i pojechał do doków. Wind Eagle kotwiczył tam, gdzie zostawił go przed swoją nieszczęsną podróżą na Północ. Udał się do biura magazynów swojej firmy. Na jego widok urzędnicy zerwali się z krzesel. Pomyślał, że nareszcie znalazł się w miejscu, gdzie jest darzony szacunkiem.

Zdjął surdut i zabrał się do pracy. Na jego biurku piętrzyły się stopy korespondencji, a bankier prosił o spotkanie. Praca nadawała jego życiu sens i dodawała sił.

Wręcz przeciwnie niż kobiety, pomyślał.

Samanta nie miała zamiaru spędzić całego dnia w nastroju przygnębienia. Obiecała przygotować okład dla Alice i musiała się tym zająć,

mimo że najchętniej spakowałaby torbę i pierwszym rannym dyliżansem pocztowym wyjechała do Sproule.

Przygotowała kataplazm, po czym Emily zaprowadziła ją do pomieszczeń dla służby na drugim piętrze, gdzie przygotowano pokój dla Alice i Terrance'a: Służący byli zajęci wykonywaniem swych obowiązków w różnych częściach domu i na ich piętrze panowała cisza.

Samanta podziękowała Emily i udała się tam, skąd dochodził czyjś głos. W małym pokoiku przy tylnych schodach prowadzących do kuchni zobaczyła śpiącą Alice. Terrance siedział na podłodze przy jej łóżku, słuchając Fenleya, który czytał mu książkę.

Samanta przystanęła w drzwiach, zaskoczona, że widzi tu służącego.

Fenley skończył czytać i wstał.

- Dzień dobry, milady. Zabawiam naszych gości.

- Właśnie widzę. Podobało ci się to opowiadanie? - zapytała Terrance'a.

- Tak, milady.

- Terrance zna litery i całkiem nieźle radzi sobie z rachunkami - powiedział z uznaniem Fenley. - Mam nadzieję, że kiedy Jego Łaskawość się o tym dowie, zmieni zdanie o tym młodym człowieku. Może uda nam się znaleźć dla niego jakieś zajęcie w domu księcia.

- Byłoby wspaniale - powiedziała Samanta, a Terrance uśmiechnął się z dumą.

- Mama powiedziała, że będzie się nami opiekować z nieba i widocznie tak jest - powiedział Terrance. - Kiedy było nam bardzo źle i bałem się, że umrzemy z głodu, lord Yale nas uratował. Nigdy nie będzie musiał tego żałować, milady. Obiecuję.

- Jestem tego pewna - uspokoiła go Samanta. Usiadła na brzegu łóżka i delikatnie obudziła Alice, by zrobić jej okład. Po przyłożeniu kataplazmu, dziewczynka obróciła się na drugi bok i zasnęła.

Samanta przyłożyła dłoń do jej czoła.

- Czy ona wyzdrowieje, milady? - zapytał z niepokojem Terrance.

- Tak - odpowiedziała z przekonaniem. - Sen to najlepsze lekarstwo, chociaż mieliście dużo szczęścia, że pan Carderock znalazł was, kiedy choroba jeszcze się nie rozwinęła.

- Wiem - zgodził się z nią Terrance. - Przepraszam, że dzisiaj rano sprawiliśmy Jego Lordowskiej Mości tyle kłopotu dodał po chwili.

Samanta szczerze otuliła kołdrą przeraźliwie chude ramiona Alice.

- Jego Lordowska Mość i książę to bracia. To była taka sprzeczka między braćmi.

Fenley zachichotał.

- Opiekuj się siostrą - zwróciła się Samanta do Terrance'a. Poproszę, żeby przyniesiono jej bulion; musisz dopilnować, żeby Alice wszystko wypila.

- Dopilnuję - obiecał chłopiec.
- Zajrzę do niej za jakąś godzinę.
- Dziękuję, milady. - Terrance skłonił się niezgrabnie.

Samanta uśmiechnęła się do chłopca i wyszła z pokoju. Fenley podążył za nią.

- Osobiście dopilnuję, żeby z kuchni przysłano bulion, milady.  
- Dziękuję, Fenley. - Lekko dotknęła jego ramienia. - To miłe, że tak troskliwie zajmujesz się tymi dziećmi.

- Nie ma o czym mówić. Zawsze lubiłem rozmawiać z małymi urwisami, których panicz Yale przyprawdzał do domu.

Panicz Yale. Nie słyszała jeszcze, żeby ktoś tak nazwał jej męża. Podobało jej się ojcowskie brzmienie tych słów.

Fenley ruszył w stronę tylnych schodów, ale zatrzymał go głos Samanty.

- Kogo Yale przyprawdzał do domu?

Służący odwrócił się.

- Panicz Yale często wracał ze szkoły z jakimś biednym chłopcem, który nie miał gdzie się podziać ... albo nie chciał iść tam, gdzie mu kazano. Panicz Yale miał miękkie serce. Zawsze go za to podziwiałem. Potem, kiedy zaczął prowadzić hulaszczy tryb życia, pomyślałem, że stracił dawną wrażliwość. Ucieszyłem się, widząc, że mimo swoich sukcesów i bogactwa, potrafi ulitować się nad biedakami. Myślę, że prawdziwy dżentelmen musi być wrażliwy.

Słowa starego sługi dziwnie korespondowały z odczuciami Samanty.

- Jego Łaskawość mówi, że znasz wszystkie rodzinne tajemnice.

Fenley skłonił się z uszanowaniem.

- Mam zaszczyt od wielu lat służyć w domu Ayleboroughów. - W takim razie musisz coś wiedzieć na temat nieporozumień mojego męża z jego ojcem.

Wodniste niebieskie oczy patrzyły na nią uważnie.

- Często się spierali - powiedział w końcu. - Panicz Yale nigdy nie uznawał autorytetów i nie podporządkowywał się ani woli ojca, ani dyrektorów szkół, do których uczęszczał. Stary książę był taki jak Jego Łaskawość. Przede wszystkim miał na względzie dobro rodziny i najbliższych. Panicz Yale podchodził do tych spraw bez należytego szacunku.

Samanta przesuwała dłonią po gładkiej poręczy schodów.

Zamyśliła się na chwilę, a potem zapytała:

- Dlaczego Yale został wydziedziczony?

Fenley zmarszczył czoło.

- Wiem, że nie powinnam o to pytać, ale mam wrażenie, że wiedzą o tym wszyscy oprócz mnie, a nie mam do kogo zwrócić się z tym pytaniem. -

Położyła mu rękę na ramieniu. Yale odpowiedziałby mi żartem, a jeśli spytam o to księcia, ofuknie mnie i powie, żebym się tym nie przejmowała. A ja właśnie się przejmuję. Słyszałam wiele historii na temat Yale' a, a jednak pod wieloma względami zupełnie nie przypomina mi człowieka z tych opowiadań. Ale pod pewnymi względami jednak przypomina - dodała, czując, że się rumieni.

Oczy Fenleya rozblęły wesoło.

- Och, panicz zawsze miał powodzenie u kobiet.

- Słyszałam, że Yale został wydziedziczony właśnie z powodu romansów, ale Jego Łaskawość wspomniał, że to nieprawda. Powiedział, że to dlatego, że Yale roztrwonił pieniądze.

- Panicz Yale rzeczywiście był rozrzutny, ale wcale nie bardziej niż inni rozpieszczeni synowie bogatych ojców.

- W takim razie, co się stało?

Fenley pokręcił głową.

- Nie wiem, czy powinienem pani o tym mówić. To już nie ma żadnego znaczenia.

- Bardzo cię proszę, muszę wiedzieć. - Popatrzyła na niego błagalnym wzrokiem. - Chcę to wiedzieć.

- No cóż, ktoś rzeczywiście powinien pani o tym powiedzieć - przyznał i uważnie rozejrzał się dookoła, chcąc mieć pewność, że są sami. - Chyba pani rozumie, milady, że w rodzinach dzieją się różne rzeczy, które mogą wyglądać zupełnie niewinnie dla osoby postronnej, ale mają wielkie znaczenie dla bezpośrednio zainteresowanych.

Samanta przywołała na pamięć wiele sporów rodzinnych, do rozwiązania których wzywano jej ojca pastora. W niektórych z tych sporów chodziło rzeczywiście o błahostki.

- Tak, wiem, co masz na myśli.

- To dobrze. - Zacerpnął tchu. - Moim zdaniem w kłótniach między lordem Yale'em i jego ojcem chodziło o prawo do wolności. Niezależnie od tego, czy milord gotów jest to przyznać, czy nie, jest bardzo podobny do swego ojca.

- Naprawdę? - Samanta nigdy tego nie zauważyła. - Zapamiętałam starego księcia jako łagodnego, miłego pana.

- To wszystko prawda, ale w młodości stary książę uwielbiał wyzwania. Był samowolny i uparty. Nikt nie miał prawa mówić mu, co ma robić.

- Był taki, jak teraz Yale?

Fenley uśmiechnął się.

- Zupełnie taki sam. Wayland zawsze był pokorniejszy. Wpojono mu, jako najstarszemu synowi, że ciąży na nim wielka odpowiedzialność za losy

rodziny. Był dobrym uczniem i poważnie traktował swoje obowiązki, tak jak tego sobie życzył ojciec. Tymczasem panicz Yale miał kłopoty w szkole ... nie mówię, że brakowało mu inteligencji, bo jest bardzo bystry i w lot wszystko pojmuje. Ale brak mu pilności.

Samanta pokręciła głową.

- Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, jak ktoś, kogo energia rozpiera tak jak Yale' a, mógł wytrzymać w szkolnej ławce.

- Było z nim trochę kłopotu. A po śmierci matki stał się jeszcze trudniejszy we współżyciu. Zawsze mi się wydawało, że nie w pełni czuł się członkiem tej rodziny. Jego brat i siostra mieli tę samą matkę, która bez wątpienia była ukochaną żoną starego księcia. Biedny panicz Yale był dużo młodszy i nie był nawet do nich fizycznie podobny.

- Ja dostrzegam rodzinne podobieństwo.

- Ale on go nie widział - delikatnie zwrócił jej uwagę Fenley. - Czuł się samotny, mimo że był lubiany i miał przyjaciół. Zawsze był bardzo przystojny i kobiety lubiły mu matkować albo uganiały się za nim. Oczywiście okropnie go to zepsuło i stał się nieznośny. Powinnaś, milady, zapytać, o jego najślynniejsze wyczyny w szkole. Trzy razy zawieszano go w prawach ucznia w Eton, aż w końcu go stamtąd wyrzucono.

- Musiało to bardzo zmartwić starego księcia.

- Tak. Chociaż udało mu się umieścić Yale'a w Sto John's College. Wytrzymał tam niecałe sześć miesięcy. Ale ojciec o tym nie wiedział, ponieważ panicz Yale nie wrócił do domu. Pojechał do Londynu i korzystając z zaufania, jakim darzono ojca, urządził się tam w wielkim stylu.

Samanta roześmiała się. Bardzo jej to pasowało do Yale'a.

- Tak, to nawet było zabawne - przyznał Fenley. - Dziewiętnastoletni chłopak miał swoją własną rezydencję, armię służących i był członkiem elitarnych klubów. Pierwsze rachunki pojawiły się na biurku ojca mniej więcej w tym samym czasie co list od sekretarza college'u. Książę poprosił, bym mu towarzyszył w wyprawie z Northumberland do Londynu na rozmowę z synem. Poprzedniej nocy panicz Yale wydał wielkie przyjęcie. Dosłownie potykaliśmy się o puste butelki po' winie. Panicz Yale był pijany.

- Czy jego ojciec bardzo się rozzłościł?

- Z początku nawet nie, ale rozsierdził się, kiedy panicz Yale w ogóle nie okazał skruchy. Chłopak wpadł w złe towarzystwo i został oskubany z pieniędzy w grach hazardowych. Myślę, że bardzo to przeżywał, ale, jak to zwykle bywa z młodymi ludźmi, miał nadzieję, że wybrnie z długów, grając brawurowo przy zielonym stoliku.

- Więc się pokłócili.

- Bardzo poważnie. Yale nie miał zamiaru przyznać się do błędów, a ojca coraz bardziej gniewało synowskie nieposłuszeństwo. I stary książę

postanowił dać synowi nauczkę.

- Która nie podziałała tak, jak to sobie zaplanował. Fenley wzruszył ramionami.

- Od razu mogłem mu to powiedzieć. Chłopak był równie dumny jak ojciec i wiadomo było, że nie przyjdzie błagać o przebaczenie.

Samanta przemyślała wszystko, czego się dowiedziała. Skrzyżowała ręce na piersiach.

- A teraz nie chce zostać w Anglii, ma zamiar wyjechać.

- To zrozumiałe - rzekł Fenley. - Jego brat nie rozumie, że jemu łatwiej było spełniać rozkazy ojca, ponieważ pewnego dnia sam miał zostać księciem. Ale panicz Yale nie miał takiej perspektywy. Jest bardzo ambitny, nie jest też typem mężczyzny, który bez zastanowienia spełnia polecenia innych. Nie będzie szczęśliwy, mieszkając tutaj i wypełniając rozkazy brata.

- Czy powiedziałaś to Jego Łaskawości?

- Nie prosił mnie o radę.

Samanta przyjrzała się staremu słudze. Polubiła go i darzyła zaufaniem.

A ponieważ czuła potrzebę zwierzenia się komuś bliskiemu, wyszeptwała:

- Yale chce mnie opuścić.

Fenley zastanawiał się przez chwilę.

- Bardzo mi przykro to słyszeć - powiedział w końcu.

- Kocham go. - Uniosła wzrok i ich spojrzenia się spotkały. Fenley ojcowskim gestem położył rękę na jej ramieniu.

- Byłeś kiedyś zakochany? - zapytała.

- Przeżyłem trzydzieści dwa lata z moją żoną, świętą kobietą. Była radością mojego życia. Zmarła pięć lat temu. Codziennie o niej myślę.

- Boję się, że czuję coś podobnego w stosunku do Yale'a. Doprowadza mnie do szału, jest uparty i niezależny, ale jestem pewna, że nie byłabym w stanie pokochać nikogo innego tak, jak pokochałam jego. Och, Fenley, co mam robić?

- Miłość to nie jest uczucie, które trzyma się w złotej klatce, milady, i zachowuje wyłącznie dla siebie. To uczucie przekazywane komuś drugiemu. Jeśli ten ktoś nie chce być z nami, nie można go do tego zmusić.

Samanta z trudem zaczerpnęła tchu.

- Może inna kobieta, piękniejsza i mądrzejsza niż ja, potrafiłaby go zatrzymać.

Fenley roześmiał się.

- Panicz Yale to twarda sztuka. Zostanie z panią jedynie wtedy, jeśli będzie tego chciał.

- A jeśli nie?

Fenley posmutniał.

- Wtedy będzie pani musiała zbudować sobie życie bez niego. Będzie

pani ciężko, ale rany z czasem się zagoją. Jest pani silną kobietą, milady. Da sobie pani radę.

Samanta słuchała tych słów z powątpiewaniem. Potrząsnęła głową.

~ Żałuję, że się zakochałam. Lepsza już śmierć niż ból, który teraz muszę znosić.

- Nie - odpowiedział Fenley, biorąc ją za rękę. - Miłość nas wzbogaca, nadaje naszemu życiu sens i głębię. Kiedy umarła moja żona, chciałem, żeby Bóg jak najszybciej zabrał mnie z tego świata. Chciałem być z nią. Ale teraz, kiedy myślę o wspólnie spędzonych latach, ból, którego doświadczyłem po jej stracie, został złagodzony przez wspomnienia szczęśliwych chwil.

- Ale twoja miłość była odwzajemniona - zwróciła mu uwagę Samanta.  
- Czy będę mogła czuć się tak jak ty, jeśli moje uczucie nigdy nie zostanie odwzajemnione?

Uśmiechnął się do niej wyrozumiale, jak dobroduszny ojciec czy dziadek.

- A czy, milady, byłabyś szczęśliwsza, gdybyś nigdy nie zaznała miłości?

Samanta zastanowiła się nad tym pytaniem, zapominając o swych wątpliwościach i obawach, biorąc pod uwagę jedynie miłość do Yale'a i to, co ona dla niej oznaczała.

A było to uczucie niezależne od niej, jasne i promienne, niezmiennie i czyste ... przepelniające ją pięknem swej istoty. Jej serce radowało się z tego niezwykłego daru.

Kochała Yale'a Carderocka takim, jaki był. Widziała jego wady, zdawała sobie sprawę z dzielących ich różnic ... a jednak nie miało to dla niej żadnego znaczenia. Liczyło się tylko to, że miłość ją odmieniła, mimo że do tej pory wcale tego nie zauważała. Teraz miała wrażenie, że przed poznaniem swego męża była jedynie nie w pełni ukształtowanym cieniem kobiety.

Mimo że nie odwzajemniał jej miłości, była teraz silniejsza.

Tak, to było najbardziej dominujące uczucie. W tej chwili czuła wręcz swoją wielką moc. Yale nie tylko zabrał ją ze Sproule. Dzięki niemu zmieniła się też na lepsze.

Jego obecność w jej życiu była wielkim darem i nigdy nie będzie żałować, że go pokochała.

- Kocham go - powiedziała, po czym z wielkim przekonaniem powtórzyła te słowa. - Zawsze będę go kochać, ale masz rację. Miłość to nie powód do rozpacz, tylko do radości.

- Mam nadzieję, że Yale odwzajemni pani uczucie. Samanta pocałowała Fenleya w poorany bruzdami policzek. - Ja też mam taką nadzieję. Ale nawet jeśli tak się nie stanie, pomogłeś mi wszystko zrozumieć. Bardzo ci dziękuję.



Po tej rozmowie z lekkim sercem udała się na spotkanie z księżną.

## 15

Ochmistrz aż otworzył usta, kiedy Yale wkroczył do rezydencji w Penhurst w nowym, eleganckim stroju, Jego reakcja sprawiła Yale'owi wiele radości.

Krawiec, którego Yale odwiedził przed wyjazdem do Northumberland i który powiedział mu o śmierci ojca, uszył dla niego nowe ubrania i doręczył na statek.

Yale zdjął pelerynę, pod którą miał granatowy surdut skrojony według najnowszej mody. Zdawał sobie sprawę, że wygląda teraz tak, jak powinien wyglądać człowiek o jego pozycji. Ciemnożółte spodnie opinały mu uda, błyszczące buty odbijały światło świec. Sprawił sobie nawet nowy cylinder.

Jego elegancja wywołała żywą reakcję Fenleya, który na widok Yale'a omal nie wpadł na marmurową kolumnę. Zdołał jednak ochłonąć znacznie szybciej niż ochmistrz.

- Milordzie, muszę przyznać, że prezentuje się pan wspaniale.

- Panie Carderock - poprawił Yale, podając ochmistrzowi cylinder. - Dziękuję za komplement, Fenley. Niezbyt często udawało mi się cię zaskoczyć.

- Co nie znaczy, że pan nie próbował - odpowiedział pogodnie Fenley.

Yale uśmiechnął się do swoich wspomnień.

- Ale zawsze byłeś wyrozumiały dla moich wybryków.

- Wystawiał mnie na pan na różne próby, milordzie.

Yale roześmiał się, a po chwili zapytał o to, co najbardziej leżało mu na sercu:

- Powiedz mi, gdzie jest teraz moja żona?

- W pokoju dzieciennym z księżną - odpowiedział Fenley.

Yale strzepnął jakąś nitkę z rękawa.

- Pójdę do niej - rzekł i ruszył w stronę schodów.

- Będzie pan obecny na dzisiejszym obiedzie, milordzie? - zapytał Fenley.

- Nie mogę. Zostałem zaproszony na obiad do premiera. Wypowiedział te słowa z wielką satysfakcją. - Timothy, dopilnuj, żeby Bestia był gotowy na wpół do ósmej wieczorem.

- Tak, milordzie - odparł z ukłonem ochmistrz.

Yale wszedł na piętro, nie mogąc doczekać się chwili, w której Samanta zobaczy go w nowym ubraniu. Chciał też przekazać jej dobrą wiadomość o obiedzie u premiera.

Przeżył rozczarowanie, zastawszy w pokoju dzieciennym jedynie swoją

bratową z dzieckiem na ręku.

- Och, Yale'u, jak wspaniale się prezentujesz - powitała go Marion. - Widzę, że nawet obciąłeś włosy.

Bezwiednie przeczesał palcami krótkie włosy, przystrzyżone według ostatniej mody.

- Dziękuję - powiedział. - Właściwie powinienem powiedzieć: „dziękuuuuję” - dodał po chwili, celowo przeciągając samogłoskę jak znudzony dandys.

Marion roześmiała się i stanęła tak, by dziecko mogło zobaczyć Yale'a.

- Charlie, to twój wujek Yale. Prawda, że ładnie wygląda? Potrzeba mu już tylko złotej tabakiery.

Na ustach niemowlęcia pojawiły się pęcherzyki śliny. Yale uważnie przyjrzał się bratankowi. Jeszcze nigdy nie widział tak brzydkiego niemowlaka. Charlie miał dużą, łysą głowę, odstające uszy i nos podobny do nosa Yale'a.

- Prawda, że jest śliczny? - zapytała z dumą Marion. Yale rozpaczliwie szukał odpowiednich słów.

- Wyjęłaś mi to z ust.

- Potrzymaj go. - Nie czekając na reakcję Yale'a, podała mu synka.

Przez dłuższą chwilę wuj i bratanek przypatrywali się sobie z zaciekawieniem.

- Muszę na chwilę pójść do swego pokoju - powiedziała Marion - a niania odsypia noc. Czy mógłbyś przez chwilę zająć się Charliem?

- T... tak, oczywiście. Marion uśmiechnęła się. - Zaraz wrócę.

- Zaczekaj - zatrzymał ją Yale. Szedł za nią do drzwi, niezgrabnie trzymając dziecko. - Gdzie jest Samanta?

- Przygotowuje się na wieczór - odpowiedziała Marion przez ramię. - Będiesz na obiedzie, prawda? Przyjedzie Twyla z mężem, wuj Norris i cała reszta rodziny.

- Niestety, nie będę mógł uczestniczyć w obiedzie - rzekł Yale i z dumą przekazał bratowej najświeższe wiadomości. - Zostałem dziś zaproszony na obiad do premiera.

Marion przystanąła w drzwiach; jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Do lorda Grenville'a?

- Tak. Spotkałem go, jedząc późny lunch z bankierami. Chciałby poznać moje zdanie na temat handlu z Indiami.

- Yale, to wspaniała wiadomość - ucieszyła się Marion. - Oczywiście, będzie nam ciebie brakowało. Wiesz, spędziłam bardzo miłe popołudnie z Samantą. To niezwykła osoba.

- Tak - rzucił obojętnym tonem.

Marion pokręciła głową.

- Wszystko już rozumiem, Yale. Samanta powiedziała mi, że nie jesteście małżeństwem z miłości. Przykro mi, że tak głupio paplałam wczoraj wieczorem.

- Wcale nie paplałaś - mruknął, czując, że Marion spodziewa się odpowiedzi.

- W każdym razie Samanta wyjaśniła mi, że zamierzacie mieszkać osobno.

- Tak powiedziała? - Zaskoczyła go ta wiadomość. Kiedy zdążyła zmienić zdanie na temat ich związku?

- Tak. Mówiła mi też, że Wayland chce, żebyś został w Anglii, ale dokładnie nam wyjaśniła; jak ważne są dla ciebie twoje sprawy zawodowe.

Yale nie wiedział, jak ma zareagować na takie wiadomości.

- Naprawdę?

Marion przytaknęła.

- Samanta jest twoim doskonałym obrońcą. Co prawda Wayland nie jest zachwycony tym, co usłyszał, ale zaczyna oswajać się z myślą, że znów wyjedziesz. Poza tym zostawisz nam Samantę. To taka miła osoba. Będziemy ją kochać jak siostrę.

- Ale ... - Yale urwał. Nie wiedział, co powiedzieć. Nie spodziewał się, że wszyscy tak łatwo pogodzą się z jego wyjazdem. - Bardzo się z tego cieszę.

Marion uśmiechnęła się.

- Zaraz wrócę. - Wyszła z pokoju, zamknąwszy za sobą drzwi.

Yale patrzył przed siebie, zapominając o dziecku, które trzymał w ramionach, więc tym bardziej zaskoczył go przenikliwy płacz, przypominający krzyk pawia.

Spojrzał na Charliego. Czołko bratanka zmarszczyło się ze zmartwienia.

- Mama zaraz wróci - uspokajał go Yale. - Nie martw się.

Jego zapewnienia nie podziały uspokajająco na Charliego, który nabierał oddechu, przygotowując się do alarmującego płaczu. Yale przestraszył się nie na żarty.

Zaczął przechadzać się po pokoju, cały czas mówiąc coś do dziecka. Opowiedział bratankowi o spotkaniu z premierem i o tym, że został zaproszony na obiad. Nie był to właściwy sposób zabawiania niemowlęcia, ale Charlie sprawiał wrażenie zainteresowanego. Chwycił Yale'a za klapę surduta, cały czas wierzgając małymi nóżkami pod długą szatką. Udało mu się zadrzeć ją tak wysoko, że spod koszulki wyrzała stópka w skarpetce. Yale nie mógł oprzeć się pokusie dotknięcia tak malutkiej stopy. Pod skarpetką wyczuł maleńkie paluszki.

Charlie przyglądał mu się z uwagą, ssąc piąstkę.

- Wiem już, co ci dolega. Jesteś głodny - powiedział Yale i uniósł

palec.

Charlie chwycił palec Yale'a i zaczął nagryzać go bezzębnymi dziąsłami. Yale patrzył na chłopca, zdumiony. Malec strasznie się ślinił.

- Będiesz postrachem dla swoich krawców - ostrzegł go Yale. Długo studiował profil bratanka. - Hmm, twój nos nie jest taki zły, powiedziałbym nawet, że wygląda dość szlachetnie.

Charlie popatrzył na wujka, ale nie skomentował jego słów, nie przestał też ssać palca. Yale poczuł dotknięcie wyrzynającego się zębka. Zastanawiał się, jak on wygląda, i miał ochotę zwrócić bratankowi do buzi, lecz nagle poczuł na ramieniu jakieś dziwne ciepło ... dokładnie w miejscu, gdzie znajdowała się pupa Charliego.

Mimo że nie miał żadnego doświadczenia z malutkimi dziećmi, dobrze wiedział, co się stało. Pieluszka Charliego była już tak mokra, że można ją było wyźymać.

Odsunął Charliego od siebie, trzymając go w wyciągniętych rękach.

- No i co ty zrobiłeś?

Mały uśmiechnął się, radośnie przebierając nóżkami.

Yale podszedł do drzwi, wciąż trzymając dziecko przed sobą, zorientował się jednak, że ich nie otworzy, dopóki nie zmieni sposobu trzymania Charliego.

Nie miał ochoty ryzykować, że jego nowe ubranie zostanie zaplamione.

- Marion! Marion! - krzyknął. - Ludzie! Potrzebuję pomocy!

Nasłuchiwał odgłosu kroków.

- Dom pełen służących - powiedział do dziecka - a kiedy potrzebujesz pomocy, nikogo nie można znaleźć.

Charlie zaprezentował nowe bańki ze śliny. Produkował je z wielką łatwością.

Nareszcie ktoś nadchodził. Odsunął się od drzwi, które uchyliły się ... i do pokoju weszła Samanta, wyglądająca jednak zupełnie inaczej niż wtedy, gdy ją ostatnio widział.

Jej błyszczące brązowe włosy były wysoko upięte w węzeł i przeplecione złotą kokardą. Miał wrażenie, że gdyby pociągnął za któryś z końców tej kokardy, włosy Samanty rozsypałyby się na ramionach i sięgnęły aż do pełnych piersi, śmiało wystających znad głębokiego dekoltu różowej muślinowej sukni.

Róż nadawał zdrowego blasku jej skórze i ognia brązowym oczom. Szarfa w tym samym kolorze co wstążka otaczała wysoki stan sukni i podkreślała krągłość i pełność piersi. Yale nie mógł od nich oderwać oczu. Gotów był przysiąc, że widzi ich różowe brodawki.

Kiedy szła przez pokój, materiał sukni przylgnął do jej zgrabnych nóg, uwydatniając zarazem intrygujące „V” u ich szczytu.

- Boże, Sam. Czy masz coś na sobie pod tą suknią?

Znieruchomiała i popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Proszę?

Yale za późno zorientował się, że popełnił gafę.

- Nie chodziło mi o to, że wyglądasz źle. - Musiał przyznać, że wyglądała zachwycająco. - Ale - ciągnął, szukając słów - czy córka pastora powinna nosić taką suknię?

Zarumieniała się.

- To najmodniejsza suknia. Marion ją dla mnie wybrała.

- Marion?

- Tak, to jej suknia. Krawcowa dopasowała ją dla mnie.

Yale wpatrywał się w żonę w osłupieniu. Czy to możliwe, żeby jego skromna bratowa nosiła takie stroje? Po chwili zdał sobie sprawę, że w ogóle nie zwracał uwagi, co Marion miała na sobie, podczas gdy Sam potrafiła ...

Jego rozmyślania przerwał płacz Charliego. Yale zapomniał o tym, że wciąż trzyma bratanka w wyciągniętych rękach.

- Czemu Charles płacze? - zapytała Samanta i wzięła malca na ręce. Widać było, że ma doświadczenie w postępowaniu z niemowlętami.

- Zmoczył pieluszkę, a nie było nikogo, kto mógłby ją zmienić. Uważaj na suknię.

- Och - powiedziała lekceważącym tonem Samanta, nie odrywając wzroku od Charliego. - Umiem zmienić dziecku pieluszkę tak, żeby nie zaplamieć sukni.

Charlie obdarzył ją radosnym uśmiechem. Położyła małego na stole. Yale podszedł do nich.

- Teraz jest słodki, bo wszystko, co najgorsze, zaprezentował wujkowi Yale'owi.

Samanta roześmiała się. Uniosła koszulkę dziecka i zaczęła odwiązywać pieluszkę. Zdjąwszy ją, wytarła pupę malca mokrą ściereczką.

Yale stał obok Samanty, czując się trochę niezręcznie.

- Czy podoba ci się moje nowe ubranie? - zapytał, bo nie powiedziała na ten temat ani słowa.

Popatrzyła na niego tak, jakby dopiero teraz dostrzegła jego strój, i uśmiechnęła się przepaszająco.

- Wyglądasz bardzo przystojnie. O, i obciąłeś włosy. Wzięła nową pieluszkę ze stosu na stole. - Podobasz mi się w tym ubraniu.

Zależało mu na tym, by zrobić na niej wrażenie, i teraz poczuł się rozczarowany. Przyjrzał się jej uważnie.

- Prawdę mówiąc, to ty się bardziej zmieniłaś.

Roześmiała się cichutko.

- Masz na myśli moją nową fryzurę?

- Nie, to znaczy tak. - Potrząsnął głową. - Bardzo mi się podoba. Suknia też jest bardzo ładna.

Pokraśniała z zadowolenia.

- Mam na sobie gorset - powiedziała.

Teraz to on poczuł zakłopotanie. Powinien być bardziej domyślny.

- Głupio się zachowałem. Zaskoczyłaś mnie.

- Prawdziwe zaskoczenie przeżyjesz dopiero wtedy, kiedy otrzymasz rachunek od krawcowej. Marion zaczęła zamawiać jedną suknię za drugą. Nie mam pojęcia, kiedy zdążę się w nich wszystkich pokazać.

- Marion miała rację, zamawiając dla ciebie odpowiednią garderobę. Nie martw się o rachunki. Nie będę się gniewał, nawet gdybyś zamówiła setki ubrań.

- Nie jestem pewna, czy Marion już tego nie zrobiła.

Roześmiał się.

- Mimo wszystko naprawdę jesteś jakaś odmieniona. Nie chodzi mi o suknię czy uczesanie - powiedział łagodnym tonem i uniósł jej podbródek. Z upodobaniem popatrzył na jej twarz. - Jesteś spokojniejsza, odprężona.

- To prawda. - Wzięła Charliego na ręce i ujęła jego zaciśniętą piastkę.

- W końcu pogodziłam się ze swoim losem. Ucałowała maleńkie paluszki dziecka.

- Co masz na myśli?

- Postanowiłam do niczego cię nie zmuszać. Nie będę cię nakłaniać, żebyś został ze mną. Jak mężczyźni często nazywają małżeństwo? Mówią, że to pęta, więzy. Nie chcę, żebyś czuł się do mnie przykuty.

Yale nie był pewien, czy ją dobrze rozumie. Czyżby dawała mu wolną rękę? Tak łatwo, bez żadnych pretensji czy choćby kilku łez żalu?

Miał wrażenie, że traci grunt pod nogami. Oparł się o stół dla zachowania równowagi, nie wiedząc, jak powinien zareagować.

Uśmiechnęła się.

- Naprawdę mi się podobasz w tym ubraniu. Tak właśnie powinien wyglądać szanujący się mężczyzna.

Yale przypomniał sobie, że chciał się z nią podzielić radosną nowiną.

- Zostałem dziś zaproszony na obiad do premiera. - Nagle straciło to dla niego znaczenie.

- Tak, słyszałam o tym. Spotkałam na schodach Fenleya.

Będzie nam ciebie brakowało, ale rozumiem, że obiad z premierem jest dla ciebie bardzo ważny.

- Premier chce poznać moją opinię na temat handlu z Indiami.

Delikatnie kołysała dziecko w ramionach. Charlie gruchał rozkosznie.

- Twój brat będzie z ciebie bardzo dumny. Yale przesunął dłonią po blacie stołu.

- A ty? Jesteś ze mnie dumna?

Jej uśmiech był jak promyk słońca rozjaśniający mrok.

- Tak, jestem z ciebie dumna: I mimo że zawarliśmy małżeństwo w dość niecodziennych okolicznościach, jestem bardzo zadowolona, że się ze mną ożeniłeś.

- Dlaczego? - zapytał, w oszołomieniu wpatrując się w jej szczerą twarz.

- Bo ... - zaczęła i zaraz urwała, odwracając wzrok. Zastanawiał się, o czym myślała.

- Dlaczego? - nalegał. Spojrzała na niego.

- Ponieważ teraz mam dom.

- Aha. - Przeniósł ciężar ciała na pięty, czując że opuszcza go cała energia. Wprawdzie nie był pewien, jaka odpowiedź najbardziej by go zadowoliła, ale na pewno nie ta, którą usłyszał.

Oparł się biodrem o stół.

- Tylko tyle?

Kąciki jej warg uniosły się w gorzkim uśmiechu.

- A jest coś jeszcze?

Ja, pomyślał, ale postanowił nie drażnić tematu. Stapał po kruchym lodzie. Chwila nieuwagi i mógł powiedzieć coś, czego potem będzie żałował.

- No tak, właściwie to nic.

Kiwnęła głową, jakby spodziewała się takiej właśnie odpowiedzi.

- Powiedziałam Marion, że nie jesteśmy małżeństwem z miłości.

- Mówiła mi o tym.

- Powiedziałam jej też, że chcesz pływać w wodospadzie.

- W wodospadzie?

Uśmiechnęła się nieznacznie.

- Nie pamiętasz, jak opowiadałeś mi o pływaniu w jeziorku, utworzonym przez wodospad? Jeszcze nigdy nie słyszałam o czymś tak wspaniałym. Marion mówiła, że na niej też zrobiło to wrażenie.

Nie odpowiedział. Nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

W milczeniu patrzył, jak Charlie próbuje ssać swą własną nogę; czuł się głupio i niezręcznie.

W tej właśnie chwili drzwi otworzyły się i do pokoju weszła Marion.

- Przepraszam, że nie było mnie trochę dłużej, niż zapowiadałam. Mam nadzieję, że nie sprawiłam ci tym kłopotu, Yale'u.' Czy Charlie był grzeczny?  
- Wzięła synka z rąk Samanty i czule go przytuliła.

Charlie nie zwracał uwagi na matkę. Z zainteresowaniem przyglądał się Yale'owi, jakby chciał powiedzieć: „To jest mój wujek Yale, pajac i błazen”.

Yale tak właśnie się czuł.

- Prawda, że Samanta pięknie wygląda? - zapytała Marion,



przywracając Yale'a do rzeczywistości.

- Tak - zgodził się natychmiast. - Bardzo pięknie ... Zaniepokoiło go nagłe odkrycie. Samanta wyglądała dziwnie obco. Miał wrażenie, że oddała się od niego.

- Będzie okrzyknięta rewelacją sezonu - przepowiedziała Marion.

- Zostanę uznana za fujarę z Północy, kiedy tylko ludzie usłyszą mój akcent. - Samanta wyraziła swoje obawy.

- Masz bardzo miły akcent. Mówisz śpiewnie, wcale nie tak twardo jak Szkoci. Nie powinna się o to martwić, prawda, Yale'u?

- Nie powinna - odpowiedział, wyobrażając sobie Samantę jako sensację sezonu. Nie podobała mu się w tej roli. Mężczyźni będą się do niej zlatywać stadami, przyciągnięci przez jej akcent. Od razu rozpoznają, że niedawno przyjechała ze wsi, i będą mieli nadzieję, że jest naiwną gąską.

W gruncie rzeczy nią była. Nie miała pojęcia, ile zła czai się wśród elity pod maską doskonałych manier; nic nie wiedziała o mężczyznach, którzy gotowi będą cynicznie ją wykorzystać.

A może o tym wszystkim wiedziała i właśnie dlatego chciała się go pozbyć?

Rzeczywiście, nie mógł tu zostać. I nie miał wyboru. Po prostu musiał wyjechać. Nie mógł też okazać jej, że jest zazdrosny, bo nie chciał robić z siebie pośmiewiska.

- Samanto, pamiętaj, że za godzinę rozlegnie się dzwonek na obiad - powiedziała Marion, po czym zwróciła się do Yale'a. - Powiedziałam Waylandowi, że zostałeś zaproszony na obiad do lorda Grenville'a. Wayland nie ceni go jako polityka, ale mimo to ma nadzieję, że przedstawiś mu naszą rodzinę w jak najlepszym świetle.

- Oczywiście.

- Wiem - powiedziała łagodnie i pocałowała go w policzek. - Jesteś dobrym bratem i bardzo się cieszę, że do nas wróciłeś, mimo że możesz być z nami tak krótko.

- Dziękuję, Marion - odpowiedział, wzruszony.

- Chodźmy, Samanto - zwróciła się do szwagierki. - Musimy sprawdzić, czy wszystko jest gotowe.

- Jestem pewna, że pozostało jeszcze coś do zrobienia - rzekła Samanta.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, że można w tak krótkim czasie przygotować uroczysty obiad dla tak wielu gości.

- Nie zapominaj, że mam wielu pomocników! A poza tym wiem, że wiele razy gościłaś u siebie wszystkich mieszkańców Sproule, nie mając nikogo do pomocy - powiedziała Marion, po czym wyszła z Samantą i Charliem na rękę.

Yale został sam. Z całej trójki jedynie produkujący pęcherzyki ze śliny

Charlie spojrzął na niego, opuszczając pokój.

Yale poszedł do swojej sypialni, targany sprzecznymi uczuciami. Zawsze dobrze wiedział, czego chce. Był przecież mężczyzną, a mężczyzna powinien być zdecydowany.

Lecz teraz wiedział jedynie to, że wolałby, żeby Samanta nie śpieszyła się tak bardzo do wyjścia z Marion.

Kamerdyner czekał na niego, nieco już znieczepliwiony.

Ochmistrz poinformował go, że Yale został zaproszony do premiera i chciał, żeby jego pan zaprezentował się jak najkorzystniej. Entuzjastycznie pochwalił nową garderobę, którą wcześniej dostarczono do domu.

Yale musiał znosić paplaninę kamerdynera, który nie mógł się nachwalić wspaniale wypolerowanych butów i idealnego kroju ubrań. Jego gadanina zupełnie nie interesowała Yale'a, który nasłuchiwał odgłosów powozów zajeżdżających pod dom i zatrzymujących się pod oknem sypialni, wychodzącym na ulicę.

Rodzina Carderocków była dość liczna, jeśli zaliczyło się do niej również kuzynów o różnym stopniu pokrewieństwa. Z dochodzących go odgłosów wnioskował, że wszystkich przedstawiano Samancie.

Yale odprawił kamerdynera i zaczął zawiązywać hał sztuk.

Był zmęczony krzątaniną służącego.

Kończył już zawiązywanie, kiedy usłyszał kroki w salonie.

Otworzywszy drzwi, zobaczył Samantę ściskającą szklaną kulę - przycisk do papieru.

Spojrzała na niego, zaskoczona.

- Myślałam, że wyszedłeś. - Miała na ramionach kremową chustę, przetykaną złotą nicią, i rękawiczki z koźlecej skóry, sięgające aż do łokci.

- Zaraz wychodzę.

- Szkoda, że nie będziesz na obiedzie. Trochę się denerwuję, ale myślę, że wszystko będzie dobrze - dodała natychmiast. Po prostu pomyślałam, że nie zaszkodzi potrzeć zielonej kuli z duchami. Potrzebuję ich pomocy.

- Samanto, wcale nie musisz uciekać się do magicznych sił. Jesteś piękna.

Wyraźnie ucieszył ją ten komplement.

- Dziękuję - wyszeptła.

Przyglądali się sobie dłuższą chwilę. Ona pierwsza przerwała milczenie.

- Muszę już iść - powiedziała, kierując się w stronę swojej sypialni.

Yale miał ochotę ją przywołać, lecz coś go powstrzymało. Rozsądek mówił mu, jego życiu nie ma miejsca dla kobiety.

Dlaczego więc czuł się odtrącony?

Odprowadził ją wzrokiem, aż zamknęła drzwi sypialni, po czym

przywołał nadąsanego kamerdynera i wkrótce był gotowy do wyjścia.

Miał na sobie oficjalny strój wieczorowy: białe spodnie do kolan, aksamitny frak w kolorze czerwonego wina i białą kamizelkę z lekkiej tkaniny wełnianej. Wziął cylinder, który podał mu kamerdyner, powiedział, żeby na niego nie czekano, i zaczął zstępować ze schodów. W westybulu usłyszał śmiech dochodzący z salonu. Większość gości już przybyła i tylko Fenley i kilku lokajów czekało jeszcze na maruderów.

- Bestia jest gotów do drogi, milordzie - powiedział Fenley, a lokaj podał Yale'owi pelerynę.

- Dziękuję - rzucił roztargniony. Nie poruszył się, nie unióś rąk, by włożyć okrycie. Jego uwagę przyciągnął gwar rozmów. Przez chwilę stał, a potem podszedł do drzwi salonu.

Drzwi były otwarte, pokój pełen gości. Zauważył Waylanda i Marion; zdziwił się, że zabrali starszych chłopców na to rodzinne zgromadzenie. Kiedy był mały, wraz z rodzeństwem nie miał prawa opuszczać dzieciennego pokoju po szóstej wieczorem. Matthew i John byli bardzo grzeczni.

Dostrzegł też swoją siostrę, Twylę. Wciąż miała jasne włosy i niebieskie oczy, a jej nos był miniaturową wersją nosa Carderocków ... ale bardzo się postarzała. Miała zmarszczki i znacznie przybrała na wadze. Sprawiała wrażenie zdrowej i zadowolonej, nie przypominała mu złośliwej istoty, którą opuścił przed jedenastoma laty:..

Towarzyszył jej nie znany Yale'owi mężczyzna, który zwracał się do niej z pewną wyniosłością. Yale pomyślał, że to na pewno jest jej mąż, którego Wayland nazwał „gamonem”.

A potem tłum zafalował i Yale zobaczył Samantę. Stała niedaleko „gamonia”. Wdzięczna i opanowana, rozmawiała z dwiema kobietami mniej więcej w jej wieku. Zapewne były to kuzynki, o których istnieniu Yale zdążył już zapomnieć. Nie rozpoznał żadnej z nich.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Samanta przyćmiła wszystkich zgromadzonych. Wiedział, jak bardzo się denerwowała przed tym spotkaniem i aż pęczniał z dumy, podziwiając jej odwagę i swobodę.

Z uwagą przysłuchiwała się temu, co mówiła jedna z kobiet, a potem ze smutkiem pokręciła głową. Zastanawiał się, czy padło pytanie o niego.. i czy żałuje, że jej nie towarzyszy.

Czy chciałaby, żeby stał teraz obok niej?

Nagle Samanta się roześmiała. Jej perlisty śmiech rozdzwonił się nie tylko w jego uszach; miał wrażenie, że przeniknął mu w głąb duszy.

I w tym właśnie momencie został trafiony strzałą Amora, której każdy rozsądny mężczyzna unika jak ognia, i w której istnienie nigdy nie wierzył.

Został ugodzony strzałą miłości.

Zachwiał się, jakby obezwładniony siłą swego uczucia do Samanty. Ze

zdumieniem uświadomił sobie, że miłość zawładnęła nim już dawno, być może nawet od pierwszego wejrzenia. Nigdy jednak nie wyobrażał sobie, że to uczucie może być tak potężne i głębokie.

Czuł, że jego miłość do niej będzie jeszcze większa; był o tym głęboko przeświadczony.

Idąc niedawno ulicami Londynu, myślał, że jest bliski zakochania się w niej i prawdę mówiąc bał się tego. Lecz teraz, widząc jej roziskrzony wzrok, pomyślał, że jego obawy były nedorzeczne i bezpodstawne.

- Milordzie, peleryna.

Miał wrażenie, że głos lokaja dociera do niego z oddali.

Odwrócił się, oszołomiony.

Choć on sam przeżył głęboką przemianę, to wszystko dookoła było takie jak dawniej i wszyscy byli tacy sami.

Może na tym właśnie polega piękno miłości, pomyślał, że nikt inny nie czuje tego, co on, że jest to uczucie wyjątkowe, jedyne ... i należące wyłącznie do niego.

Popatrzył na Samantę. Jakiś mężczyzna podał jej kieliszek wina. Yale nie znał tego człowieka. poirytowany, przywołał Fenleya.

- Fenley, kim jest ten mężczyzna, który rozmawia z moją żoną?

Fenley spojrzał na towarzysza Samanty.

- To Richard, kuzyn ze strony pierwszej żony pańskiego ojca.

Yale nie przypominał sobie Richarda, nie lubił jednak fircykowatych mężczyzn. Rożki kołnierzyka Richarda sięgały zbyt wysoko, a kamizelka w zielono - żółte pasy była w zdecydowanie złym guście.

Samanta zareagowała śmiechem na jakąś uwagę Richarda. Yale o mało nie zawył.

- Czy coś się stało, milordzie? - zapytał łagodnie Fenley.

- Nie - odpowiedział Yale, nie spuszczać wzroku z Richarda. - Ale każ odprowadzić Bestię do stajni i dopilnuj, żeby wysłano wiadomość do lorda Grenville'a. Proszę przekazać mu, że bardzo przepraszam, ale dziś wieczorem nie będę mógł zjeść z nim obiadu.

- Czy mam podać powód? - zapytał Fenley.

- Powiadom go, że muszę zjeść obiad z moją żoną - odpowiedział Yale, zdążając w stronę salonu.

## 16

Samanta uprzejmie słuchała opowiadania mężczyzny, który został jej przedstawiony jako kuzyn Richard i właśnie chwalił się swoją kolekcją najprzedniejszych win. Kręciło jej się w głowie od prób zapamiętania wszystkich nazwisk i kojarzenia ich z twarzami. Największe wrażenie wywarł na niej wuj Norris, który używał blaszanej trąbki do ucha i mówił tak głośno, jakby wszyscy dookoła byli głusi.

Właśnie skosztowała wina, które podał jej Richard, kiedy poczuła dreszcz emocji.

Był tutaj.

Serce zamarło jej w piersi. Odwróciła się. Miała wrażenie, że powietrze w pokoju jest naładowane energią.

Thum zafalował, ucichł gwar rozmów. Wszyscy spojrzeli w stronę drzwi, ona jednak i bez patrzenia wiedziała, że na salę wszedł jej mąż.

Goście rozstapili się, tworząc szpaler pomiędzy nią a ukochanym. Prezentował się wspaniale w aksamitnym fraku i białych satynowych spodniach, lecz jej uwagę przyciągnął przede wszystkim wyraz jego twarzy. Patrzył na nią tak rozplomienionym, pełnym miłości wzrokiem, że wiedziała, iż oto spełniły się jej najskrytsze marzenia.

Miłość! Cudowna, wspaniała miłość.

Nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać ze szczęścia.

Napięcie, obawy, nadzieje - wszystkie te uczucia ustąpiły miejsca miłości.

Wyciągnęła rękę, w której trzymała kieliszek, w stronę Richarda; na szczęście w porę jej go zabrał, gdyż inaczej upuściłaby go na posadzkę, i ruszyła w kierunku męża. Nie słyszała zduszonych szeptów gości, wszystko zagłuszało jej mocno bijące serce.

Wyciągnął do niej dłoń.

Samanta zatrzymała się, jakby bojąc się postąpić jeszcze krok:

Podszedł do niej zdecydowanie i wziął ją za rękę.

- Yale. - Jego imię zabrzmiało w jej ustach jak westchnienie; dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że wstrzymała oddech.

Ucałował jej dłoń.

- Wybacz mi, Samanto. Byłem ślepy.

Powiedział to bardzo cicho, ale nawet gdyby wykrzyczał te słowa, nie mógł jej sprawić większej radości.

- Yale'u, kocham cię.

Popatrzył na nią z powagą.

- Ja też cię kocham. Całym sercem.

Samanta roześmiała się i zarzuciła mu ręce na szyję, zupełnie zapominając o tym, że nie są sami. Yale uniósł ją i mocno przytulił. Od dawna wiedziała, że najlepiej, najbezpieczniej czuje się w ramionach męża.

Głos Waylanda przywrócił ich do rzeczywistości.

- Yale'u, czy aby nie spóźnisz się na obiad do premiera? - zapytał.

Yale postawił Samantę na podłodze i otoczył jej talię ramieniem.

- Prawdę mówiąc, zmieniłem plany - powiedział. - Nie chciałbym zawieść mojej rodziny.

Twarz Waylanda rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.

- W takim razie wzniosę pierwszy toast. Witaj w domu, bracie. - Dał znak zgromadzonym. - Za zdrowie mojego brata! - Za zdrowie Yale'a - odpowiedział chór głosów.

Marion skinęła na służących, by ponownie napełnili kieliszki. Yale spojrzał na Samantę i zaczął coś mówić, lecz przerwała mu Twyla.

- A więc syn marnotrawny w końcu powrócił do domu.

- Cieszę się, że cię widzę, droga siostrze.

- Pewnie masz nadzieję, że przyjmiemy cię z otwartymi ramionami?

- Wiem, że nie mogę liczyć na zbyt wiele - odpowiedział Yale. - Widzę, że nie zmieniłaś się przez te wszystkie lata.

Twyla zareagowała parsknięciem.

- Ty też się nie zmieniłeś. Mam nadzieję, że nie spodziewasz się, że będziemy wznosić pieśni pochwalne na twoją cześć. Wayland i tak jest bardziej wspaniałomyślny niż powinien.

Wayland, który stał się czujny, odkąd Twyla podeszła do Yale'a, stanął teraz pomiędzy nimi.

- Wszyscy bardzo się cieszymy, że Yale wrócił, i wszyscy bardzo sobie cenimy pomoc twojego męża, droga siostrze.

Łagodny ton jego wypowiedzi nie uspokoił Twyli.

- Mam nadzieję, że nie zapomnisz tych słów - powiedziała. Kiedy Yale włączył się po świetle, Harold ciężko harował. Nie było mu łatwo. Często prosił go o wykonanie prac, które uwłaczały jego godności. Nie chciałabym, żeby z powodu powrotu Yale'a utracił to, co słusznie mu się należy.

- Pracy starczy dla wszystkich - oznajmił stanowczo Wayland.

- Poza tym - powiedział Yale - jest pewna różnica pomiędzy mną a synem marnotrawnym.

- Naprawdę? - zapytała Twyla, uprzejmością pokrywając brak zainteresowania.

- Tak, syn marnotrawny był ubogi duchem i portfelem, podczas gdy ja jestem najbogatszym człowiekiem na ziemi. Mam żonę i firmę armatorską. Nie marzę o niczym więcej.

Marion położyła dłoń na ramieniu szwagra.

- Tak się cieszę, że jesteście szczęśliwi - powiedziała. A ty, Twylo, pozabądź się obaw. Znów jesteśmy rodziną i musimy to należycie uczcić.

Wayland ujął dłoń żony.

- Tak, Twylo, kieruj się rozsądkiem i zapomnij o swoich wątpliwościach. Kocham was jednakowo i nigdy nie dam ci powodów do niepokoju.

- Och, przestańcie, przecież cieszę się, że Yale żyje - powiedziała Twyla. - Tylko nie chcę, żeby Harold na tym ucierpiał.

- Twylo, nie bądź śmieszna - wtrącił zniecierpliwiony Yale. - Jeśli chcesz, żebym podpisał dokument, w którym wyrzeknę się wszelkich roszczeń w stosunku do majątku Ayleboroughów, to gotów jestem natychmiast to zrobić. Nie potrzebuję pieniędzy. Mam wszystko, czego pragnę. Mam Samantę.

Niespodziewanie wszyscy zaczęli klaskać. Yale, Wayland i Twyla rozejrzeli się i stwierdzili że znajdują się w centrum zainteresowania. Nawet wuj Norris słyszał deklarację Yale'a.

Samanta była zarumieniona z radości i zakłopotania. - Nie mogę uwierzyć, że powiedziałeś to publicznie.

- Gotów jestem powiedzieć to jeszcze raz - zaproponował odważnie Yale. - Kocham moją żonę! - I pocałował ją na oczach wszystkich!

Tym razem jego krewni nie poprzestali na oklaskach i także wzniesli wesole okrzyki.

Marion dała znak ochmistrzowi, aby zaprosił wszystkich na obiad. Przechodząc do jadalni, kuzynowie, ciotki i wujowie podchodzili do Samanty i Yale'a i składali im serdeczne gratulacje.

Wuj Norris powiedział tubalnym głosem:

- Zawsze cię lubiłem, Yale'u. Wszystkim mówiłem, że masz charakter! Czasem trzeba go pokazać!

Kiedy wuj się oddalił, Yale cicho powiedział do Samanty:

- Jako dziecko byłem pewien, że mnie nie cierpi. Zawsze radził ojcu, żeby nie żałował różgi. Na szczęście ojciec go nie słuchał.

- Ludzie często są zbyt surowi w stosunku do dzieci - zauważyła Samanta.

- Musimy uważać, żebyśmy się tacy nie stali - powiedział stanowczo.

- Tak, milordzie - odpowiedziała z afektowaną uniżonością.

Yale roześmiał się.

Kiedy już wszyscy weszli do jadalni i zostali sami w salonie, Yale powiedział:

- Teraz już wiem, dlaczego musiałem wrócić do Anglii. Delikatnie pogładził jej dłoń. - Nie chodziło mi tylko o spotkanie z ojcem. Chciałem

znaleźć się wśród nich i czuć się tak jak teraz.

- To znaczy?

- Musiałem poczuć, że mnie akceptują. Często słyszałem, jak plotkowali na temat mojej matki, która nawet nie próbowała wkraść się w ich łaski. Ale teraz wiem, że to nie są źli ludzie. Po raz pierwszy w życiu czuję się w pełni zadowolony z życia i całkowicie akceptowany. - Spojrzał na nią. - I to nie z tych powodów, o których myślałem, ale z powodu ciebie.

Samanta zamrugała, by powstrzymać łzy szczęścia cisnące się do oczu.

- Chyba żadne inne słowa nie sprawiłyby mi więcej radości niż właśnie te.

- W takim razie będę je codziennie powtarzał.

Miała ochotę zarzucić mu ręce na szyję, ale przerwał im głos Fenleya.

- Jego Łaskawość prosi, żebyście dołączyli do rodziny.

- Nie chcę jeść z nimi obiadu - powiedział Yale głosem przeznaczonym wyłącznie dla jej uszu. - Chcę być z tobą. Musimy nadrobić zaległe noce naszego miodowego miesiąca.

Słyszając to Samanta poczuła przyływ pożądania i zarumieniła się aż po czubki uszu.

- Panie Yale - przypomniał Fenley.

- Tak, Fenley, już idziemy - powiedział Yale, podając ramię Samancie.

- Tylko mojej wielkoduszności zawdzięcza to, że go nie ignoruje, kiedy zwraca się do mnie: „panie Yale”.

Samanta roześmiała się. Kiedy mijali Fenleya, odniosła wrażenie, że do niej mrugnął. Trwało to jednak tak krótko, że mogło jej się tylko tak wydawać.

Lecz Yale nie miał żadnych wątpliwości. - Dlaczego Fenley do ciebie mrugnął?

- Pewnie dlatego, że jest dobrym duchem - odpowiedziała Samanta i roześmiała się radośnie.

Obiad dłużył się w nieskończoność. Wprawdzie prowadzono ożywione rozmowy, ale Samanta niewiele słyszała i jeszcze mniej jadła. Jej uwaga skupiona była wyłącznie na mężczyźnie siedzącym naprzeciwko niej, na mężu.

Rozumiała teraz, co Yale miał na myśli, mówiąc, że jest w pełni zadowolony z życia. Właśnie tak czuła się teraz, wiedząc, że Yale ją kocha. Nie będzie już musiała się zamartwiać, zadręczać wątpliwościami.

W końcu, po dziesiątym i ostatnim daniu, Marion dała znak kobietom, aby zostawiły mężczyzn w ich własnym gronie. Samanta, nie mogła oderwać tęsknego wzroku od męża. On również wydawał się nieszczęśliwy z powodu rozstania.

Wcześniej tego popołudnia Marion powiedziała, że czasami mężczyźni z rodziny spędzają ponad godzinę na rozmowach w swoim gronie, w



zależności od tego, jak ciekawe plotki mają sobie do przekazania. Powiedziała też, że zaprosiła włoską śpiewaczkę operową, która miała umilić rodzinie czas po obiedzie.

Samanta nie mogła się doczekać, kiedy znów będzie mogła zobaczyć się z Yale'em.

Kobiety przeszły do salonu, gdzie podano kawę i herbatę. - Usiądź przy mnie - poprosiła matka Marion, lady Orcutt.

Miała wysoką, upudrowaną fryzurę. Była jedyną żyjącą osobą z rodziny Marion. - Chciałabym usłyszeć pozostałą część historii o tobie i tym hultaju, Carderocku.

- Yale nie jest hultajem - powiedziała Samanta, stając w obronie męża. Jeszcze niedawno też tak o nim myślała, ale całkowicie zmieniła zdanie.

Lady Orcutt roześmiała się.

- Musisz wiedzieć, że hultaje są potem najlepszymi mężami. - Pochyliła się do ucha Samanty. - Wayland doskonale wywiązuje się z roli księcia, ale jest tak nieznośnie rzetelny ... Zastanawiam się, jak Marion wytrzymuje z nim tak długo i nie narzeka na nudę.

- Mamo - napomniała matkę Marion, podając Samancie filiżankę herbaty.

Samanta uśmiechnęła się. Marion ostrzegła ją, że matka ma język ostry jak brzytwa.

W tym momencie podszedł do nich Bates, niosąc wiadomość na srebrnej tacy. Wręczył kopertę Samancie.

Zmieszana, popatrzyła na Marion, a potem złamała pieczęć.

Kartka zawierała wiadomość napisaną śmiałym pismem:

Dwie sieroty potrzebują Twojej natychmiastowej pomocy.

Nie było podpisu.

- Co to za list, Samanto? - zapytała Marion.

- Dostałam wiadomość, że Alice i Terrance mnie potrzebują. - Popatrzyła na lady Orcutt i Marion. - Proszę mi wybaczyć, Wasza Łaskawość, ale chciałabym zobaczyć, co się stało.

- Oczywiście, idź do dzieci - powiedziała Marion. - Mam nadzieję, że stan ich zdrowia nie uległ pogorszeniu.

- Co to za sprawa z tymi sierotami? - zapytała Twyla, lecz Samanta już wstała i szła w stronę drzwi.

Słyszała, jak Marion głośno wzdycha i przystępuje do opowieści o sierotach, które Yale przyprowadził do domu.

Na półpiętrze usłyszała, że ktoś wyszeptał jej imię. Odwróciła się. Z cienia wyłoniły się czyjeś silne ramiona.

Zanim zdążyła ochłonać, Yale nakrył jej usta pocałunkiem.

Wydała zduszony okrzyk, lecz już po chwili rozkoszowała się słodyczą

ust męża. Zarzuciła mu ręce na szyję. Czowała się cudownie w jego ramionach; od dawna tak bardzo pragnęła się w nich znaleźć.

Wziął ją na ręce i zaniósł do apartamentu, nie odrywając ust od jej warg.

Samanta pierwsza przerwała pocałunek.

- Co się dzieje z dziećmi?

- Czują się doskonale. Uciekłem się do podstępów, żeby cię tu zwabić.

Nie mogłem już czekać dłużej ... zwłaszcza że przed nami był jeszcze występ włoskiej śpiewaczki!

Samanta przechyliła głowę i roześmiała się. Poczowała, że pantofel ześlizguje jej się z nogi; po chwili upadł na dywan.

- Zgubiłam but.

- Nie myśl o tym - powiedział i pchnął barkiem drzwi do swego pokoju.

Ciemność panującą w sypialni rozświetlał jedynie blask ognia w kominku.

Yale podszedł do łóżka i postawił na nim Samantę. Miękki siennik ugiął się pod jej stopami.

- Co ty robisz? - zapytała.

- Mam zamiar cię rozebrać - odpowiedział, zdjął chustę z jej ramion i odrzucił na dywan. - A potem kochać się z tobą aż do utraty tchu. - Zaczął rozsznurowywać jej suknię.

Samanta złapała go za ręce.

- A potem?

Ich spojrzenia się spotkały.

- Co potem?

Uklękła, trzymając go za ręce.

- Wciąż masz zamiar mnie opuścić?

Yale potrząsnął głową.

- Sam, muszę pojechać na Cejlon, ale wrócę do ciebie. Zawsze będę do ciebie wracał. Moja firma przynosi duże zyski. Może będę mógł spędzać tam kilka miesięcy, a resztę roku być z tobą. Ale nie mogę ci niczego obiecywać. To niełatwa podróż.

- Coś ci się może stać. - Poczowała wielki niepokój. Yale próbował rozwiać jej lęk.

- Równie dobrze coś złego może mnie spotkać w Londynie. W życiu nie możemy być niczego pewni. Jestem człowiekiem morza. Musiałem wylać wiele potu i niezłe się nagłowić, żeby osiągnąć obecną pozycję. Moja firma, Rogue Shipping, jest dla mnie jak dziecko. Ale wiedz, że jedna rzecz w moim życiu jest pewna i niezmienna.

- Co to jest?

- Moja miłość do ciebie.

Samanta przytuliła policzek do jego twarzy. Czowała szorstkość jego bokobrodów, ciepło jego ciała. Pachniał tak miło i kusząco jak przyprawy, które przewożono na jego statkach. Gdy dotknęła szyi męża, poczuła rytm uderzeń jego serca.

- Sam, wiem, że wymagam od ciebie zbyt wiele. Przecież nawet nie chciałaś wyjeżdżać ze Sproule. Zrozumiem, jeśli nie zaakceptujesz mnie takim, jaki jestem.

W odpowiedzi obdarzyła go pocałunkiem.

Postanowiła cieszyć się każdym dniem spędzonym u boku Yale'a, a gdy nadejdzie czas rozstania, będzie się za niego modliła i czekała, kiedy znów będą razem.

- Kocham cię - powiedział.

- Te słowa nigdy mi się nie znudzą.

Roześmiał się; jego zęby rozbłysły bielą wśród dziwnej gry światłocieni w sypialni.

- W takim razie będę je często powtarzał.

W sunął palec za stanik jej sukni i dotknął piersi przez cienki materiał gorsetu. Sutki nabrzmiały pod wpływem jego dotyku, więc z rozkoszą zaczął pieścić je wargami.

Jak cudownie było znów czuć jego dotyk! Wsunęła palce w jego włosy i mocno go przytuliła. Pieścił teraz drugą pierś; Samanta odchyliła się tak mocno, że straciła równowagę i opadli na łóżko.

Roześmiali się.

- Ależ z nas niezdary - powiedziała.

- Po prostu brak nam wprawy - odpowiedział, całując jej szyję, a jednocześnie rozsznurowując suknię.

- Tak, nie mamy jeszcze wprawy - zgodziła się z rozmarzeniem i zaczęła rozwiązywać jego hal sztuk.

Uniósł się na tyle, by móc zdjąć frak i rzucić go na łożo. Samanta przesunęła dłońmi wzdłuż jego boków.

- Jesteś bardzo urodziwy. Kiedy dziś wieczorem zobaczyłam cię na progu salonu, serce zamarło mi z wrażenia. - To ty jesteś piękna - wyszeptał.

- Nieprawda - zaprzeczyła. - Jestem pospolita.

- Och, Sam, nie słyszałem jeszcze czegoś tak odległego od prawdy. Kocham gniewne błyski w twoich oczach, kiedy jesteś zła. Kiedy jesteś czymś przejęta, są jak małe zwierciadła twojej duszy. - Z czułością ucałował jej powieki.

Poczuła łaskotanie i cichutko zachichotała.

- I twoje brwi! - dodał.

- Moje brwi?

- Tak. - Przesunął kciukiem po ich linii. - Są tak wspaniale proste.

Kiedy się złościła, zbiegają się w małe „V”. A kiedy jesteś zadowolona, mam wrażenie, że tańczą.

- Tańczą? - Roześmiała się serdecznie. - Myślałam, że wyliczasz moje plusy.

- Bo tak jest. Kocham twoje brwi. - Pocałował je po kolei, a potem otarł się policzkiem o jej policzek. Bokobrody niepokojąco drażniły jej skórę.

- Lubię też twoje policzki. Twoja skóra jest bardziej aksamitna niż płatki róży, a twój nos ... - Urwał.

- A co z moim nosem? - Udała, że się niepokoi.

- Hmm ... doskonale pasuje do brwi.

- Ty łajdaku - powiedziała z uśmiechem. - Mój nos jest o połowę mniejszy od twojego.

- Ale mój jest bardzo szlachetny - powiedział z dumą. - Mój brat, a nawet mały Charlie, mają mój nos, nos ojca był podobny. Chyba wiesz, co się mówi o mężczyznach z dużymi nosami.

Pokręciła głową.

Chwyił ją za rękę i przyłożył do spodni. Poczowała, że jej pożąda.

- Są dorodni także i pod innym względem - powiedział ochrypłym głosem, pobudzony jej dotykiem.

Samanta przesuwała dłoń w górę i w dół. Kiedy byli poróżnieni, marzyła o tym, żeby dotykać go w ten sposób. Wiedziała, jak go zadowolić.

Minął czas rozkosznych przekomarzań. Gorączkowo zaczęli się rozbierać i wkrótce byli nadzy. Ich ubrania leżały w nieładzie dookoła łóżka.

Yale przesunął dłoń wzdłuż jej uda; gwałtownie zaczerpnęła tchu, gdy odnalazł drogę do istoty jej kobiecości.

- Masz piękne piersi - powiedział cicho, obwodząc brodawkę językiem.

Samanta rozkosznie jęknęła.

- Nie mogę już dłużej czekać, Sam - mruknął. Błyskawicznie obrócił się na plecy i posadził ją na sobie.

Krzyknęła, gdy w nią wchodził. Mocno przycisnęła kolana do jego boków, by jak najpełniej się z nim zespolić.

- Jest wspaniale - wyszeptał.

- To prawda. - Szpilki już dawno wypadły jej z włosów.

Fryzurę utrzymywała jeszcze złota wstążka, ale większość włosów wymknęła się z węzła i opadła na plecy.

- Ujeżdżaj mnie, Sam. Chcę być w tobie, kiedy dojdziemy do szczytu.

Przyciągnął ją tak, że oparła dłonie o jego tors i powoli zaczęła się poruszać.

Chwyił ją za biodra. Obserwowali się nawzajem, nie mogąc oderwać od siebie wzroku. Uwielbiała mieć go w sobie. Bardzo podobało jej się, że to ona panuje teraz nad sytuacją.

Poruszali się zgodnym rytmem; doskonale wyczuwając swoje potrzeby, pragnąc dać sobie jak największą przyjemność.

Zwiększyli tempo.

Yale odchylił głowę i zamknął oczy. Uniósł biodra, by wnikać w nią jak najgłębiej. Trzymał ją mocno. Skóra jego masywnych ramion błyszczała w świetle ognia.

Samanta czuła, że nie będzie w stanie znieść większej dawki emocji. Ujeżdżała go zapamiętale, czując przyjemność tak wielką, że aż niemal bolesną.

Gdy razem osiągnęli szczyt, ogarnęła ją gorąca fala rozkoszy. Zawołał jej imię i poczuła, że wlewa w nią swe nasienie.

Przyciągnął ją do siebie i obsypywał gorącymi pocałunkami.

Później, kiedy ciasno spleceni leżeli pod kołdrą i powoli wracali do rzeczywistości, Samanta pogładziła palcem nos Yale'a.

- Masz bardzo miły nos - powiedziała, przerywając milczenie.

Uśmiechnął się szeroko, wiedząc, że nie to miała na myśli.

- Spełnia swoje zadanie.

- Bardzo ważne zadanie.

Mocno przytulił ją do siebie.

- Nie chciałbym, żeby moje córki go po mnie odziedziczyły. Chciałbym, żeby miały takie śliczne noski jak ich matka.

- Ale nasi synowie będą dumni, jeśli będą podobni do ojca ..

Roześmiał się.

- Och, Samanto, jesteś moim skarbem.

- Twój nos spisał się wspaniale.

- Prawda?

Przytaknęła, a po chwili ze zdumieniem poczuła, że jest podniecony. Usiadła, włosy opadły jej na ramiona.

- Znowu jesteś gotowy? Tak szybko?

Uśmiechnął się z miną zarozumialca.

- Z tobą stać mnie na wszystko.

Następnego dnia w ogóle nie wyszli z pokoju. Wcześniej zbyt długo powstrzymywali swe pragnienia.

Spędzali czas nie tylko na pieścizotach, ale i dużo ze sobą rozmawiali.

Samanta jeszcze nigdy nie czuła z nikim takiej bliskości.

Miała ochotę w ogóle nie ruszać się z sypialni.

Następnego ranka obudziła się, przytulona do Yale'a.

- Kocham cię - wyszeptała.

Uśmiechnął się; nie zdążył jeszcze otworzyć oczu.

- Jeśli będziesz mi to powtarzać, może kiedyś uwierzę, że to prawda.

- To najprawdziwsza prawda - zapewniła go i lekko nagryzła jego

brodawkę.

Otworzył oczy.

- Kochasz mnie na tyle mocno, że jesteś gotowa mnie zjeść? - zapytał.

- Tak - odpowiedziała.

- Naprawdę? - droczył się i zaczął ją łaskotać.

Odpowiedziała mu tym samym. Zaśmiewali się, przewracając na łóżku, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

- Kto tam? - zapytał Yale, wstając.

- Milordzie, to ja, Bates - odpowiedział lokaj. - Mam list dla pana, właśnie go przyniesiono. Posłaniec powiedział, że to pilna wiadomość.

- Wsuń list pod drzwi; przeczytam go później - rzekł Yale. Spojrzał na Samantę.

- Na czym to skończyliśmy? - zapytał, a potem jednym potężnym susem znalazł się z powrotem w łóżku.

Samanta pisnęła z uciechy. Chwycił ją mocno w ramiona i całował jej czoło, uszy, podbródek, nos.

- Chyba jeszcze nigdy nie byłem tak szczęśliwy - wyznał. Przyłożyła ucho do torsu męża i słuchała bicia jego serca. - Aż się boję, że nasze szczęście może nam zostać odebrane. Yale uniósł głowę i popatrzył na nią karcącym wzrokiem. - Nic złego się nie zdarzy. A jeśli nawet coś nam będzie zagrażało, ja cię obronię. Jestem twoim rycerzem, pani ... Uśmiechnął się szeroko. - Tyle że bez zbroi.

Zachichotała, lecz po chwili powiedziała z powagą:

- Jesteś moją opoką.

- A ty światłem i radością mego życia.

Samanta poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

- Sam, dlaczego płaczesz? - Dotknął palcem jej rzęs.

- Bo jestem szczęśliwa. Bo mam ciebie.

- Mamy siebie nawzajem. Chodź, umyjemy się i zobaczymy, co się działo na świecie, kiedy się kochaliśmy.

Zadzwoił, by przyniesiono wodę do kąpieli. Samanta nie od razu wyszła z łóżka. Z trudem rozstawała się z tą bezpieczną przystanią. Pościel pachniała Yale' em. Położyła się na kołdrze i słuchała, jak Yale krząta się po pokoju.

Podniósł kopertę, którą lokaj wsunął pod drzwi, rozpieczętował i przeczytał list.

- Co to za wiadomość? - zapytała Samanta.

- Mój bankier prosi, żebym się z nim dzisiaj spotkał w sprawie niecierpiącej zwłoki.

- Nie możesz umówić się z nim na jutro? Moglibyśmy spędzić jeszcze jeden dzień w łóżku.

Yale roześmiał się.

- Interesy nie mogą czekać. Ale postaram się zabawić u niego jak najkrócej. Najlepiej będzie, jeśli na mnie tu poczekaasz. Może w ogóle się nie ubieraj?

- Czy dzięki temu wcześniej wrócisz do domu?

- Najchętniej w ogóle bym z niego nie wychodził - powiedział, klękając na łóżku. Całował jej włosy, uszy, szyję; wkrótce znaleźli się w czułym uścisku ... i ubrali się dużo później, niż planowali.

Samanta zastała Marion w pokoju dzieciennym z Johnem i Charliem. John rysował jakiś obrazek dla mamy, Charles wierzgał nóżkami. Natomiast Matthew spędzał czas z nauczycielem.

- Dzień dobry, Samanto. Nie wiedziałam, czy się dzisiaj zobaczymy, czy nie.

Marion uśmiechała się dobrodusznie, ale Samanta się zarumieniła.

- Przepraszam, że nie przyszliśmy na występ włoskiej śpiewaczki.

Marion pokręciła głową.

- Jej występ bardzo nas rozczarował. Wuj Norris zasnął i zachrapał, a chrapie chyba jeszcze głośniejsze niż mówi. Potem Twyla i moja matka posprzeczały się na temat jakiejś opery. Rodzinne posiedzenia są czasem bardzo denerwujące. Rozumiem, że między tobą a Yale'em wszystko układa się poprawnie?

- Och, Marion, to cudowny człowiek. Nie wiem, jak mogłam nie mieć do niego zaufania.

- Miałaś po temu mnóstwo powodów, ale Wayland i ja jesteśmy szczęśliwi, że pojednał się z rodziną. Oczywiście, Wayland ma nadzieję, że teraz, skoro jesteście szczęśliwym małżeństwem, Yale zostanie w Londynie i będzie mu pomagał. Bardzo się cieszymy, że jesteś tu z nami. Jeśli nie będziesz chciała tu mieszkać, możecie mieć własny dom. Chętnie się tym zajmiemy. Któregoś dnia nasze dzieci będą się razem bawić.

Samanta przyłożyła dłoń do brzucha. Może już nosiła dziecko Yale'a? Była bardzo szczęśliwa.

A jednak ...

- Marion, wciąż nie wiem, co Yale planuje. Myśli o tym, żeby dużo przebywać w Londynie, ale będzie musiał od czasu do czasu wyjeżdżać na Ceylon i pilnować tam swoich interesów.

Marion machnęła ręką.

- Tak będzie na początku. Ale potem, kiedy pojawią się dzieci, zmieni zdanie i nie będzie chciał stąd wyjeżdżać.

- Może - powiedziała z powątpiewaniem Samanta i zmieniła temat. - Alice i Terrance czują się dobrze. Właśnie od nich wracam.

- Tak, Fenley jest bardzo zadowolony. Najpierw chciał, żeby chłopiec

został przyjęty na służbę, ale potem zmienił zdanie i rozmawiał z Jego Łaskawością, który pozwolił chłopca kształcić, by mógł zostać urzędnikiem.

- To bardzo wspaniałomyślny gest Jego Łaskawości.

Marion uśmiechnęła się.

- To dobry człowiek.

Jakby przywołany ich myślami, w drzwiach stanął Wayland.

John zerwał się od biurka, żeby się z nim przywitać, a mały Charlie natychmiast bardzo się ożywił.

Lecz po raz pierwszy, odkąd Samanta go poznała, twarz Waylanda nie rozjaśniła się w powitalnym uśmiechu na widok dzieci.

- Kochanie, czy coś się stało? - zapytała Marion. - Wyglądasz, jakbyś źle się czuł.

- Czy wiesz, gdzie jest Yale? - zwrócił się Wayland do Samanty. - Fenley i ochmistrz od dawna go nie widzieli.

- Miał spotkać się z bankierem - odpowiedziała, zaniepokojona. - Czy coś mu się stało?

Wayland położył dłoń na jej ramieniu.

- Nie, Samanto, nic mu się nie stało, w każdym razie nie doznał fizycznego uszczerbku.

- Co masz na myśli?

- Wstąpiłem do klubu na lunch i dowiedziałem się, że Yale stracił swój majątek.

- Jak to?

- Nad Cejlonem rozszalał się tajfun. Człowiek, z którym rozmawiałem, jest związany z Kompanią Wschodnioindyjską. Powiedział, że firma Yale'a, Rogue Shipping, została całkowicie zniszczona przez żywioł. Cyklon przemieścił się nad zatokę koło Tricomalee. Jedenaście statków zatoneło. Większość z nich należała do mojego brata. Yale jest bankrutem.



## 17

Cała trójka - Samanta, Marion i Wyland - czekała na Yale'a w salonie na dole. Służący otrzymali polecenie natychmiastowego powiadomienia ich o jego powrocie.

Fenley zaproponował wysłanie lokaja na statek Yale'a w porcie londyńskim i wybór padł na Batesa. Przysłał wiadomość, że Yale'a nie widziano ani na statku, ani w magazynach wynajmowanych przez jego firmę. Bates miał czekać na pojawienie się Yale'a albo na polecenie powrotu do Penhurst.

- A może wciąż jest u tego bankiera? - zastanawiała się Samanta.

Wayland nie lubił czekać bezczynnie, więc natychmiast udał się do bankiera, który rano przysłał wiadomość. Wrócił po dwóch godzinach.

- Bankier powiedział, że Yale bez komentarza przyjął wiadomość o tajfunie, podziękował za informację i wyszedł, nie mówiąc, dokąd zamierza się udać. - Przez chwilę milczał. Wysłałem całą armię służących do pubów i piwiarni.

- Tak, możliwe, że tam jest - powiedziała Marion.

Samanta wątpiła w to. Yale od dawna zdecydowanie unikał trunków.

Marion poprosiła o przyniesienie lunchu, jako że obie z Samantą tego dnia jeszcze nic nie miały w ustach, jednak Samanta była tak zaniepokojona, że nie mogła przełknąć nawet kęsa.

Stojąc przy oknie wychodzącym na pokryty śniegiem ogród, gorączkowo zastanawiała się, gdzie Yale mógł się podziać, ale nic mądrego nie przychodziło jej do głowy. Pozostała tylko modlitwa. Powtarzała: „Boże, proszę, żeby Yale bezpiecznie wrócił do domu”.

Późnym popołudniem dołączyła do nich Twyla.

- Przyjechałam zaraz po usłyszeniu wiadomości. Harold powiedział mi, że pół Londynu mówi o tym, że Yale zbankrutował. Czy to prawda?

Wayland przytaknął.

Twyla podeszła do Samanty.

- Na przyjęciu byłam bardzo opryskliwa. Nie powinnam była mówić pewnych rzeczy, ale naprawdę nie miałam złych zamiarów. Czy mi wybaczysz?

Samanta nie wiedziała, co odpowiedzieć. Po chwili zdała sobie sprawę, że Twyla usprawiedliwia się przed nią, ponieważ Yale'a nie ma w domu.

- Yale niedługo wróci. Powiesz mi to, kiedy przyjdzie. Twyla i Wayland wymienili spojrzenia. Samanta popatrzyła na szwagra.

- O co chodzi? Dlaczego tak na siebie patrzycie?

- Nie mamy nic złego na myśli, Samanto - uspokoił ją Wayland. - Po prostu martwimy się o Yale'a, bo przypomina się nam sytuacja sprzed lat.

- Czekaliśmy wtedy w tym właśnie salonie - dodała Twyla.

- Nie, w bibliotece.

- Racja, teraz sobie przypominam - przyznała Twyla.

- Na co czekaliście? - dopytywała się Samanta.

Wayland nie odpowiedział. Twyla zaczęła uważnie wpatrywać się we wzór na dywanie.

Marion zdobyła się na odwagę.

- Mówią o tym, jak Yale zniknął po raz pierwszy. Stary książę był pewny, że Yale wróci do domu, jak się wyraził, „z podkulonym ogonem”. Lecz tak się nie stało. Yale zniknął. Mój teść zwołał nocną naradę rodzinną w bibliotece. Sam przez jakiś czas czuwał w salonie ... miałaś rację, Twylo. - Zwróciła się do Samanty. - Ktoś z rodziny zawsze był przy nim. Trzeciego dnia dał znać policji. Wtedy dowiedzieliśmy się, że Yale zaciągnął się na statek jako zwykły majtek i wypłynął z Anglii.

- Teraz na pewno tak nie postąpi - powiedziała z przekonaniem Samanta. - Na pewno da mi znać, co postanowił.

Marion natychmiast ją poparła.

- Masz rację, na pewno nie wyjechałby bez pożegnania. Wróci do domu, musimy tylko jeszcze trochę poczekać.

Samanta miała już jednak dość czekania, zwłaszcza że ziarno niepokoju zostało zasiane, a przecież dopiero od niedawna darzyła Yale'a zaufaniem. Poprosiła Waylanda, żeby zawiózł ją do doków.

- Chcę zobaczyć ten statek.

Ponury, zimny i mokry wieczór smutno korespondował z nastrojem Samanty. Chwile spędzone rano w ramionach Yale'a wydały jej się bardzo odległe.

- „Wind Eagle” - przeczytała głośno nazwę, wymalowaną złotymi literami na dziobie statku.

Wayland zapukał w ściankę powozu, dając stangretowi znak do zatrzymania się. Weszli na pokład. Kapitanem okazał się młody, smutny mężczyzna. Był zaszczycony możliwością poznania żony pana Carderocka.

- Mam żonę i troje dzieci - powiedział.

- Mieszkają w Londynie? - zapytała Samanta, bardziej z uprzejmości niż z powodu prawdziwego zainteresowania. Przyglądała się zwojom lin i krzątaniu na pokładzie. Z oddali statek wydawał jej się większy niż z bliska.

- Nie, w Tricomalee.

- Tricomalee? Czy to nie nad tą miejscowością szalał tajfun?

- Tak. Modłę się o to, żeby żyli.

Jego słowa uświadomiły Samancie bezmiar tragedii. Podała mu rękę.

- Serdecznie panu współczuję.

Oczy kapitana zaszklily się podejrzenie; odwrócił wzrok.

- Nie mamy na to wpływu. To boża wola, musimy ją przyjąć z pokorą - powiedział kapitan, zmusiwszy się do opanowania. - Jest mi bardzo ciężko. Podobno wielu mieszkańców Cejlonu zginęło. Do czasu powrotu do domu pozostała mi tylko modlitwa.

- Będę się modlić za pańską rodzinę - obiecała Samanta. Proszę mi opowiedzieć o pańskich dzieciach.

- Nie jestem jedyną osobą, którą dotknęła ta tragedia. Jedna czwarta naszej załogi ma rodziny na Cejlonie. To doskonałe miejsce do życia, chyba że ktoś lubi angielskie zimy.

- Jestem pewien, że mój brat zrobi dla was wszystko, co w jego mocy - powiedział z powagą Wayland.

- Dziękuję, Wasza Łaskawość - odparł kapitan. - Wiemy o tym. To dobry człowiek i najlepszy pracodawca na Dalekim Wschodzie.

Samanta i Wayland wrócili do Penhurst. W drodze powrotnej oboje milczeli, pogrążeni we własnych myślach.

Yale nie wrócił do domu w czasie ich nieobecności. Było już ciemno. Marion i Twyla wciąż czekały w salonie.

Samanta nie weszła do salonu z Waylandem, tylko udała się do swego pokoju. W kominku leżały drwa, lecz nie palił się ogień. Zapaliła świecę i postawiła na komodzie.

- Boże, gdzie też on się podziewa? Proszę, niech bezpiecznie wróci do domu.

W tej chwili niewielki przeciąg spowodował otwarcie drzwi do salonu. Samanta podeszła, by je zamknąć i stanęła jak wryta. Yale tam był.

Pchnąwszy drzwi, starała się przeniknąć wzrokiem ciemność. Yale siedział na krześle, opierając nogi w butach o stolik, i obracał w rękach zieloną szklaną kulę. Nawet jeśli wiedział, że Samanta weszła do salonu, nie poruszył się. Dopiero po dłuższej chwili uniósł wzrok.

- Słyszeliście. - To było stwierdzenie, nie pytanie.

- Martwiłam się o ciebie. Wszyscy na ciebie czekamy.

- Potrzebowałem chwili samotności - odpowiedział.

- Jak długo tu siedzisz?

- Odkąd wróciłem od bankiera.

- Ale służący ...

- Wróciłem tylnym wejściem, Sam. Nikt mnie nie widział.

Potrzebowałem czasu na przemyślenie wszystkiego.

Podeszła do niego i przyklękła na podłodze.

- O czym myślałeś?

Zaskoczyło ją to, że się uśmiechnął.

- O tym, jakim jestem pechowcem. - Nie przestawał obracać w rękach przycisku do papieru. - Teraz nawet duchy nie mogą mnie uratować, Sam. Utraciłem wszystko, co zdobyłem.

Nakryła jego dłoń.

- Nie wszystko, Yale'u. Wciąż jestem przy tobie.

Ich spojrzenia się spotkały.

- A nie powinnaś - powiedział. - Jestem do niczego. Mój ojciec miał rację. Jestem synem marnotrawnym.

- Twój ojciec na pewno nigdy tak nie myślał. - Wstała. On cię kochał. Nie zawsze robił to, co było dla ciebie najlepsze i być może cię nie rozumiał, ale na pewno cię kochał. Nie pozwolę, Yale'u, żebyś mnie odtrącił.

Odstawił przycisk i wziął ją w ramiona.

- Kocham cię, Sam. Nie potrzeba mi niczego więcej, chciałbym jedynie być z tobą.

- Czy jest jakaś przeszkoda ... ? - zapytała, wstrzymując oddech, bojąc się tego, co usłyszy.

- Będę musiał wyjechać - powiedział matowym głosem. Bankierzy uważają, że jestem bankrutem, ale to nieprawda. Mam magazyn i jeden statek oraz plantację przypraw na Cejlonie. Odbuduję moją firmę.

- W takim razie dlaczego siedzisz tu samotnie w ciemności? Pogłaskał ją po policzku.

- Ponieważ wcale nie chcę wyjeżdżać, Sam. Prawdę mówiąc, powinienem wypłynąć jutro rano ... ale nie mogę się zdecydować. Chcę tu zostać z tobą.

- A nie mógłbyś zostać i pracować dla Waylanda?

Roześmiał się.

- Nie. To niemożliwe ... nie powinienem cię tu zostawiać, ale nie mam innego wyjścia. Najgorsze jest to, że nie wiem, kiedy wrócę. To zależy od sytuacji na wyspie. Być może nie będzie mnie przez rok albo i dłużej.

- Rok... albo dłużej - powtórzyła, czując nieprzyjemny ucisk w żołądku.

Przytulił ją mocno. Wtuliła twarz w zagłębienie jego ramienia i objęła go w pasie. Zamknąwszy oczy, wzięła głęboki oddech. Yale był tak cudownie ciepły, w jego ramionach czuła się pewnie, bezpiecznie.

- Rok - powtórzyła bezgłośnie.

Oparł podbródek o jej głowę i stali tak w ciemności, spleceni mocnym uściskiem, jakby nigdy nie mieli się rozłączyć, i nagle Samanta doznała olśnienia.

Odnosiła wrażenie, że słyszy jakiś głos, tak jakby w pokoju był ktoś trzeci. Ten głos mówił jej: „Jedź z nim”.

Jedź z nim.

Nie miała już najmniejszych wątpliwości.

- Jadę z tobą.

- Co?!!

To było takie proste!

- Jadę z tobą - powtórzyła, odwracając się w stronę sypialni. - Jeśli wkrótce mamy wyjechać, muszę się spakować. To nie będzie trudne. Mam niewiele bagaży.

Chwycił ją za rękę.

- Sam, nie możesz ze mną jechać. Nie wezmę cię z sobą.

- Dlaczego?

- Ponieważ to jest niebezpieczne. - Położył ręce na jej ramionach i popatrzył w oczy. - Nie masz pojęcia, jaka jest siła cyklonu. Tricomalee to bezpieczny naturalny port. Jeśli został zniszczony przez tajfun, to znaczy, że wszystko na wyspie mogło zostać zrównane z ziemią. Nie doświadczyłaś tego, więc nie wiesz, jaka może być siła żywiołu. Może brakować jedzenia, a nawet wody pitnej, mogą szerzyć się choroby.

- Tym bardziej powinnam tam pojechać - powiedziała spokojnie. - Yale, nie zapominaj, że jestem uzdrowicielką. Z tego, co mówisz, wnioskuję, że moje umiejętności bardzo się tam przydadzą.

- To zbyt niebezpieczne. Gdyby coś ci się stało, moje życie straciłoby sens. Wolę wiedzieć, że jesteś bezpieczna w Anglii.

Omiał się nie roześmiała.

- To mi przypomina naszą rozmowę dziś rano ... tylko że wtedy to ja się bałam. Pamiętasz, co powiedziałeś? Że i w Londynie może ci się przydarzyć jakiś wypadek. - Odsunęła się od niego. - Yale, chcę być z tobą. Zobaczysz, że razem przywrócimy świetność Rogue Shipping.

- Sam, czekają cię tam trudne chwile. Wiele osób straciło życie w tropiku.

- Och, przestań, przecież jestem zdrową wiejską dziewczyną z Północy. Jestem silna. Poza tym musisz pogodzić się z faktem, że nie pozwolę ci żyć beze mnie. Nigdy. Rozumiesz? Chcę pływać w jezioru u stóp wodospadu. Chcę zobaczyć wszystko, o czym mi opowiadałeś, na przykład tę wielką bramę z kolumnami w kształcie lwich łap.

Przyglądał się jej uważnie, a potem, ku jej uldze, uśmiechnął się i wiedziała już, że zwyciężyła.

- Dobrze, zabiorę cię - powiedział. - Ale nigdy sobie nie wybaczę, jeśli coś ci się stanie.

- Nic mi się nie stanie. Zobaczysz. Mam takie przeczucie. A teraz chodźmy powiadomić Waylanda i Marion o naszych planach.

Podala mu rękę z uśmiechem, a on czule je ucałował.

- Z tobą jestem gotów na wszystko - powiedział. Wyszli z salonu, trzymając się za rękę.

Samanta nie żałowała swojej decyzji. Powiedziała Yale'owi, że czuje się tak, jakby jej przeznaczeniem było towarzyszenie mu na Cejlonie. Być może było im to pisane od samego początku, kiedy spotkali się w grobowcu Ayleboroughów.

Rodzina Yale'a nie chciała pozwolić im na wyjazd, lecz decyzja Samanty o tym, by towarzyszyć Yale'owi, spotkała się z poparciem i zrozumieniem.

- On cię potrzebuje - powiedziała Marion. - Twoja obecność bardzo mi pomoże w tych 'trudnych chwilach. Proszę, nie zapominaj o nas.

- Jak bym mogła zapomnieć? - zdziwiła się Samanta. - Przecież jesteśmy rodziną.

Kiedy rozeszła się wiadomość o tym, że „Wind Eagle” wypływa na Cejlon, znajomi, którzy mieli na wyspie przyjaciół i krewnych, poprosili Yale'a o zabranie listów, ubrań i podarunków dla ich bliskich. Yale obiecał wszystko doręczyć.

W porannych gazetach ukazały się informacje, że Yale postanowił wrócić na Cejlon. Ku jego zaskoczeniu bankierzy wcale nie byli tak niechętni udzieleniu mu kredytu, jak tuż po usłyszeniu wiadomości o zniszczeniach. Istniało duże prawdopodobieństwo, że Rogue Shipping przetrwa kryzys.

Samanta ze śmiechem stwierdziła, że to duchy zaklęte w szklanej kuli działają cuda. Marion zgodziła się z nią i zaczęła nalegać, żeby zabrali kulę ze sobą.

Trzy dni później Samanta i Yale stali w doku, czekając na wejście na pokład. Wayland, Marion i chłopcy przyjechali do portu, by życzyć im szczęśliwej podróży. Nawet Twyla zdecydowała się ich odprowadzić, chociaż jeszcze nigdy w życiu nie, wstała przed świtem.

- Dziękuję siostrzyczko - powiedział Yale.

Wydeła wargi, ale zaraz potem życzyła mu szczęśliwego powrotu i mocno go uściskała.

Yale spojrzał na Waylanda, który stał z boku z rękami skrzyżowanymi na piersi. Podeszedł do niego.

- Dziękuję ci za wszystko, co zrobiłeś dla mnie i dla Samanty.

- Jesteśmy rodziną - odpowiedział krótko Wayland. Na chwilę odwrócił wzrok. - Wolałbym, żebyś tu został. Kto wie, kiedy znów się spotkamy?

Yale położył mu ręce na ramionach.

- Wróć. Kiedy poprzednio wyjeżdżałem, powodował mną gniew. Wyjechałem z niczym i, ku mojemu zaskoczeniu, wróciłem też z niczym. Teraz wyjeżdżając mam wszystko, co jest dla mnie ważne - żonę i błogosławieństwo rodziny. Jesteś moim bratem, Waylandzie, Jesteś dobrym człowiekiem, dobrym ojcem, wspaniale wywiązujesz się z roli głowy rodziny i obowiązków księcia. Kocham cię i szanuję.

Marion chwyciła ramię Samanty i obie wstrzymały oddech, czekając na reakcję Waylanda.

- Mój kochany bracie - powiedział i mocno uściskał Yale'a. Oczy Samanty napęłniły się łzami. Spojrzała na Marion, która również była bardzo wzruszona. Wyściskały się serdecznie.

Wayland chrząknął. Samanta miała wrażenie, że oczy mu zwilgotniały, ale jeśli nawet tak było, zaraz się opanował.

- Nie zapominaj o nas - powiedział do brata.

- Zawsze będę o was pamiętał. Przyjedziemy do was z Samantą w odwiedziny. - Poklepał Matthew po plecach. - Może kiedyś przyślesz mi któregoś z twoich synów, żebym pokazał mu kawałek świata.

- Dobrze. A może pewnego dnia ty przyślesz do mnie swojego syna - rzekł Wayland.

Yale roześmiał się.

- Mam nadzieję. - W milczeniu wpatrywali się w siebie przez dłuższą chwilę, po czym Yale poprosił: - Zaopiekuj się Bestią.

- Pod warunkiem, że tu wrócisz i pojeździsz konno.

- Obiecuję, że przyjadę. - Yale popatrzył na Samantę. - Na nas już czas.

Nastąpiła istna eksplozja ostatnich zaproszeń, obietnic i serdeczności, a potem weszli na pomost prowadzący na statek. Czują w żołądku ucisk, którego przyczyną nie było zdenerwowanie, tylko radosne podniecenie.

Kiedy weszli na pokład, kapitan dał znak do odpłynięcia.

Yale i Samanta stali na dziobie i patrzyli, jak „Wind Eagle” wypływa z doku.

Matthew i John biegli wzdłuż nabrzeża, ścigając się ze statkiem i wykrzykując słowa pożegnania do wujka Yale'a, który już zdążył się stać ich ulubieńcem. Marion trzymała Charlesa na ręku i unosząc jego maleńką rączkę robiła „pa, pa”. Nawet Wayland machał im na pożegnanie.

- Wciąż myślę, że to brzydki niemowlak - powiedział cicho Yale do Samanty i ostatni raz uniósł dłoń w geście pozdrowienia.

- To prawda, ale ma charakter - powiedziała. - Można to poznać po jego nosie.

Roześmiali się, po czym Yale nagle spowaźniał.

- Nie żałujesz swojej decyzji? - zapytał.

- Nie! - odpowiedziała zdecydowanie.

Ucałował jej dłoń i poprowadził ją na dziób statku, ku ich wspólnej przyszłości.

## EPILOG

*Ceylon, 1808 r.*

Yale nerwowo przechadzał się ścieżką prowadzącą z domu do bujnego ogrodu. Jego plantacja znajdowała się na wzgórzach, gdzie było trochę chłodniej niż w tropikalnym upale na wybrzeżu. Krople deszczu jednostajnie bębniły o czerwony dach i spływały strumieniami z rynien.

Deszcz był pozostałością po burzy z piorunami, która w nocy przeszła nad Ceylonem.

Gwałtowna zmiana ciśnienia atmosferycznego przyspieszyła poród Samanty. Od pierwszej w nocy odczuwała bóle, które powtarzały się w coraz mniejszych odstępach czasu. Teraz, po prawie dziesięciu godzinach od wystąpienia pierwszych skurczów, Yale zaczynał się niepokoić. Był przekonany, że normalny poród nie powinien trwać tak długo.

Ścieżka prowadziła obok zasłoniętych żaluzjami okien ich sypialni. Słyszał ciężki oddech Samant y i ciche jęki. Tamilska położna uspokajała ją łagodnym głosem.

Yale chciał wezwać angielskiego lekarza z Tricomalee, nie wiedząc, czy może zaufać miejscowej położnej, ale gwałtowne opady deszczu pokrzyżowały jego plany. Również Samanta zapewniała go, że nie ma potrzeby robić zamieszania i że wszystko będzie dobrze. Posłuchał jej, bo najczęściej miała rację.

W ciągu półtora roku udało mu się stworzyć godne warunki życia. Chociaż wciąż trudno było porównywać jego dawne zasoby finansowe z obecnymi, jak na warunki cejlońskie był człowiekiem bardzo zamożnym. Poza tym pieniądze nie miały już dla niego takiego znaczenia, odkąd Samanta została towarzyszką jego życia.

Wbrew jego obawom, bardzo rozkwitła w tym pięknym tropikalnym kraju. Córka pastora, która przez wiele lat nie wyściubiła nosa poza granice Sproule, wykazywała się niezwykłą ciekawością świata. Wzięła udział w hinduskim weselu, wspięła się na Szczyt Adama i widziała olbrzymie wgłębienie w kształcie ludzkiej stopy, które zdaniem buddystów było odciskiem stopy samego Buddy, a także zwiedziła święte miasto Anuradhapura.

Lecz najczęściej wspominał wycieczkę do wodospadów, ukrytych głęboko w dżungli. Spali tam pod gołym niebem, a kiedy wzeszedł księżyc, pływali w chłodnym jezioru, spryskiwani spadającą z wysokości wodą.

To właśnie tamtej nocy poczęli dziecko. Oboje o tym wiedzieli.



Przeżywali wtedy cudowne chwile uniesień.

Teraz Yale żałował, że do tego doszło. Po raz chyba setny obrócił się na pięcie i zaczął iść ścieżką w drugą stronę.

Przechodząc obok okien usłyszał, że Samanta wykrzyknęła jego imię.

Nie był już w stanie czekać dłużej.

Wbiegł do domu, popędził do sypialni i wpadł do pokoju bez pukania.

Twarz Samanty była blada i zlana potem. Przestraszył się, że jest chora.

Znów krzyknęła. Dwie służące podtrzymywały ją w pozycji siedzącej.

Podbiegł do niej.

- Co się stało? Czy mogę jakoś pomóc?

Położna odpowiedziała mu w języku tamilskim.

- To tak właśnie przebiega. Pańska żona ma się dobrze.

Yale odnosił zupełnie inne wrażenie.

- Yale. - Głos Samanty był bardzo słaby. Przyklęknął przy łóżku i wziął ją za rękę. - Co, kochanie?

- Potrzyмай mnie za rękę - wyszeptała. - Po prostu bądź przy mnie.

Yale był przerażony. Otoczył ją ramionami i mocno przytulił.

- Oddaj mi swój ból. Pozwól mi zrobić to za ciebie.

Samanta uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Gdybym mogła, zrobiłabym to już dawno. - Była nawet w stanie roześmiać się ze swego dowcipu.

Podziwiał siłę ducha Samanty. Nie chciał nawet myśleć o tym, że mógłby ją utracić.

Położna kazała Samancie przec. Yale wyszeptał jej to polecenie do ucha.

- Jestem strasznie zmęczona - powiedziała.

- Wiem, kochanie, ale tylko jeszcze jedno parcie. To się zaraz skończy, zobaczysz. - Tymi słowami pokrywał własny lęk.

- T ... tak ... w ... wszystko b ... będzie ... dobrze - wyszeptała drżącymi wargami, zbierając siły do kolejnego parcia.

- Z całej siły, Sam - poprosił Yale. - Wyteż wszystkie swe siły.

Popatrzyła na niego, jakby chciała mu powiedzieć, że to niemożliwe, ale po chwili poczuł, że napięła mięśnie i spełniła polecenie, wstrzymując oddech.

- Już idzie! Już idzie! - zawołała położna.

- Już idzie - przetłumaczył Yale. Samanta uczyła się tamilskiego, ale nadal miała trudności z porozumiewaniem się w tym języku.

Zaśmiała się, oszołomiona.

- Jeszcze jedno parcie, tak?

W tej samej chwili położna rozkazała:

- Jeszcze jedno parcie!

- Dobrze - pochwalił Yale.

Spojrzawszy na męża Samanta wyteńczyła wszystkie siły i wykonała polecenie.

Położna krzyknęła radośnie.

Yale zobaczył, że pojawiła się główka dziecka.

- Już widać główkę, Sam, idzie, idzie!

Z ciała żony wynurzyło się maleńkie ciało. Yale wstał, by przyjrzeć się dziecku. Uradowana położna z podekscytowaniem mówiła coś po tamilsku. Była zachwycona, że noworodek jest taki duży.

Yale zbaraniał, kiedy nagle położna podała mu dziecko z nie odciętą jeszcze pępowiną i zaczęła wycierać je miękkimi ściereczkami.

Dziecko gwałtownie westchnęło, a potem otworzyło usta i wydało pierwszy głośny krzyk. Samanta na przemian śmiała się i płakała.

- Udało nam się, Yale!

Nie był w stanie nic odpowiedzieć. Był świadkiem cudu.

Przechylił dziecko, które otworzyło oczka - duże, niebieskie i trochę zezowate - a potem zamrugowało i Yale miał wrażenie, że spojrzało prosto na niego!

Ojciec i syn popatrzyli na siebie.

Yale nie był w stanie wydobyć głosu ze ściśniętego wzruszeniem gardła. Patrząc w oczy syna, odnosił wrażenie, że widzi w nich wzrok jego ojca, a także ojca ojca, i tak dalej, i tak dalej, aż do zarania dziejów ... i był pewny, że jego ojciec wybaczył mu wszystkie synowskie winy.

Rozumiał teraz, co to jest ojcowska miłość.

Położna odcięła i związała pępowinę. Wciąż coś mówiła i zajmowała się Samantą, lecz Yale nie zwracał uwagi na jej słowa.

Przysiadł na brzegu łóżka, trzymając w ramionach swego wspaniałego syna.

- On mnie rozpoznaje, Sam. On mnie zna.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Oczywiście, że cię zna. Przecież jesteś jego ojcem. Świat wydał mu się dziś szczególnie piękny. Dla tego dziecka gotów był stawić czoło smokom. Będzie go bronił, kochał, tulił, nauczy go być prawdziwym mężczyzną. Pochylił się i pocałował żonę.

- Dziękuję.

Uśmiechnęła się.

- Miałeś w tym swój udział.

- Och, Sam, czym byłoby moje życie bez ciebie?

Zarumieniła się, a Yale był zadowolony, że sprawił jej przyjemność.

- Owiń małego w kołderkę ze Sproule - poprosiła.

Spełnił jej prośbę. Kilka tygodni temu dostali tę barwną kołderkę od

dziedzica Biggersa, pastora Newella i mieszkankę Sproule, razem z listem gratulacyjnym. Śmiał się wtedy, myśląc, że nie przyda się ona w tropikalnym klimacie. Teraz jednak wydała się idealna do owinięcia syna.

Samanta wzięła dziecko od Yale'a i przyłożyła do piersi.

Synek natychmiast zaczął ssać, a ona westchnęła z ulgą.

Yale położył się obok niej na łóżku. Wsunął rękę pod głowę żony i z zafascynowaniem obserwował matkę i dziecko. Pogładził palcem zaciśnięte w piąstkę paluszki syna. Skóra noworodka była cudownie miękka.

- Jest śliczny - szepnęła Samanta.

- Zgadzasz się z tobą - powiedział Yale. - Najważniejsze, że ma mój nos.

Roześmiali się.

- Jak go nazwiemy? - zapytała Samanta. - Może damy mu imiona naszych ojców? Barrett Leland?

- Ładne imię.

- I dobrze się komponuje z nazwiskiem Carderock. - Uśmiechnęła się do niego, a jemu z wrażenia aż zaparło dech.

- Jeszcze nigdy nie wyglądałaś tak pięknie jak w tej chwili powiedział.

- Och, Yale. - Wtuliła głowę w zagłębienie jego ramienia. Po raz pierwszy w życiu Yale czuł, że dobrze spełnił swoje życiowe zadanie. Z pewnością czekało go jeszcze wiele trudnych chwil, był jednak pewien, że z każdej próby wyjdzie zwycięsko. Życie było wspaniałe.

- To wszystko dzięki tobie - wyszeptał do ucha Samanty. Dzięki tobie.